

JACEK GALIŃSKI

# KRATKI SIĘ PANI ODBIŁY



Wydawnictwo  
**ab**  
two

KOMEDIA KRYMINALNA

Jacek Galiński

# KRATKI SIĘ PANI ODBIŁY



Copyright © by Jacek Galiński, MMXX

Wydanie I

Warszawa, MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

\*

# Rozdział 1

Słowa mogą ranić. Wie o tym każdy głupi, ale to, że serek homogenizowany może zabić... o tym wiedzą nieliczni. Tak właśnie było tego dnia.

Mimo że byłam przychylna i życzliwie nastawiona do ludzi, to do tego Borewicza nigdy się nie przekonałam. Nie wiem, jak mu się udało przetrwać w policji, gdzie trzeba mieć jednak jakąś inteligencję, żeby się nie dać zabić, zanim się zapracuje na te wszystkie dodatki i wcześniejszą emeryturę. To chyba raczej nie mogą być zbyt mądry ludzie, skoro jak najszybciej chcą przejść na emeryturę.

Wewnątrz samochodu plastikowa tapicerka skrzypiała, jakby orkiestra Filharmonii Narodowej stroiła instrumenty przed koncertem. Za oknem jeszcze gorzej. Niknące za nami miasto ustępowało miejsca ruderom rozsianym na peryferiach. Chaszcze po obu stronach dziurawej szosy witały nas niczym jakiś nieudany królewski trakt. Sielsko jak cholera!

Nie wierzyłam jeszcze w to, co się działo. Liczyłam, że coś się wydarzy i nie dojedziemy. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

W końcu się wyłoniła. Świeżo odmalowana biało-czerwona, długa i niska lepianka wybudowana bez szacunku dla najbardziej podstawowych zasad architektury. Z dziurawej i wąskiej drogi skręciliśmy w jeszcze węższą i jeszcze bardziej dziurawą. Po obu stronach ciągnęła się zieleń miejska w stylu warszawskim, czyli zastawione samochodami, rozjechane, błotniste klepisko, które kiedyś było trawnikiem.

Trochę się bałam.

– Chce mnie pan potrzymać za rękę? – spytałam.

– Da sobie pani radę – odpowiedział.

Zaczęłam się kurczyć, zapadać w sobie, zmniejszać do rozmiarów mikroskopijnych. Zatrzymaliśmy się przed bramą wjazdową. Podeszedł strażnik, porozmawiał z Borewiczem, obejrzał papiery. Do mnie nic nie powiedział, bo mnie nie zobaczył. Tak małych byłam rozmiarów. Wjeżdżając na teren więzienia, byłam już tylko czarną kropeczką.

Kawałek dalej Borewicz wyłączył silnik, odwrócił się i popatrzył na mnie tym swoim ciełym spojrzeniem.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

– Może pan – odpowiedziałam. – Ja na pewno nie. Przecież pan dobrze wie, że jestem tu przez pomyłkę.

– Wszyscy tak mówią – skwitował, wysiadając. – A jednak więzienia są pełne.

Obszedł samochód i otworzył moje drzwi.

– Wsiadamy – powiedział.

– Nie.

Zaśmiał się.

– Panu nie wstyd zamykać do więzienia niewinnych ludzi? – spytałam.

– Przecież ja mogłabym być pana matką.

– Proszę sobie tego oszczędzić. Za dobrze panią znam. Nie nabiorę się na to. Na mnie to nie działa. Niestety. Proszę wybaczyć.

– Właśnie widzę, że pan jest całkowicie pozbawiony uczuć. I jeszcze pan się tak okropnie roztył po tym wypadku!

– Nie, nie jestem pozbawiony uczuć.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę, że zostałam aresztowana bezpodstawnie? Pan nie widzi, że to niesprawiedliwe? Pan w ogóle wie, co to jest sprawiedliwość?

– Wiem, co to jest sprawiedliwość. Też ją cenię.

– Naprawdę? A może pan to jakoś wykazać? Tylko pan o tym mówi czy może pan coś w związku z tym robi?

Puścił drzwi.

Spojrzał to w jedną, to w drugą stronę.

Przeszedł się.

Wrócił.

Choreograf to z niego był żaden.

– Rozumiem, że mam panią wypuścić – stwierdził.

Spojrzał na mnie. Ja na niego.

Westchnął ciężko. Wyprostował się i jeszcze raz rozejrzał wokół.

– Zgoda – powiedział.

– Naprawdę?

– Tak, ale pod jednym warunkiem.

– Nie żartuje pan?

– Nie żartuję, ale mam jeden warunek.

– Oczywiście, słucham.

– Oboje nad wszystko cenimy sprawiedliwość.

– Oczywiście, właśnie o tym mówiłam. Sprawiedliwość jest najważniejsza.

– I równe traktowanie.

– Jak najbardziej. Sprawiedliwość i równe traktowanie. Oczywiście, oczywiście...

– Dlatego jeżeli panią wypuszczę, będę musiał wypuszczać także każdego następnego aresztowanego. Chyba pani rozumie? Sprawiedliwość i równe traktowanie.

– Oczywiście, że rozumiem... Sprawiedliwość i równe traktowanie... Jak to?! Kogo pan chce wypuszczać?!

– Kolejnych aresztowanych i skazanych, których zawożę do więzienia.

A temu co? Do reszty rozum odjęło? Zdawał się mówić poważnie. Może go źle zrozumiałam? Musiałam to delikatnie wy badać.

– Zgłupiał pan czy co?! – krzyknęłam. – Jak pan to sobie wyobraża?! Bandytów na ulice wypuścić?! Kryminalistów, zbrojnych i pedofili?! Zamiast do więzienia zamykać?! – Chwyciłam się drzwi i podciągnęłam obiema rękami. – A idź pan w cholere z taką sprawiedliwością! Puknij się pan w głowę! Sprawiedliwość będzie wymierzała. Salomon się znalazł.

– Wsiądzie pani? – spytał.

– Wsiadę, wsiadę, a dlaczego miałabym nie wsiąść? Wystarczyłoby, żeby pan grzecznie poprosił.

– Więc poproszę.

– Grzecznie?

– Tak, do jasnej cholery, grzecznie!

– Proszę bardzo. Wsiadam. Tak trudno było?

Wsiadłam z samochodu.

– Nie wiem, czy pan o tym wie, ale jest pan strasznie irytujący – dodałam. – Niech pan lepiej coś z tym zrobi, bo na starość zrobi się pan nie do zniesienia!

Stojąc na dziedzińcu, omiotłam wzrokiem otaczające nas budynki. Były odcięte od świata murem, siatką i zwojami drutu kolczastego, ale nie to powodowało, że wyglądały tak ponuro. Sprawiały takie wrażenie, ponieważ zastygły bez życia dziesiątki lat temu. Przypominały niegdyś świetny ośrodek pełen ludzi i życia. Dzisiaj posępny, wymarły, skamieniały, fatalnie pokryty kolejnymi warstwami farby.

Dwa światy oddzielała ciężka, stalowa, potrójna, otwierana elektronicznie i pilnowana przez strażników krata.

W środku było jeszcze gorzej. Prowincjonalna szkoła z internatem. Stare, smutne, lekko śmierdzące wnętrza, które w dodatku niełatwo opuścić. Całe podporządkowane dziwnej arytmetyce. Podłoga, ściany, korytarz – wszystko krzywe. Ludzie wykrzywieni, a jak się uśmiechali, to też krzywo. Cały budynek istniał w absurdalnej krzywej rzeczywistości.

Borewicz wziął mnie pod ramię i poprowadził w kierunku małego holu. Za szybą siedziała w ogóle nieotyła jak na swój wiek kobieta w zielonej bluzce. Spojrzała na mnie obojętnie, po czym zaczęła wyklądać na blat różne przedmioty.

– Szczoteczka, proszek, pasta – wyliczała – mydełko, kubeczek, talerzyk i miseczka.

Spojrzałam na zastawę z zielonego plastiku.

– Dziękuję, ale nie mam psa – powiedziałam.

– To dla ciebie, kochana.

Dorzuciła jeszcze brzydki koc w kratkę. Wzór nie powalał. Więzienne Burberry.

Poszliśmy dalej.

W skromnym gabinecie za niewielkim biurkiem siedziała drobna blondynka bez makijażu.

– Wie pani – zwróciłam się do niej, siadając na chwiejącym się drewnianym krześle. – Dobrze znam realia służby publicznej, więc jeżeli brakuje wam łóżek i trzeba poczekać rok czy dwa, to nie ma problemu. Ja poczekam.

– Proszę się o to nie martwić – odpowiedziała.

– Trudno oczekiwać cudów, jak się przyjeżdża bez żadnej rezerwacji.

– Coś się dla pani znajdzie – kontynuowała. – Czy pani pali?

– Zdarza mi się – odpowiedziałam.

– To znaczy, że trochę pani podpala? – Uśmiechnęła się życzliwie.

– Ja bym tak dosadnie tego nie nazwała. Zdarzają się natomiast krytyczne sytuacje, z których nie ma innego wyjścia. Ale nigdy nikomu nic się nie stało. Raz jeden bezdomny się trochę okopcił, ale nikt mu przecież nie kazał spać w tamtym śmietniku.

Popatrzyła na mnie, a uśmiech powoli zniknął z jej twarzy.

– Chodziło mi o papierosy – oznajmiła.

– Ach, o papierosy – westchnęłam.

– Przydzielę panią do celi z osobami niepalącymi.

– Wolałabym jedynekę.



- Słucham? – spytała zaskoczona.
- Nie lubię, jak ktoś chrapie i długo siedzi w łazience – wyjaśniłam. – Chyba pani rozumie, co znaczy rano stać pod drzwiami łazienki.
- Tak, rozumiem. Zapewniam, że tu nie będzie pani stać pod drzwiami łazienki.
- No chyba że tak. O której można przyjść na śniadanie?
- Posiłki są przynoszone do cel – odpowiedziała.
- *Room service*? Luksus – ucieszyłam się. – A jakieś trasy spacerowe w okolicy?
- Jest jedna. Bardzo uczęszczana.
- Nie znudzi się?
- Nikt nie narzeka. Przeciwnie, wszyscy sobie zachwalają.
- A opłata klimatyczna jest?
- Nie ma.
- Nie ma – powtórzyłam. – A sklepy w okolicy są?
- Sklep jest na terenie.
- Nie trzeba nigdzie jeździć?
- Nie.
- Nie trzeba jeździć. A rachunki: za prąd, wodę, czynsz, fundusz remontowy, podatek gruntowy...
- Wszystko uiszczone.
- Uiszczone – powtórzyłam. – A nocne hałasy, imprezy, burdy są?
- O dwudziestą cisza nocna. Cisza jak makiem zasiał.
- Jak makiem zasiał – powtórzyłam. – Segregacja śmieci?
- Nie ma.
- Niebezpieczne przejścia dla pieszych?
- Nie ma.
- Nagabujący akwizytorzy?
- Nie ma.
- Nachalni wyznawcy niszowych religii?
- Nie ma.
- Chyba pani nie myśli, że dam się na to nabrać? – oburzyłam się. – Proszę mi powiedzieć, gdzie w takim razie ukryty jest haczyk!
- Nie ma.
- Takiego sprzedawcy jak pani to jeszcze nie spotkałam. Pani to by nawet teraz kredyt we frankach wcisnęła.
- Podsunęła dokumenty, wskazując puste miejsca.

– Rozumiem, że muszę to podpisać? Nie ma innego wyjścia? Stop. Sama zgadnę. Nie ma?

Nie było z nią żadnej dyskusji. Podpisałam i wyszłam.

Przewinęły się przede mną kolejne dziwne obrazy: długi korytarz, drzwi, kraty, bramy, klucze, schody w górę, schody w dół, korytarze, drzwi, bramy, klucze...

Przypominało to pokaz slajdów z czyjejs dalekiej podróży, niezbyt udanych egzotycznych wakacji.

Kraty, bramy, klucze... karty, bramy, klucze... kraty, bramy, klucze...

Wąski korytarz zakończył się pomieszczeniem przypominającym niewielki hol. Z jednej strony było okienko, z drugiej rząd krzesel.

– Niech pani posiedzi spokojnie i poczeka – powiedział Borewicz. – Zaraz przyjdzie po panią oficer dyżurny.

Nie zdążyłam usiąść, gdy ktoś do nas podszedł i się uklonił.

– Pani Zofia Wilkońska? – spytał.

Był to elegancki mężczyzna. Wysoki, dobrze zbudowany, z idealną fryzurą i opaloną twarzą. Gdy się uśmiechnął, wyglądał lepiej niż sam Andrzej Łapicki.

– Nie teraz. – Próbował go zbyć grubiański Borewicz.

– Ustanowiono mnie obrońcą w sprawie, więc przysługuje mi prawo do kontaktów z klientką bez żadnych utrudnień ani ograniczeń. Wejdziemy do pokoju? – Pytanie skierował do mnie.

Policjant nadał się nieco, ale przemowa adwokata musiała zrobić na nim wrażenie, bo nie zaprotestował, gdy tamten wskazał drzwi do niewielkiego pomieszczenia.

Zostawiliśmy Borewicza na korytarzu.

– Chciałbym pani pomóc – powiedział mężczyzna, podsuwając mi krzesło.

– Kim pan jest? – spytałam.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się. Maciej Konrad Owsik-Rzeźączka Młodszy. Adwokat.

Wyciągnął gładką, zadbaną dłoń ozdobioną złotym sygnetem i takimi samymi spinkami.

– Zofia Wilkońska – odpowiedziałam, z dużą niepewnością podając rękę.

– Reprezentuję kancelarię Owsik i Wspólnicy. Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach – kontynuował. – Pani nie

powinna tu być.

Nie potrzebowałam nic więcej wiedzieć. Co za szyk. Człowiek z wyższych sfer. Nadzwyczaj przenikliwy i mądry mężczyzna.

Obszedł dookoła niewielki stoliczek i zajął miejsce naprzeciwko mnie.

– Wyciągnie mnie pan stąd? – spytałam. – Mąż pana wynajął?

– Wszystko po kolei – odpowiedział. – Proszę się o nic nie martwić. Zajmę się pani sprawą. Nie będzie to łatwe, choćby ze względu na osobę prokuratora.

– Kanalia i szubrawiec! W dodatku kurdupel.

Adwokat uśmiechnął się wstrzemięźliwie.

– Niemniej jednak – kontynuował – są pewne szanse, żeby w trakcie rozprawy wykazać błędy proceduralne i doprowadzić do pani uwolnienia.

Matko, jaką ja poczułam ulgę. Nie było chyba człowieka, który by mu nie zaufał.

– No to niech się pan zabiera do roboty. Nie wyobraża sobie pan, jakie tu są warunki i jakie towarzystwo.

– Oczywiście. Zanim jednak to się stanie, musimy jeszcze omówić pewną delikatną kwestię.

– Rozumiem. Chodzi o pańskie uposażenie.

– Zgadza się.

– Nie ma z tym żadnego problemu. Mam emeryturę.

Uśmiechnął się.

– Bardzo się cieszę. To bardzo ważne. Niemniej jednak powinna pani wiedzieć, że zarówno moje usługi, jak i usługi mojej kancelarii daleko przekraczają możliwości finansowe nawet bardzo zasobnych osób. W zasadzie można powiedzieć, że mało kogo na mnie stać. – Rozpromienił się, pokazując idealnie równiuteńkie i błyszczące zęby. – Ale to nic. Na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie.

– Mogłabym pożyczyć kilkaset złotych od syna – zaproponowałam.

– O, i już przychodzą do głowy dobre pomysły – stwierdził. – Świetnie nam się współpracuje. To bardzo ważne.

Rozejrzał się po pokoiku.

– Żałuję, że nie mogę pani niczym poczęstować.

– Nie szkodzi.

– Widzi pani, mam taką drobną bolączkę. Wielką potrzebę pomagania innym. Pani zapewne także.

– W dosyć ograniczonym stopniu – wtrąciłam.

– Mimo to liczę, że zechce mi pani pomóc. To nic wielkiego. Ja i ważni ludzie o dobrych sercach chcielibyśmy pomóc jednej osadzonej tu osobie, a nie mamy z nią kontaktu. Rozumie pani: biurokracja, utrudnienia. W dodatku właśnie trafiła do więziennego ambulatorium, gdzie kontakt jest jeszcze bardziej ograniczony. Ta osoba jest osamotniona, zagubiona i w potrzebie. Tak jak i pani. Chodzi o przekazanie wiadomości.

– Naprawdę nie ma pan kogo o to poprosić?

– Oczywiście, że mam. Ludzie zabiegają o możliwość wyświadczenia mi podobnej przysługi. W zamian jestem skłonny podjąć się obrony pro bono. Wprawdzie nie osobiście, ale zapewniam, że nasi stażyści są najciężej pracującymi ludźmi pod słońcem.

– Dostarczę wiadomość – stwierdziłam. – Przecież ta kobieta jest w potrzebie. Podobnie jak ja. Swoim altruizmem rozbudził pan i we mnie potrzebę pomagania innym.

Uśmiechnął się szeroko. Wyjął z kieszeni marynarki eleganckie pióro i zapisał coś na karteczce.

– Przekaze to pani Ewie Nowak. Jak się pani domyśla, chodzi o słowa otuchy i wsparcia.

Przeczytałam.

„Droga Ewo, zawsze będziemy o Tobie pamiętali, koledzy”.

– Proszę zapamiętać – powiedział, po czym zabrał kartkę. – To bardzo ważne, a czas nagli. Musi pani dostarczyć wiadomość niezwłocznie. Pani przyszłość też od tego zależy. Mam nadzieję, że pani to rozumie. Nie chce pani chyba, żebym musiał zaoferować swoje usługi komuś innemu.

– Oczywiście, że nie chcę – stwierdziłam. – Niby dlaczego miałabym chcieć?

– I nikomu o tym ani słowa – dodał stanowczo. – To nie żarty. Niech pani weźmie to do siebie.

– Ja miałabym wydać tajemnicę?! Choćby mnie morzyli głodem przez kilka godzin, choćby mi odmawiano cukru do herbaty... nikomu nie powiem, tylko adresatowi – zapewniłam. – Ale pan niech się z tą pańską pomocą też pośpieszy, bo ja tu nie będę wiecznie czekać.

– Wybronimy panią w sądzie. Musi pani do tego czasu wytrzymać i dotrwać do procesu. Przede wszystkim nie może pani ściągnąć na siebie żadnych kłopotów. Niech pani się nie da w nic wmanewrować. Pani do tego miejsca nie należy, nie jest jedną z nich, tylko jedną z nas. Najważniejsze to trzymać się z porządnymi ludźmi.

Wstał, ponownie obszedł stoliczek i odsunął mi krzesło. Takie towarzystwo to rozumiem!

Podaliśmy sobie dłonie, ukłonił się, wyszłam.

Na ten czas był to koniec miłych wrażeń.

## Rozdział 2

Powoli, ale nieubłaganie zaczęłam zdawać sobie sprawę, że to wszystko działa się naprawdę. Nie sposób było się od tego odciąć, zdystansować, przycupnąć gdzieś w kącie i przeczekać. Tu chodziło konkretnie o mnie. Przez wiele lat walczyłam o zainteresowanie i w końcu je otrzymałam. Dziękuję bardzo za szczodrość.

Musiałam jak najszybciej się ogarnąć i zacząć działać, bo to wszystko wyglądało już dosyć poważnie. Ci ludzie gotowi byli mnie tu naprawdę zamknąć i nie wypuścić. Zrobić ze mnie przedstawicielkę spatologizowanej inteligencji!

Znalazłam się w miejscu, w którym kulturalni ludzie nie bywają. Chyba że celebryci u schyłku kariery. Gdyby w klubie seniora wyszło na jaw, że miałam taki więzienny epizod, zawsze mogłabym powiedzieć, że taka moda. Hardo i zdecydowanie twierdziłabym, że to teraz na czasie, jak kiedyś operacje plastyczne i kuracje odwykowe.

Mimo że całkiem nieźle udawało mi się zrationalizować problem, nie do końca potrafiłam wyciszyć emocje. Zalewały mnie fale gorąca i ataki paniki. Przypomnieli mi się ci wszyscy sadystyczni naczelnicy, psychopatyczni strażnicy, prysznicowi gwałciciele, brudne i zimne lochy widziane na filmach i zastanawiałam się, czy taka właśnie ma być moja cholerna jesień życia.

Borewicz wprowadził mnie do niewielkiego, skromnie umeblowanego pomieszczenia. W środku stała niewysoka kobieta w zielonym mundurze i gumowych rękawiczkach. Spojrzała na mnie obojętnie.

– W końcu ktoś wyglądający na rozsądnego – powiedziała. – Może z panią nie będzie kłopotów.

– Ze mną? Oczywiście, że nie będzie – zapewniłam. – Dlaczego miałyby być ze mną jakieś kłopoty? Ja nawet nie wiem, co to są kłopoty.

– To dobrze, bo nie wyobraża sobie pani, jaka jest ta dzisiejsza młodzież.

– O tak, to się zgadza. Upadek moralności, zanik szacunku. Żadnych zasad. Zezwierzęcenie, dżungla, dzicz.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie czysto kurtuazyjnie.

– Pani jest trochę podobna do mojej teściowej – stwierdziła.

– Mam nadzieję, że to ładna kobieta – odpowiedziałam. – Proszę się nie obrazić, ale ja jestem podobna do nie byle kogo, bo nawet do jednej bardzo znanej aktorki. Pewnie się pani domyśla do której.

– Miała przyjechać.

– Pewnie jest dumna z synowej. Taka ważna praca, odpowiedzialna, nisko płatna, misyjna. No i ten mundur tak dobrze tuszuje ułomności pani sylwetki.

– A skąd! Wcale nie jest ze mnie dumna. Przeciwnie. Nigdy tu nie była. Niby ma przyjechać w odwiedzin, ale wiadomo, o co chodzi. Kontrola!

– To może by tu pani trochę ogarnęła?

Spojrzała na mnie jakoś krzywo.

– No nic. Miło się rozmawia – stwierdziła strażniczka. – Ale nie traćmy czasu. Proszę się rozebrać.

– Tak – zgodziłam się. – Faktycznie trochę tu duszno. Można by przewietrzyć.

Zdjęłam sweterek, przełożyłam go przez ramię i usiadłam na krześle.

– Jeżeli to nie problem – dodałam – to napiłabym się herbaty.

Uśmiechnęła się, ale jakoś nieszczerze.

– Proszę się rozebrać – powtórzyła.

– Już mi dobrze. Proszę się mną tak nie przejmować.

– Do naga.

– Jak to do naga? – Zaśmiałam się. – Chyba pani za dużo czasu spędza w więzieniu.

– Rozebrać się! Kucnąć! Kichnąć! – rozkazała podniesionym głosem.

Spojrzałam na nią, ale jej twarz była śmiertelnie poważna.

– Nie ma mowy – odpowiedziałam. – Co też pani przyszło do głowy?!

– W takim razie ja będę musiała to zrobić.

Wzruszyłam ramionami.

– Proszę bardzo, niech się pani rozbiera, kuca i kicha, jeżeli tylko ma pani na to ochotę.

– Będę musiała panią rozebrać!

– A co to w ogóle za pomysły?

– Miałam nadzieję, że chociaż z panią nie będzie problemów.

Podeszła do szafki, podniosła słuchawkę staromodnego aparatu telefonicznego i wykrciła numer.

– Halo – powiedziała do słuchawki. – Sierżant Czaplińska z tej strony. Halo! Sierżant Czaplińska! Głuchy, człowieku, jesteś, do ciężkiej cholery?!

Poproszę o grupę interwencyjną. Osadzona się awanturuje.

– Stop, stop, stop! – zawołałam, podnosząc się z krzesła.

Chciałam złapać słuchawkę, ale zasłoniła telefon ciałem.

– Tak? – Spojrzała na mnie i zakryła słuchawkę.

– Czy ja się awanturuję? – spytałam niewinnie. – Od razu wzywać grupę interwencyjną? Po co? To nie będzie konieczne. Niech sobie chłopcy odpoczywają. Może coś zjedzą...

– Rozbierze się pani?

– Im bardziej pani naciska – zaczęłam wyjaśniać – tym bardziej mam nieprzyjemne skojarzenie z molestowaniem.

Odłożyła słuchawkę.

– No wie pani co? Przecież jesteśmy kobietami. A u lekarza to jak się pani rozbiera?

– Lekarz to co innego. To w końcu mężczyzna.

– Nie przedłużajmy tego. Muszę sprawdzić, czy niczego pani nie przemyca.

– Przemyca? Gdzie?

Westchnęła ciężko, kierując wzrok poniżej paska mojej spódnicy.

Aż mi się gorąco zrobiło.

– Oszalała pani? – spytałam. – Miałabym tam coś sobie włożyć? Po co?

– Niejedno już widziałam.

– Jak pani sobie to wyobraża? Że co ja tam mam? Piłę do metalu?

– Kobiety przemycają niebezpieczne narzędzia, zakazane przedmioty, narkotyki...

– Może mam tam cały sklep żelazny?! – oburzyłam się. – Kto wie? Faktycznie niech pani sprawdzi, bo może schowałam i zapomniałam! Pamięć już nie ta! Jak pani znajdzie okulary męża, to będę pani dozgonnie wdzięczna!

– Pani sobie ze mnie kpi?

– Wie pani, jak biedak słabo bez nich widzi? Tak oczy mruży – powiedziałam, pokazując, jak biedny Henryk mruży oczy. – O tak mruży. I nic prawie nie widzi. Rozumie pani?

– Ostatni raz ostrzegam, niech pani nie urządza sobie ze mnie kpin.

– A skąd? Wcale sobie nie kpię. Zaraz pani te okulary opiszę: grube szkła, półprzezroczyste oprawki i takie druciane zauszuki. Na pewno pani pozna!

Poczerwieniała ze złości i wyciągnęła w moim kierunku rękę.



– Dosyć tego! – wrzasnęła, chwytając guziki mojej koszuli.

Szarpnęła.

To gwałt!

Kłap! Zanim się zorientowałam, moje zęby zatopiły się w jej pulchnej dłoni!

Są miejsca i okoliczności, w których nie jest się sobą. Więzienie z pewnością do takich należy. Zezwierzęcenie jest oczywistą konsekwencją zamknięcia człowieka w klatce. A jak się z człowieka robi zwierzę, to trudno się dziwić, że ugryzie. O czym tu w ogóle gadać? Zwłaszcza jeśli ktoś nagle i bez uprzedzenia szarpnie za ubranie.

– Aaaa! – zawyła, łapiąc się za czerwony i całkiem głęboki ślad. – Pani mnie ugryzła!

– To przypadkiem. Niechcący... – zapewniałam, próbując chwycić jej dłoń, żeby zobaczyć, czy obrażenia nie są zbyt poważne.

Wyrwała się i ruszyła w kierunku drzwi. Otworzyła je i wyjrzała na zewnątrz.

– A ten gdzie znowu polazł?! – zachnęła się. – Do jasnej cholery!

Wróciła, trzaskając drzwiami. Otworzyła szafkę i zaczęła przekopywać jej zawartość.

– To atak na strażnika! – krzyczała. – Za to jest kwit karny!

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

– Co?! – Parsknęłam śmiechem. – Jakiś tam kwit i nic poza tym?! Śmiechu warte! Może jeszcze mam przyjść z dzienniczkiem?!

– Pożałuje pani tego!

– Lekkie zadrapanie. Trudno to nawet nazwać ugryzieniem, a jak lamentuje. Wstyd!

– Wzywam grupę interwencyjną! – odgrażała się, owijając rękę znalezionym w końcu bandażem.

– To ja poczekam na zewnątrz – poinformowałam. – Nie będę przeszkadzać.

Zostawiłam swoje rzeczy, ukłoniłam się, żeby nie wyjść na niekulturalną, i opuściłam pomieszczenie.

Na korytarzu nie było nikogo. Na samym końcu, za potrójną kratą i przeszklonymi drzwiami, dostrzegłam młodą uroczą strażniczkę i Borewicza. Rozmawiali i uśmiechali się. Borewicz palił papierosa. Żenada. W latach osiemdziesiątych to on sobie mógł palić. Wtedy to nie było jeszcze szkodliwe i zabójcze. Ale teraz?! Tylko samobójca teraz może

palić, wiedząc, że cena papierosów składa się prawie wyłącznie z podatku akcyzowego!

Poprawiłam ubranie, wzięłam głęboki oddech i postanowiłam spokojnie odejść.

Chodu!

Ruszyłam korytarzem w nieznanym kierunku. Nie mogłam dać się zamknąć w klatce. To byłby koniec. Nie zobaczyłabym już nigdy słońca, gór, lasów, łąk i wszystkiego, czego i tak bym nie zobaczyła, bo mnie przyroda niewiele interesowała, ale kto by się nad tym zastanawiał podczas ataku paniki.

W takiej chwili serce tak szybko pompuje krew, że ta może się zagotować. Jeżeli tak rozgrzana dostałaby się do mózgu, ten zwarzyłby się jak twaróg. Więc się nie dostaje. A niedotleniony i niedożywiony mózg nie myśli. Nie wiadomo, co się wtedy z człowiekiem stanie. Pewnie może wykonać jedynie najprostsze i prymitywne czynności życiowe. W moim przypadku była to ucieczka. Całe szczęście, bo obawiałam się czegoś gorszego.

Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że źle zrobiłam, ale nawet jeżelibym wiedziała, to i tak nie byłam w stanie nic na to poradzić. Mógł za to ogromny, przeogromny mężczyzna w mundurze, na którego zaraz wpadłam. Myślałam, że mnie nie zatrzyma, bo co kogo obchodzi jakaś staruszka. Myliłam się.

– Dzień dobry pani – powiedział, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Dobry, dobry – odpowiedziałam.

– Co pani tu robi?

– Idę.

– Dokąd?

– Do domu.

– A co pani tu robi?

– Ja... przyjechałam...

– W odwiedzinie?

– Tak! Właśnie! Przyjechałam w odwiedzinie... do synowej. Nagadałyśmy się za wszystkie czasy. Tyle mi opowiadała i ja jej też... Było bardzo miło. A teraz zejdź mi pan z drogi, bo mi się śpieszy.

– Tylko że dzisiaj nie ma odwiedzin – powiedział, opierając rękę o ścianę w taki sposób, żeby uniemożliwić mi przejście.

Popatrzyłam na niego. Ogromny, przeogromny człowiek. Ile taki musiał jeść?! Przekleństwo każdej matki. Jakbym miała takiego kloca karmić, to chyba musiałabym pole kartofli kupić. I krowę. Matko jedyna.

– Dużo pan je? – spytałam.

– Sporo. Dlaczego pani pyta? – odpowiedział.

– Z troski.

– Dziękuję bardzo. Radzę sobie.

– Nie o pana, tylko o pana matkę.

Westchnął.

– Co pani tu robi, skoro dzisiaj nie ma odwiedzin? – kontynuował poirytowany.

– Przyszłam do synowej...

– Jak pani się nazywa?

– Czaplińska.

– Jak?

– Czaplińska! Głuchy, człowieku, jesteś, do ciężkiej cholery?!

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– A tak – stwierdził. – Słyszałem krzyki. Szedłem właśnie zobaczyć, co się dzieje u koleżanki.

– A co miałyby się dziać? Synowa przewrażliwiona. Przyszłam ją odwiedzić, a ona zaraz, że „kontrola”! Wyobraża sobie pan?!

– A tak – zająknął się. – Tak, tak... jasne.

– Wystarczy tego przesłuchania? Zadowolony pan?

– Tak. W zupełności. Nie zatrzymuję pani.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Miłego dnia.

Odszedł.

Byłam przekonana, że odwróci się w moją stronę. Musiałam zniknąć z pola widzenia. Chwyciłam pierwszą lepszą kłamkę. Zamknięte.

Po chwili trafiłam na wnękę. Mieściły się w niej schody. Nie wiedziałam, czy prowadziły do wyjścia, ale musiałam nimi zejść, bo za plecami słyszałam sierżant Czaplińską, która wyszła na korytarz i zaczęła siać wokół mowę nienawiści.

Sceneria rodem ze strasznych filmów puszcanych w soboty po dwudziestej trzeciej. Ciemno, zimno, rury na suficie i ścianach. Szum, pukanie i stukanie. Zapach wilgoci, zgnilizny, brudna, lepiała się

podłoga. Nietrudno było się domyślić, że gdzieś w pobliżu znajdowała się kuchnia. Ruszyłam przed siebie.

W oddali usłyszałam rozmowę. Tak naprawdę to monolog. Podeszłam do szerokich, dwuskrzydłowych metalowych drzwi. W ich górnej części znajdowały się okrągłe okienka. Były tak brudne, że niewiele było przez nie widać. Zajrzałam do środka. Dwie kobiety przy dużym pokrytym blachą stole przygotowywały jedzenie. Jedna była okropnie wytatuowana, nawet na twarzy. Rozmazane fioletowe bohomy jak na ostatniej stronie uczniowskiego zeszytu. Druga blada, z podkrążonymi oczami, ogolona na łyso.

Za kuchnią była pralnia. Dalej kaplica. Tam weszłam.

Wiele widziałam w życiu kościołów, katedr, bazylik, ale też i małych kapliczek. Natomiast takiego cuda jeszcze nie. Wątle światełko paliło się nad skromnym, ledwo widocznym ołtarzykiem, który z trudem mieścił się pod przechodzącymi przez całe pomieszczenie rurami. Po jednej stronie konfesjonał, po drugiej klęcznik. Na suficie prysznic, na podłodze stara łazienkowa mozaika z kratką odpływową. Zamiast okna obraz. Matki Boskiej Ciepłowniczej!

Dzisiejsza porcja emocji spowodowała, że poczułam się nieco zmęczona. Biodro odezwało się dosyć boleśnie, więc usiadłam w konfesjonale. Trochę się uspokoiliłam. Powinnam sobie poradzić. O ucieczkach z więzienia wiedziałam wszystko po obejrzeniu dwóch filmów. Jednego z Clintem Eastwoodem, drugiego z Robertem Redfordem. Wynikało z nich, że z każdego więzienia da się uciec. Nie trzeba do tego być ani Clintem Eastwoodem, ani Robertem Redfordem, ani żadnym innym amerykańskim aktorem. Wystarczy mieć plan. A to nie takie trudne. Pracując w szkole, ułożyłam niejedną. Wyciągnęłam nogi i przymknęłam oczy.

Zanim jednak udało mi się jakikolwiek ułożyć, do kaplicy wszedł ksiądz. Potężny, opasły, przegruby. Takiego jeszcze nie widziałam. Jego wielki brzuch zdawał się wisieć do samej podłogi. Cud, że się nie urwał. Osobliwej był budowy, bo twarz miał szczupłą i zdrową. Młody chłopak w okolicach czterdziestki.

Stanął zasapany i przetarł pot obficie płynący po czole. Spostrzegł mnie i uśmiechnął się tak, że już wtedy mogłam podejrzewać, że nic dobrego mnie z jego strony nie spotka. Powinnam była to wiedzieć już wtedy, gdy

zobaczyłam jego uniesione policzki, wyszczerzone zęby i promieniejące oczy.

– Kochana, jakże się cieszę, że cię widzę! – zawołał. – Już się zacząłem obawiać, że nikogo nie zastanę.

– Też się cieszę, że księdza widzę – odpowiedziałam pełna nadziei, że ten człowiek mnie uratuje. – Ja tu się znalazłam przez wielkie nieporozumienie. Musi mnie ksiądz wysłuchać.

– Wszystko w swoim czasie. Proszę mi szybciotko pomóc, bo już mi wszystko strasznie ciąży. Jakby się miało urwać.

Zaniemówiłam, gdy ze zbolałą miną pogładził się poniżej pasa. Patrzyłam, nie mogąc uwierzyć w to, co widzę i słyszę.

– Nie bardzo rozumiem. Mógłby ksiądz wyjaśnić, na czym polega problem?

– Ach, bo pani jest nowa.

– Można tak powiedzieć.

– No tak, tak. Wcześniej była tu dziewczyna, która wiedziała, o co chodzi. Miała bardzo sprawne ręce. Ale ty też sobie poradzisz, kochana. Schyl się albo lepiej uklęknij i rozepnij mi szaty, bo widzisz chyba, że sam nie sięgam.

– Fuu! – krzyknęłam oburzona. – Jak ksiądz może? Nie zrobię tego!

– Jak to? To co mam zrobić? Sam sobie nie pomogę.

– Ksiądz wybaczy, ale to nie mój problem. Nie chcę dłużej tego słuchać. Wychodzę!

– Przecież to wszystko dla was robię.

– Dla nas? Tak ksiądz myśli? To, że jesteśmy w więzieniu, nie znaczy, że jesteśmy aż tak zdesperowane.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Nie wiem, co powiedzieć – stwierdził. – Przecież same mnie prosiłyście...

– Możliwe, że tak było, ale to nie byłam ja.

– Przecież pani z pewnością także ma potrzeby. To naturalne. Tak zostaliśmy stworzeni. Podstawowe potrzeby ciała trzeba zaspokajać, a można też dać sobie od czasu do czasu nieco przyjemności, odrobinę słodczy.

Uśmiechnął się przy tym tak niewinnie, że stało się to jeszcze bardziej obrzydliwe i odrażające.

– Nie wierzę, że ksiądz to mówi. – Pokręciłam głową. – W jakim ja się okropnym miejscu znalazłam. Przestaję ten świat rozumieć.

– To co mam zrobić? Mam przyprowadzać ministranta, żeby mnie za każdym razem uwalniał od tego ciężaru?

– Matko! To się nie dzieje naprawdę! W jakim ja świecie żyję?!

– Czego pani ode mnie oczekuje? Mam pani zapłacić?

– A mógłby ksiądz? – zawahałam się przez chwilę. Tylko przez krótką chwilę, która nie miała żadnego znaczenia.

– I co jeszcze?! Oczywiście, że nie zapłacę! Do czego to doszło?! – Oburzył się tak, że aż poczerwieniał na twarzy, a cały brzuch zaczął mu podskakiwać. – Rozpinaj sutannę i wyciągaj wszystko na wierzch! – krzyknął. – Inaczej wydam cię strażnikom! Już oni będą potrafił się tobą zająć!

Przestraszyłam się, choć przecież skąd miałam wiedzieć, co mnie jeszcze w życiu spotka. Pewnie już tylko same gorsze rzeczy. A to bądź co bądź ksiądz. Nie był to znowu aż taki najgorszy mężczyzna. Może to nie byłby nawet wielki grzech.

No i skoro miał ze sobą przyprowadzić biednego ministranta, to już wolałam, żeby wykorzystał mnie. Taka już byłam. Wszystko dla innych.

Przyklękłam i odnalazłam guziki ukryte w fałdach czarnej tkaniny. Niech sobie nie myśli, że ja nie mam sprawnych palców!

Gdy rozpięłam guziki, ksiądz szybko chwycił poły sutanny i rozchylił na boki. A moim oczom ukazał się widok, którego nigdy już nie zapomnę. Śmiesznie chude nogi, ale to nic w porównaniu z tym, co wisiało z przodu.

W życiu nie widziałam tyle dobra! Wszystko to natychmiast mogłabym wziąć do ust.

– Jakie to piękne! – krzyknęłam z radości.

– Proszę się pośpieszyć – odpowiedział. – Już mnie boli.

Patrzyły na mnie dwie wielkie czerwone biedronki. Ogromne, nabrzmiałe, pękate, wypchane tak, że niemal im uszy oderwało!

Takie właśnie były siaty z zakupami z popularnego dyskontu podwieszane u jego pasa. Trudno je było odwiązać. Pod ciężarem towarów węzły tak się zacisnęły, że nie wystarczyły nawet sprawne palce. Musiałam pomóc sobie zębami, choć nie wiedziałam, czy to wypada. Skoro jednak składał tak nikczemne propozycje, na pewno nie miał nic

przeciwko temu. Chwyciłam więc zębami za węzeł i właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi kaplicy.

– Przepraszam – powiedziała jakaś kobieta.

Ksiądz wprawdzie wyjątkowo przytomnie zarzucił mi na głowę sutannę, ale nie wiem, czy udało mu się wszystko ukryć.

Kobieta zaraz potem wyszła, bo gdy się odwróciłam, już jej nie było.

– Niewiele brakowało – stwierdziłam z ulgą.

Ksiądz był znacznie mniej zadowolony. Spojrzał na mnie zawiedziony, mimo że uwijałam się przecież, jak mogłam. Gdy go w końcu uwolniłam od ciężaru, nawet nie podziękował. Zaniósł siaty do kantorka, skąd z kolei wyciągnął ogromną poduszkę i wepchnął ją sobie pod sutannę. Westchnął ciężko, przewrócił oczami, przeżegnał się i wyszedł.

Ani trochę mnie nie interesowała zawartość siatek. Co ja jedzenia nie widziałam? Podeszłam do nich zupełnie obojętnie. Zajrzałam. Myśląc o przemyśle, człowiek spodziewa się zazwyczaj plantacji marihuany lub podwarszawskiej wytwórni amfetaminy, których odkryciem słusznie chwali się rzecznik prasowy policji. Nic takiego nie znalazłam.

Wyraźnie za to widziałam serki waniliowe, jogurty, parówki, drożdżówki, pudełko borówek i malin, bułeczki maślane, suchą krakowską, dezodorant, proszek do prania w kolorze i niskiej temperaturze, dwie butelczyny gorzałki, kilka kartonów papierosów i jakieś kolorowe gazetki. Diler gwiazd to raczej nie był. A może i był. Tyle że jakie gwiazdy, taki diler!

Niedługo potem z korytarza dobiegł dźwięk. Był dziwnie znajomy. Słodko-kojące skrzywienie nienasmarowanych kółek starego przerdzewiałego szmelcu.

Chwilę walczyły we mnie strach i ciekawość. Strach wygrał bezdyskusyjnie i nakazał natychmiastową ucieczkę, ale człowiek nie po to ma rozum, żeby zdawać się na prymitywne instynkty. Postanowiłam dać szansę ciekawości, która przecież od stuleci pchała naszą wielką cywilizację ku nowym odkryciom i postępowi.

Schowana w konfesjonale czekałam, a gdy dziwne dźwięki się zbliżyły, przylgnęłam do drewnianej kratki, żeby zobaczyć owego stalowego potwora.

Drzwi otworzyły się i ujrzałam przedziwną machinę. Podest na małych kółkach zastawiony wielkimi garami. Ktoś wszedł do kaplicy. Wygolona dziewczyna o podkrążonych oczach. Wycofałam się w głąb konfesjonau.

Tamta jednak ruszyła prosto w moim kierunku. Nie mogła mnie przecież widzieć. Podeszła i chwyciła reklamówki. Nie wytrzymałam. Złapałam je. Odskoczyła. Zajrzała w ciemność konfesjonatu. Widać było, że wyteżała wzrok, próbując coś dostrzec. W końcu jej się udało, bo spojrzała na mnie pogardliwie i ze zdwojoną siłą chwyciła siatki. Pociągnęła mocno w swoim kierunku. Ja także. Było pewne, że nie dam sobie odebrać tych skarbów, ale z korytarza dobiegł potężny męski głos.

– Co tam robisz?! – wrzasnął. – Przeżegnać się i do roboty!

Chwila dekoncentracji wystarczyła, żeby Wygolona szarpnęła tak, że nie zdążyłam zareagować. Porwała zdobycz niczym hiena i wybiegła na korytarz. W pierwszym odruchu ruszyłam za nią, ale zatrzymałam się natychmiast, obawiając się pochwycenia przez strażnika, który stał obok Wytatuowanej w świetle korytarza.

– Co tak długo? – spytał.

Cofnęłam się w głąb konfesjonatu.

– Tak się panu śpieszy? – wtrąciła się Wytatuowana.

– Nie odzywaj się niepytana – skwitował.

Pchnęły wózek. Musiał być ciężki, bo ruszył dopiero po chwili, kiedy natarły na niego całą swoją wątłą masą. Metalowe kółka drgnęły i zaczęły się z piskiem obracać. Strażnik wspierał je mentalnie oraz dobrym słowem.

Wygolona spojrzała jeszcze raz w głąb ciemnej kaplicy. Nie miałam najmniejszego zamiaru zastanawiać się, kim była i co nią kierowało. Miałam już dosyć i zamierzałam szybko zakończyć mój i tak zbyt długi pobyt w tym żenującym i ze wszech miar rozczarowującym miejscu.

Wyszłam z kryjówki, dopiero gdy usłyszałam ciche przemykanie drzwi, a potem odgłosy rozmowy zanikły.

Na chwilę zrobiło mi się przykro na wspomnienie cudownego ciężaru wypchanych towarami siat. Zbyt krótko przebywałam w ich towarzystwie. Nie zdążyłyśmy się sobą nacieszyć. Otworzyć, zbliżyć, poczuć, nasycić zmysły, przeżyć piękne uniesienie, a potem błogi spokój. Ich pękaty kształt, szelest folii, zapach niskiej jakości plastiku jeszcze długo powodowały, że każdy z moich zmysłów rezonował. Drżałam niczym dziecko w peweksie.

Najwyższy czas, żeby się ulotnić. Poczektałam, aż wszystkie odgłosy ucichną, i wyszłam na korytarz. To nie było miejsce dla mnie. Inna rzeczywistość, nie moja konwencja. Byłam zwykłą osobą, przechodniem,



pasażerem komunikacji miejskiej, a nie kryminalistą. Tu był jakby inny wymiar. Poza naszym światem. Czułam i wiedziałam, że do niego nie należę, że to inni ludzie tu się powinni znaleźć. Nie ja!

Jedna przeszkoda dzieliła mnie od wolności. Była to ciężka, stalowa potrójna krata otwierana elektronicznie i pilnowana przez strażników. Nie było możliwości jej sforsowania. Na to służba więzienna z pewnością była przygotowana. Musiałam myśleć kreatywnie. Niestety, nie miałam żadnych nowych pomysłów. Przyszedł mi za to głowy ten co zawsze.

Ruszyłam w stronę kuchni, która była naturalnym miejscem wszelkich nieszczęść i katastrof. Spojrzałam przez brudne okrągłe okienko podwójnych drzwi i po upewnieniu się, że nikogo nie ma w środku, pchnęłam je zdecydowanie. Otworzyły się na oścież, witając mnie na arenie zniszczenia. Nie można było mnie winić za to, co miało nastąpić. Przecież do niczego by nie doszło, gdyby drzwi były zamknięte.

Wielki metalowy stół zajmował centralne miejsce sporego, wyłożonego kafelkami pomieszczenia. Z tyłu cztery gazowe palniki. Na dwóch z nich stały ogromne gary. Dotknęłam – zimne. Zajrzałam – puste. Dekoracja!

Rozzłościło mnie to jeszcze bardziej. Odkręciłam gaz i strzeliłam kilka razy elektryczną zapalarką. Uroczy szereg małych niebieskich płomyczków okrążył wielki żeliwny palnik. Rozejrzałam się i z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że pomieszczenie było sterylnie czyste. Nie do pomyślenia. Jeszcze takiej kuchni nie widziałam. Raziło, biło w oczy, nie dało się patrzeć. Musiałam przegapić odcinek, kiedy Gessler robiła tu rewolucję! Ale najgorsze, że nie było nic do spalenia.

Doskonały plan uratowały wiszące przy drzwiach stare fartuchy. Chwyciłam je i rzuciłam na palnik. Niskiej jakości tkanina z domieszkami sztucznych włókien nie zapaliła się wprawdzie, ale zatliła, wydzielając okropny, zapewne toksyczny smród. Doskonały.

Teraz wystarczyło przycząć się w korytarzu do momentu wszczęcia alarmu i rozpoczęcia ewakuacji. Kraty muszą zostać otwarte. Inaczej wszyscy zginą. W zamieszaniu towarzyszącemu pożarowi nikt nie zwróci uwagi na zbłąkaną starszą panią. Wozy strażackie, ambulanse, służba więzienna – ogólna panika. A ja przecież nie widniałam jeszcze w żadnej więziennej ewidencji. Nikt nie wiedziałby, skąd się tu wzięłam. To musiało się udać.

Czarny dym zebrał się pod sufitem, a gdy zajął całą jego powierzchnię, należało już tylko wskazać mu drogę na korytarz. Chciałam chwycić za

klamkę... nie było klamki! Wygodne rozwiązanie.

– Ratunku! – krzyczałam i waliłam pięściami w drzwi. – Niech mnie ktoś stąd wypuści. Do cholery.

Dziwnie szybko dopadło mnie zmęczenie. Za szybko. Zakryłam rękawem usta, ale dym był gęsty i nie pozwalał oddychać. Osunęłam się na ziemię.

– Ratunku – powiedziałam cicho, kładąc się na podłodze.

\*\*\*

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam w kłębach dymu, była postać strażaka. W mundurze bojowym, obwieszony sprzętem. Był filigranowy. Nachylił się nade mną i wtedy ujrzałam jego twarz... kobietą, piękną, o delikatnych rysach i dużych smutnych oczach. Patrzyła na mnie, a jej wzrok miał w sobie ciepło, ale też jakieś niezrozumiałe dla mnie emocje. Nieodgadnioną tajemnicę.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała anielskim głosem. – Pójdiesz ze mną.

– Nie wstanę – odpowiedziałam.

– Zaniose cię.

– Nie dasz rady.

– Nie znasz mnie.

Uśmiechnęła się, a ja poczułam się błogo, spokojnie i bezpiecznie, jak wtedy, gdy będąc małą dziewczynką, wracałam do domu, gdzie witał mnie zapach placków smażonych przez mamę i widok taty czytającego w fotelu gazetę. Zrobiło mi się miło, ciepło i zdawało mi się, że się unoszę.

\*\*\*

Nagle zawył alarm. Po chwili z korytarza dobiegło dudnienie ciężkich buciorów. Huk wyważanych drzwi. Podniesione męskie głosy. Krótkie nerwowe zdania. Ktoś mnie chwycił. Coś huknęło i w ułamku sekundy pomieszczenie wypełniła piana. Cała moja praca zniszczona!

– Nic pani nie jest? – spytał ten, który niósł mnie na rękach. – Jak się pani czuje?

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam złapać oddechu. Moje płuca skurczyły się i skleiły.

– Jak się pani tu znalazła? – pytał upierdliwie.

– Dobrze, że panią znaleźliśmy – dodał drugi równie zatroskany.

– Zabierzemy panią na powietrze.

Uśmiechnęłam się w głębi duszy. Ponieśli mnie korytarzem. Przez zmrużone oczy widziałam kolejne otwarte kraty, lampy, drzwi do pokoi, kilka nerwowo poruszających się osób oraz zbliżające się, lśniące dziennym światłem przeszklone drzwi.

Zaraz, chwila... Dałam znak ręką, że chcę coś powiedzieć. Niosący mnie funkcjonariusz nastawił ucho.

– A gdzie jest ten strażak? – spytałam słabym głosem.

– Jaki strażak? – odpowiedział zaskoczony.

– Mały strażak o smutnych oczach.

– Nikogo takiego tutaj nie było. Musiało się pani zdawać.

Położyli mnie na ławce.

– Wezwiemy pogotowie.

– Dobrze.

Kilka osób kręciło się wokół, ale ja nie zwracałam na nie uwagi. Wystawiłam twarz na światło słoneczne. Poczułam ciepło i świeże powietrze. Myślałam, że już tego nigdy nie doświadczę. Uśmiechnęłam się i zamknęłam oczy. Jak dobrze!

Myślałam tylko o tym, żeby już nigdy tu nie wrócić. Zacząć nowe życie. Ciche i spokojne. Cieszyć się z małych rzeczy. Z drzew, ptaków, słońca, wody i powietrza. Przestrzeni i wolności. Nie dostrzegałam, ile miałam. Nie potrafiłam się tym cieszyć. Na szczęście zdołałam to sobie uświadomić i dzięki temu miałam zamiar przeżyć resztę życia jako szczęśliwa i ze wszystkiego zadowolona osoba!

– Ktoś o panią pytał. – Usłyszałam obok siebie spokojny głos.

– Jak miło – odpowiedziałam. – Mężczyzna?

– Tak.

– Przystojny?

– Niezbyt.

– To pewnie mój mąż Henryk lub syn.

Chciałam, żeby czekali na mnie pod bramą, żebyśmy byli w końcu razem i żeby wszystko się dobrze skończyło. Wybaczyłbym im winy, te przeszłe, bieżące oraz te, których nie zdążyli jeszcze popełnić. Mogliśmy

zacząć wszystko od nowa. Otworzyłam oczy, żeby spojrzeć na ukochane gęby tych moich gamoni i powiedzieć im co nieco do słuchu.

Ale to nie byli oni. Siedem miliardów ludzi na świecie, a musiał stanąć nade mną akurat on.

Borewicz.

Aż mi się słabo zrobiło.

Powiedzieć, że był zdenerwowany, to jakby nic nie powiedzieć. Poczzerwieniał na twarzy, a na czole pojawiła mu się brzydka zielononiebieska żyła.

– Gdzie pani zniknęła? – wymamrotał, wytrzeszczając oczy. – Wszyscy pani szukali. Nawet pani nie wie, jakiego bałaganu narobiła.

Rozejrzałam się. Nic się nie zgadzało. Budynki, mur, zasieki i osadzone oraz pilnujący ich strażnicy. Gdzie brama, gdzie parking, ulica, przystanek autobusowy, miasto, życie, wolność?!

– Nie wiem, gdzie zniknęłam. Zabłądziłam. Sama bardzo chciałabym wiedzieć, gdzie jestem.

– Jest pani w miejscu zbiórki do ewakuacji. Na więziennym dziedzińcu. Wybuchł pożar i zarządzono ewakuację. Pewnie zwarcie instalacji.

– Jak nic zwarcie instalacji – potwierdziłam.

– Nic pani nie jest? – spytał.

– Oczywiście, że nie. A niby co miałyby mi być?

Spojrzał na mnie, po czym zapiął mi na nadgarstku kajdanki.

– Co pan robi? – spytałam.

– To dla pani bezpieczeństwa – odpowiedział.

– Trochę ciasno.

Strasznie się teraz zrobił nieufny i nieprzyjemny, a tacy ludzie przeważnie nie są zbyt lubiani.

Czułam się potwornie zawiedziona nieudaną ucieczką.

Tyle miałam planów. Mogłam jeszcze tak wiele osiągnąć. Całe życie było przede mną. Nieskończony ocean możliwości, po które wystarczyło sięgnąć. Ale to prysło w jednej chwili i musiałam ponownie wtłoczyć się w ciasną rzeczywistość więzienia. Stłamsić rozmach, z jakim żyłabym na wolności. Zdusić kwiat, który jeszcze mógł rozkwitać. Niczego nie jest tak bardzo żal jak niewykorzystanych możliwości, zmarnowanego talentu i przedwcześnie zgaszonej radości życia.

Ucieczka wprawdzie była nieudana, ale przynajmniej próbowałam, a to się liczyło. Inni tylko siedzieli beczynnym i czekali. Karygodna bierność,

zobojętnienie, marazm i dekadentyzm. Niczego się w ten sposób nie osiągnie. Ja się starałam. Byłam ambitna, aktywna, kreatywna i przedsiębiorcza. Nie poddawałam się i konsekwentnie dążyłam do celu. To wartość sama w sobie. Jeżeli wszyscy zachowaliby się tak jak ja, to więzienia już dawno nie byłyby przeludnione. Tylko puste!

– Wie pan co? – zwróciłam się do Borewicza. – Jednak coś mi jest.

– Dobrze pani wygląda – odpowiedział.

– Widzę tunel... na końcu światło...

– Wezwę lekarza.

– Miałabym czekać na tym zimnie? Proszę mnie zabrać do ambulatorium.

## Rozdział 3

Żadnej nie miał ten człowiek kultury ani ogłady. Zamiast poszkodowaną w groźnym pożarze zanieść, kazał mi całą drogę iść.

Gdy byliśmy na miejscu, poczułam się dziwnie. Bardzo nienaturalnie. Wszystko wyglądało na prawdziwe: lekarz, pielęgniarka, gabinet, ale czegoś brakowało. Pewnej wzniosłości, magii tego miejsca, do którego żeby się dostać, trzeba było się kilka dni wcześniej zapisać i od czwartej nad ranem pilnować kolejki. Jak już człowiek głodny, wyczerpany, ze spuchniętymi nogami w końcu dostał się do lekarza, to wiedział, że jest wybrańcem losu. Znał doniosłość i niezwykłość miejsca i chwili. Czuł się jak na audiencji u Jana Pawła II. Uniżenie i z należytych szacunkiem wchodził do świątyni służby zdrowia wysłuchać tajemnych i niezrozumiałych słów wyroczni.

Tymczasem tutaj... Po prostu weszliśmy. Żenada.

Borewicz zaprowadził mnie do pokoju, do którego nie było żadnej, nawet najmniejszej kolejki. W barbarzyński sposób odarł to miejsce z niezwykłości, a rytuał wizyty sprowadził do najzwyczajniejszej rozmowy. Na co komu taka wizyta u lekarza?!

Usiadłam na krześle zde gustowana. Nie było już na tym świecie żadnej świętości.

– Dobrze się pani czuje? – spytał nieco podstarzały jegomość, podnosząc wzrok znad wąskich okularów. – Może pani swobodnie oddychać?

– Panie doktorze – odpowiedziałam. – Przecież my na co dzień oddychamy sadzą i benzopirenem. Jestem przyzwyczajona.

– Oślucham panią. Proszę się rozebrać od pasa w górę.

– Znowu? Co wy tu wszyscy z tym rozbieraniem?

Spojrzałam na kobietę siedzącą na przypominającym szpitalne łóżku. Miała na sobie kurtkę i trzymała w ręku torbę.

– Jak pani na imię? – spytałam.

Odwróciła się.

– Może pani patrzeć – powiedziałam. – To tylko badanie.

– Czy mogłaby się pani skoncentrować i przestać kręcić? – spytał lekarz, próbując przystawić mi do piersi stetoskop.

Spojrzała na mnie.

– Niech się pani w końcu odezwie. Trzeba z ludźmi rozmawiać.

– Nie mam nic do powiedzenia kryminalistkom.

– Ja też.

Zaśmiała się.

– Jestem Zofia.

– Ewa.

Uśmiechnęłyśmy się obie i podałyśmy sobie dłonie.

– Coś pani dolega? – spytałam.

– Jestem zdrowa jak Puszcza Białowieska – odpowiedziała.

– Pani też za niewinność?

– Prokurator się na mnie wziął. Nie zdaje sobie pani sprawy, jaka z niego kanalia.

– Oczywiście. Za coś przecież mu płacą. Ale skoro pani tu jest, to chyba miał jakiś pretekst.

– Chce, żebym zeznała w sprawie, którą prowadzi.

– Za to panią zamknął?

– Nazwał to aresztem wydobywczym.

– Niech się pani zgodzi.

– Zgodziłam się, mimo że się mogą odnaleźć mnie w więzieniu. Sam prokurator nie wie chyba, co robi. Nie chcę o tym mówić. To niebezpieczne.

– Tym bardziej nie może pani pozostać bez wsparcia. Nie ma pani się do kogo odezwać?

– Chyba sobie pani żartuje? To straszne miejsce. Sam element. Kryminalistki.

– Znając nasz wymiar sprawiedliwości, to jest tu sporo niewinnych osób.

– Jedną dziewczynę kojarzę. Musiałam ją poznać w banku. Agnieszka... nazwisko na F.

– No widzi pani. – Uśmiechnęłam się. – Powolutku trzeba się otworzyć na ludzi i pozwolić sobie pomóc. Ludzie są życzliwi.

– Nie wiem nawet, czy to ona – kontynuowała. – Tu wszyscy wyglądają inaczej. Nie przyglądałam się. Minełyśmy się pod prysznicem. Chyba bardzo religijna. Tak wynikało z kontekstu rozmowy. Miała okropne znamię na ciele. Na tyłku, dokładniej mówiąc. A może to nie ona. Starłam się nie patrzeć. Nieważne.

– Płuca czyste – powiedział lekarz.

– Czyste płuca! Przy naszym stanie powietrza? – oburzyłam się. – Pan to mnie w ogóle badał czy tylko przysłuchiwał się damskim ploteczkom?

– Proszę wypoczywać i nie przemęczać się – dodał. – Może pani wracać.

Specjalista się znalazł. W takim zadymieniu to przecież umrzeć można było. Wstałam i zaczęłam zapinać sweterek.

– Wszystko będzie dobrze – zwróciłam się jeszcze do Ewy. – I niech się panie nie boi. Nikt pani nie znajdzie.

– Dziękuję pani – odpowiedziała.

– Ach, gdzie ja mam głowę? Przecież ja mam dla pani wiadomość.

– Wiadomość?

– Adwokat kazał mi pani powtórzyć: „Droga Ewo, zawsze będziemy o tobie pamiętali, koledzy”. Miłe, prawda?

Nie ucieszyła się. Raczej spojrzała na mnie w taki sposób, jakbym jej coś złego zrobiła. Zakryła ręką twarz i się odwróciła. Widocznie odwykła od życzliwości. Nawet nie podziękowała. Zdawało mi się, że się rozpłakała. Dopiero poznawałam miejsce. Może tak właśnie tu reagowali.

Tak czy inaczej wywiązałam się doskonale ze swojego zadania i liczyłam, że adwokat tak samo dobrze zajmie się moją sprawą. A wtedy tutejsze problemy nie powinny mnie w ogóle obchodzić.

Ubrałam się i wyszłam.

Przed drzwiami czekał strażnik. Borewicz nawet się nie pożegnał. A tyle razem przeżyliśmy. Pewnie pojechał ścigać kolejną staruszkę.



## Rozdział 4

Ponownie otrzymałam swoje więzienne wyposażenie, wprowadzono mnie do rejestrów, przeszukano, ponumerowano, sfotografowano i zaewidencjonowano. Nie miałam już siły na walkę. Czułam, że przegrywam. Wrzucono mnie do maszynki, która miała mnie zmielić i wydalić. System musiał funkcjonować.

Kloc poprowadził mnie szerokim korytarzem. Otworzył wizjerek w jednych z drzwi i wsunął klucz do zamka. Wtedy podbiegł do niego spocony facet w szarej marynarce. Cały się trząsł. Odeszli na bok i przez moment rozmawiali ściszym, ale pełnym napięcia głosem, co chwila spoglądając to na mnie, to w głąb korytarza. Po chwili wrócili do mnie.

– Idziemy – powiedział Kloc, biorąc mnie pod ramię.

Nie wiedziałam, dokąd idziemy, ale nie podobało mi się to. Już spotkały mnie tu przemoc, niesprawiedliwość i molestowanie. Czego jeszcze miałam się spodziewać?

Otworzyli kratę i przeszliśmy na drugą stronę korytarza. Pod jednymi z drzwi zebrała się zgraja strażników.

Zagląдали do środka. Komentowali.

Tortury. Chcieli mnie złamać. Musiało do tego dojść. To oczywiste.

Zatrzymaliśmy się przy tych drzwiach. Otworzyli i zaprosili do środka. Spojrzałam na nich. Uśmiechali się nieszczercze.

– Proszę wejść – powiedział Kloc.

– Nie chcę – odpowiedziałam. – Nie wejdę. Ja nic nie zrobiłam. To było niechcący. Poniosło mnie. Tylko ten jeden raz. Już nie będzie ze mną żadnych problemów.

Spocony facet w szarej marynarce chwycił za ramię.

– Musi pani – wycedził przez zęby. – To ważne. Zaraz będzie po wszystkim.

– Sadyści! – zaczęłam wrzeszczeć. – Degeneraci!

– Właż... to znaczy proszę wejść, pani Wilkońska – gorączkował się spocony facet w szarej marynarce. – No już!

Wepchnęli mnie. Może niezbyt mocno jak na takich dużych mężczyzna, ale jednak. Przemoc to przemoc i nie ma co się oszukiwać i nazywać tego inaczej. Jedno niewinne popchnięcie. Wybaczone, zapomniane,

przemilczane. Potem kolejne mocniejsze i ani się człowiek obejrzy, a pewnego dnia obudzi się na OIOM-ie pytany przez policjanta: „Jak do tego doszło?”, a jedyne, co wtedy mu odpowiemy, to: „Nie wiem, jak to się stało, ale z pewnością to moja wina”.

Gdy znalazłam się w środku, zwolnili uścisk i wrócili na korytarz. Rozejrzałam się. Tego właśnie się bałam – tych ciasnych, brzydkich, podłych miejsc. Było naprawdę źle. Nawet biorąc pod uwagę, że nierzadko bywałam w bardzo budżetowych lokalach. Tak źle jak to sobie wyobrażałam albo nawet ciut gorzej.

Pomieszczenie za duże, nieprzytulne, pozbawione jakiegokolwiek intymności. Rząd wielkich okien. Nie wiadomo po co. Ogromny, ale za to zupełnie płaski telewizor. Taki, którego nikt nie potrafi nawet włączyć, a co dopiero kanał zmienić. Cztery rozłożyste łóżka przykryte narzutami i poduszkami. Po to takie duże, żeby dłużej je trzeba było ścielić. Do tego żyrandole, dywany, obrazy, regał z książkami i sprzęt grający, stoliki, szafeczki, komody. Nie wiadomo po co to i dla kogo. A na nich patery pełne jedzenia. Z radia płynęła nudnawa melodia, a w powietrzu unosił się mdławy aromat.

Trzy łóżka zajęte były przez schludnie ubrane kobiety. Sprawiały miłe wrażenie. Od razu było wiadomo, że coś tu jest nie tak.

Bez zastanowienia rzuciłam się w stronę wolnego łóżka, krzyząc:

– Moje!

Po zabezpieczeniu kawałka terytorium rozejrzałam się za prowiantem. Spojrzałam na patery. Do czego to podobne? Same owoce! Przeliczyłam. Jedna z kobiet miała o jedną pomarańczę więcej.

Wtedy ktoś pojawił się w drzwiach. Grupa elegancko ubranych kobiet i mężczyzn z plakietkami opatrzonymi unijnymi emblematami. Kloc, spocony facet w szarej marynarce i reszta stali za nimi bladzi i spięci.

– *It's our basic* – wyjąkał spocony facet w szarej marynarce. – *Small but fair.*

– *Oh, no* – zaprzeczyła czarnoskóra kobieta w granatowej garsonce. – *That's nice, very nice!*

– *Yes* – zawtórował jej wysoki jasnowłosy brodac. – *Very well, very well.*

Czarnoskóra kobieta uśmiechnęła się do mnie ciepło. Zdziwiłam się. Dawno nikt nie okazał mi nawet odrobiny życzliwości. To była moja szansa. Możliwe, że ostatnia. Jeżeli gdzieś istniała sprawiedliwość, to

właśnie w europejskiej kolebce cywilizacji. Tam musiałam szukać zrozumienia i pomocy. Niemal każdy naród kiedyś nas najechał, nie pomógł w ogóle, za późno lub niewystarczająco, przeinaczył historię lub nazwisko. Byli mi to zatem winni.

Ruszyłam w kierunku drzwi, ale na drodze stanęła mi ta patera z pomarańczami. Chciałam przejść obok niej obojętnie. Udać, że jej nie widzę, że mnie to nie dotyczy, nie obchodzi. Ale nie mogłam. To jasne, że skoro na koniec została jedna pomarańcza, to nie było jak jej podzielić, ale jeśli miałam walczyć o sprawiedliwość na arenie międzynarodowej, to musiałam też potrafić zawalczyć o sprawiedliwość lokalnie. Zacząć od małych, pozornie nieważnych rzeczy.

– *Oh, she wants to say something* – powiedziała czarnoskóra kobieta w granatowej garsonce, wskazując na mnie.

– *Let her speak* – dodał z zainteresowaniem wysoki jasnowłose brodac.

Chciałam powiedzieć coś mądrego, wielkiego, poruszyć ich serca, ale zamiast tego chwyciłam tylko tę jedną pomarańczę i krzyknęłam:

– Ha! Jest moja!

W tym momencie pozornie tylko miłe kobiety obnażyły swoją prawdziwą chciwą naturę. Rzuciły się na mnie jak zwierzęta. Pierwsza skoczyła niczym lampart poprzednia właścicielka nadprogramowej pomarańczy. Dalej poszło szybko. Pozostałe także przestały udawać, że są miłe i sympatyczne, i dołączyły do szarpaniny o jeden głupi owoc. W ten prosty sposób zaczęła się regularna jatka.

– *What are they doing?* – spytał zaskoczony brodac.

– *I don't really know* – odpowiedziała przerażona czarnoskóra kobieta.

– *But it seems like... they are fighting for food!*

Cała grupa obcokrajowców wycofała się z celi z wyrazem zażenowania na twarzach. Widocznie nie przygotowali się odpowiednio na tak znaczące różnice kulturowe.

Było nieco szarpaniny, krzyków i kilka kępek wyrwanych włosów.

Gdy Klocowi udało się nas okiełznać, niczym biblijny król rozwiązał też nasz najważniejszy problem. Zabrał mi tę pomarańczę, a właściwie to, co z niej pozostało. Dokonał w ten sposób sprawiedliwego, a jednocześnie bardzo prostego podziału. Żadna nie dostała nic.

Idealizm, który wciąż tkwił głęboko we mnie, był bardzo kosztowny. Zgubił mnie podobnie jak wielu idealistów przede mną. Gdybym nie

walczyła o tę jedną niepodzieloną, symbolizującą niesprawiedliwość, z pewnością zjadłabym w tym czasie całą paterę.

Okazało się także, że jednak miałam rację i nie była to moja cela. A szkoda, bo mogłam się przyzwyczaić i zaakceptować to pomieszczenie.

Ruszyliśmy korytarzem. Kloc po kolei odprowadził każdą do swojej celi. Podchodził do stalowych drzwi pokrytych nierówno kilkoma warstwami farby. Były grube, wypukłe i przypominały klapę od czołgu lub jakiś właz. Miały śmieszoną klamkę jak od starej lodówki lub samochodu. Wyglądało to tak, jakby trzymano za nimi demony, zombi lub inne filmowe potwory, które miałyby forsować te drzwi z nadludzką i niewyczerpaną siłą.

Uchyłał wizjer, zaglądał do środka, wkładał klucz do zamka i przekręcał. Otwierał drzwi, osadzona wchodziła i ruszaliśmy dalej.

Moja kolej nadchodziła nieubłaganie. Czułam się jak dziecko w kolejce do dentysty. Nie nastąpił cud. Już tylko we dwójkę zatrzymaliśmy się przed następnymi drzwiami.

– Jest pani na miejscu – stwierdził.

Chciałam powiedzieć, że jest w błędzie. Ale nie potrafiłam. Powoli zaczęłam zdawać sobie sprawę, że mógł mieć rację.

Uchylił wizjer, zajrzał do środka, włożył klucz do zamka i przekręcił.

Otworzył drzwi.

Nic już się nie dało zrobić.

Cela wielkości przedziału kolejowego była duszna, ciasna i ciemna. Wypełniały ją całkowicie dwa piętrowe zielone łóżka, stolik i umywalka. Nie było ani kawałka wolnej podłogi. Na poręczach, oparciach i przewieszonych pod sufitem sznurkach wisiało pranie. Parapet, stoliczek, krzesło, umywalka, każda płaska powierzchnia zastawiona była butelkami, słoikami, pudełkami, pudełeczkami, kosmetykami i najróżniejszymi gratami.

– Proszę pana... – zwróciłam się do Kloca. – Ale ten przedział jest już chyba zajęty.

Nie odpowiedział. Popchnął mnie delikatnie do środka.

– Czy moja prośba została rozpatrzona? – spytałam. – Prosiłam o jedynekę.

Trzasnął ciężkimi drzwiami i przekręcił klucz.

W jednej kwestii miała pani z administracji miała rację. Kolejek pod drzwiami do łazienki tu raczej nie będzie. Ale tylko dlatego, że nie ma

drzwi do łazienki!

Coś się w tamtym momencie zmieniło. Coś się skończyło i niestety coś się także zaczęło. Zostałam zamknięta w szybkowarze, którego stalowa pokrywa została skonstruowana tak, żeby wytrzymać ogromne narastające w środku ciśnienie i temperaturę. Nic się nie mogło wydostać na zewnątrz. Jedynie sycząca skondensowana para poruszająca gwizdek informowała o tym, co działo się w środku. Wystartował niewidzialny zegar odmierzający czas do chwili, kiedy w zakreconym szczelnie naczyniu zabraknie powietrza.

Nie było tego złego... Przynajmniej wiedziałam, gdzie umrę, a to zawsze coś. Żal byłoby odchodzić ze świata w pięknym otoczeniu wśród kochających osób. Ale odejść z ciasnej graciarni zamieszkaanej przez obce osoby z kryminalną przeszłością to nie żal. To ulga.

Było ich trzy. Siedziały na dwóch dolnych łózkach. Każda trzymała kubek z herbatą i papierosa. Patrzyły na mnie bez słowa.

Pierwsza była wysportowana. Miała smukłe ciało. Gdyby wstała, na pewno okazałaby się wysoka. Dzięki ciemnej karnacji nie potrzebowała zbyt wielu zabiegów i kosmetyków, żeby wyglądać w miarę dobrze. Oziębłe i przenikliwe spojrzenie powodowało, że człowiek czuł się niezbyt przyjemnie w jej towarzystwie.

Druga to jeszcze dziecko. Nie wiem, czy miała dwadzieścia lat. Drobna, wychudzona. Ubranie na niej wisiało. Twarz szara, zapadnięta, ale uśmiechnięta. Włosy zniszczone i w nieładzie.

Trzecia potężna, ogromna, wspaniała. Zajmowała sama niemal całe łóżko. Twarz miała łagodną, anielską, prawie wcale nienadąsaną. Jako jedyna dawała nadzieję na jakąkolwiek ludzką relację.

Wchodząc, nie powiedziałam „dzień dobry”. Zdawało mi się, że się wygłupię taką uprzejmością wobec kryminalistek. Lepiej było udawać twardą i bezwzględną. Stać się taka jak te kobiety, które nic nie mówią, tylko patrzą zimnym pustym wzrokiem pozbawionym nawet odrobiny empatii czy jakichkolwiek ludzkich uczuć.

– A gdzie dzień dobry?! – oburzyła się ta wysportowana.

– Co za chamstwo – skomentowała ta drobna, zniszczona.

Poczułam się dziwnie. Nie wiedziałam, co mi jest. Nieznane uczucie. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że po prostu nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Gdzie mogę usiąść? – spytałam.

Patrzyły na mnie w milczeniu. Zaciągały się papierosami, popijały herbatę i traktowały mnie tak, jakby w ogóle mnie nie było. A przecież byłam.

Jeszcze, ale wiele wskazywało na to, że ten stan może się w najbliższym czasie dramatycznie zmienić.

Nie wyobrażałam sobie, jak miałybyśmy spędzić w tej ciasnocie choćby jeden dzień. Jedna na drugiej, jak w kurniku.

Miejsce to przypominało szpitalną poczekalnię. Ciasnota, zaduch i wszyscy zdenerwowani i naburmuszeni. Z tą tylko różnicą, że co jakiś czas, rzadko, bo rzadko, któraś z osób przerywała czekanie krótką wizytą w gabinecie. Potem wracała, ale już do innej kolejki, i tam kontynuowała to, po co przysłała do szpitala, czyli czekanie.

Między łózkami była kilkunastocentymetrowa alejka. Kobiety siedziały po obu stronach, ustawiając nogi na przemian. W ten zoptymalizowany sposób zajęły całą podłogę i nie było nawet możliwości przejścia. Jeżeli ktoś chciałby dojść do okna, to dwie musiałyby położyć nogi na łózkach, a trzecia wejść na górę lub wycofać się w stronę drzwi.

Żadna się nie ruszyła ani nie przesunęła. Postałam chwilę, po czym usiadłam na odrapanym taborecie obok stolika. Na nim żelazko z przepalonym kablem, suszarka do włosów, herbata jedna, druga, trzecia, torebka cukru, w niej obklejona łyżeczka. Szklanki ani jednej. Zamiast niej zielone plastikowe kubki. Jeden zielony plastikowy talerzyk, na nim drugi zielony plastikowy talerzyk, a na nim trzeci zielony plastikowy talerzyk...

Poczułam, jak opadają mi powieki...

Dziwne miejsce. Szyny i pociągi. Grochowska lokomotywownia. To taka podróż. Idę z bagażem. Przy wejściu mili ludzie proszą o bilet. Grymaszą, że tak późno się zgłosiłam. Rozumiem, że pociąg niedługo odjedzie. Sprawdzają bagaże. Po co? Pewnie jakaś ustawa weszła. Antyterrorystyczna! Zabrali mi wózek! Nic innego nie zabrałam. Nie wiedziałam przecież, co mi w tej podróży będzie potrzebne.

Jest peron. Jeden, krótki, wąski.

Wchodzimy do pociągu z sympatycznym panem konduktorem. Szukamy wolnego miejsca. O! Sleeping też tu jest! Kilkuosobowa kuszетка. Łóżka piętrowe, trochę wąskie, ale pościelone. Kocyki nie najpiękniejsze, ale na krótką podróż wystarczą. Ręczniki z przemyślanym

logo: AŚ-ZK. Pewnie to nowy przewoźnik. Wchodzę do przedziału. Dziwne. Same kobiety. Siedzą każda na swoim łóżku.

Zagaduję współpasażerki. Nie odpowiadają. Nie chcą rozmawiać. Ruszamy. Pociąg się toczy jak żółw ociężale...

\*\*\*

Ocknęłam się, gdy usłyszałam szcęk zamka i skrzypienie drzwi. Wreszcie!

Musiałam powiedzieć, że mi się tutaj bardzo nie podoba i chciałabym pójść na recepcję poprosić o zmianę pokoju, ale strażnika nie było. Ukrył się gdzieś w głębi korytarza, a w drzwiach stała garkuchnia na kółkach oraz dwie widziane wcześniej kobiety. Wytatuowana i Wygolona.

Wstałam.

– Gdzie?! – wrzasnęła ta wysportowana. – Siadaj!

Usiadłam.

Podniosła się powoli z łóżka i spokojnym krokiem zbliżyła do drzwi. Trzy kobiety zmierzyły się wzrokiem jak bokserzy na konferencji prasowej.

Więźniarka podała swój zielony talerz, a Wytatuowana nałożyła jej kilka plasterków mielonki, masło, trochę twarogu, dżem i pomidora. Ogolona spojrzała spode łba w kierunku korytarza, po czym schyliła się po małe zawiniątko, które następnie podała wysportowanej. Ta szybko rozwinęła folię i przejrzała rzeczy.

– To nie wszystko – stwierdziła z niezadowoleniem, wbijając wzrok to w Wytatuowaną, to w Wygoloną. – Gdzie reszta?

– Dobrze pytanie – odpowiedziała Wytatuowana. – Każdemu brakuje towaru. Ktoś za to zapłaci.

– Wszystko się wyjaśni – zakończyła wysportowana.

Patrzyły na siebie z taką pogardą jak lekarz orzecznik na pacjenta.

– Nie rozmawiamy, drogie panie. – Dobiegł z korytarza męski głos. – Tylko pracujemy!

Wysportowana odeszła spokojnym krokiem, kołysząc się na boki, jakby niosła pod pachami dwa telewizory. Wróciła na swoje łóżko, tak jakby nic ją nie obchodziło i nic jej nie dotyczyło.

A niech robią ze mną, co zechcą! Nie wytrzymałam i rzuciłam się do drzwi jak szalona. Jeszcze nikt nie przyniósł mi gotowej kolacji do

pokoju. Nawet w sanatorium. Chociaż gdy jeszcze uczyłam w szkole, był taki jeden uczeń, który zawsze na koniec roku był zagrożony. Przynosił masę produktów na lekcję i do pokoju nauczycielskiego, bo jego rodzice jeździli na handel do Turcji. Kawę, czekoladę, same frykasy. Powodziło mi się wtedy. Koleżanki zazdrościły. Nie podnosiłam mu ocen rzecz jasna, bo na to nie zasłużył. Chciałam go zmusić, żeby zajął się nauką, a nie korupcją. Obawiałam się, że marnie przez to skończy, i tak się niestety stało. Był niezbyt bystry i beznadziejnie leniwy. Nie zdał do następnej klasy. Ledwo skończył szkołę. Potem było już tylko gorzej. Bez wykształcenia nie miał szans na normalną pracę i uczciwe życie. Niedawno zobaczyłam go w telewizji. Został politykiem.

– A ty gdzie się pchasz? – spytała Wytatuowana.

Dwie kolejne współlokatorki zostały obsłużone przede mną. Zielony plastikowy talerz, mielonka, masło, twaróg, dżem, pomidor. Ogolona spogląda konspiracyjnie na korytarz, zawiniątko z ręki do ręki. Złorzeczenia i utyskiwania.

– No to mamy na oddziale złodziejkę – stwierdziła ta drobna, zniszczona.

Ta o miłej twarzy i potężnej budowie pokręciła głową z dezaprobatą.

W końcu przyszła kolej na mnie.

– Ale się trzeba naczekać na ten *room service* – stwierdziłam.

– Nie nauczyli cię jeszcze porządku, szmato?! – zakpiła ze mnie Wytatuowana.

– Szmato? – Zaśmiałam się. – Phi! Też mi obraza. To śmieszne.

Wytatuowanej to nie rozbawiło. Wykrzywiła twarz w gniewnym grymasie. Ale to też nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia. Takich grymasów to ja się w życiu naoglądałam mnóstwo. Raz chciałam ładnie wyglądać w klubie seniora i nie założyłam okularów. Podałam herbatę i strasznie się wszyscy krzywili. Jeden pan wypluł, drugiemu zrobiło się niedobrze. Ktoś mi zarzucił, że pomyliłam cukier z solą. Niestety, był u nas wtedy pewien młody poeta ze swoim debiutanckim tomikiem. Niepotrzebnie wziął reakcje publiczności mocno do siebie. Nic dziwnego – przecież był wrażliwy. Miny, wykrzywanie, plucie i złorzeczenie. Ktoś powinien go uprzedzić, że poezja to ciężki kawałek chleba. Nie wiem, co dalej się z nim stało. Pewnie upił się z kolegami, obejrzał mecz albo serial, przespał się z kimś albo i nie, a następnego dnia poszedł do pracy



w charakterze handlowca. Miał szczęście. Kiedyś nie było takich możliwości i niespełnieni poeci rzucali się z mostów do rzeki.

Może jeszcze coś napisze. Na przykład *Jak nie zostałem poetą*. Chętnie bym przeczytała. Wytatuowana w tym czasie sięgnęła za siebie, wyciągnęła ze spodni zabawny przedmiot przypominający zawiniętą w bandaż łyżeczkę do herbaty i wymierzyła ją we mnie.

– Ze mnie się śmiesz?! Zaraz ci flaki wypruję! – kontynuowała. – Wypatroszę cię jak wieloryba! Łeb urąbię! Potnę na kawałki!

– Czym? – Roześmiałam się w głos. – Łyżeczką?

Odwróciłam się do dziewczyn, sądząc, że one też dostrzegły ogromny potencjał komediowy tej sytuacji, ale siedziały tylko z wytrzeszczonymi oczami i rozdziawionymi ustami. Tej drobnej, zniszczonej wypadł z ust papieros. Nawet tego nie zauważyła.

Wytatuowana natomiast doskoczyła do mnie w mgnieniu oka. Jedną ręką przycisnęła mnie do ściany, drugą uzbrojoną w wielofunkcyjny sztuciec przyłożyła do szyi. Spojrzała mi w oczy z bardzo bliska, a sytuacja całkowicie straciła swój komiczny charakter. Zdałam sobie wtedy sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, łyżeczkę można było całkiem skutecznie naostrzyć, co było bardzo ciekawe, a z czego człowiek na co dzień nie zdawał sobie sprawy. Po drugie, kosmetyki i środki czystości musiały być w więzieniu bardzo cennym i deficytowym towarem.

Byłoby ze mną niedobrze. Mogłabym nawet, zgodnie z treścią groźby, zostać wypatroszona i poćwiartowana, a biorąc pod uwagę rozmiar potencjalnego narzędzia zbrodni, czekałaby mnie niezwykle długa i męcząca śmierć. Tak się jednak nie stało. Przynajmniej tego dnia.

Za plecami Wytatuowanej pojawiła się Wygolona i zaczęła gorączkowo klepać ją w ramię. Gdy tamta się odwróciła, Wygolona wskazała wzrokiem na korytarz, z którego dobiegał głos strażnika.

– Nie rozmawiamy, drogie panie. – Dotarł stamtąd męski głos. – Tylko pracujemy!

– Jeszcze cię dojadę! – wycedziła przez zaciśnięte zęby Wytatuowana.

– Dojadę? Nie bardzo rozumiem, czego konkretnie miałabym się spodziewać – stwierdziłam.

– Dowiesz się, szmaciucho.

Przeciągnęła łyżeczką po mojej szyi.

Ależ to zapiekło.

– Skaleczyła mnie pani! – krzyknęłam.

Wytatuowana wróciła szybko do drzwi tuż przed tym, gdy pojawił się w nich zaalarmowany moim krzykiem Kloc.

– Co tu się dzieje?! – zapytał nieprzyjemnym głosem.

– Nic – odpowiedziała Wytatuowana.

– Dlaczego pani krzyczała? – spytał, patrząc na mnie.

Wszystkim się wydaje, że łatwo jest zdusić w sobie emocje i trzymać język za zębami. Otóż nie. Łatwo to się tylko wymądrza, jeżeli samemu się w takiej sytuacji nie było. I się nie wie, jak to boli!

– Ona mnie zaatakowała! – zawołałam, wskazując na Wytatuowaną.

– Ja? – Udała zdziwioną.

– To prawda? – spytał strażnik.

– Tak! – zawołałam. – Chciała mnie wypatroszyć, poćwiartować, wypruć flaki i odciąć głowę!

– Czym?

– Łyzeczką.

– Łyzeczką? A gdzie ta łyżeczka?

– Co pan taki niezaradny?! Tylko gdzie i gdzie! A gdzie miałyby być?! W dupie! Szanowny panie strażniku, w dupie!

Spojrzał na mnie i westchnął ciężko.

– Oj, Wilkońska, Wilkońska, ostatni raz pani daruję, bo to pani pierwszy dzień. – Popatrzył na pozostałe. – A do was wezwać Antantę?

– Proszę bardzo – odpowiedziała hardo ta wysportowana. – Dobrze pan wie, że jak wejda do celi, to jaja im pourywamy.

Pokręcił głową jak przedszkolanka wobec niesfornych dzieci i wycofał się na korytarz.

Zielony plastikowy talerz, mielonka, masło, twaróg, dżem, pomidor. Wygolona nie spojrzała konspiracyjnie w kierunku korytarza, bo strażnik stał teraz tuż obok niej, ale za to wręczyła mi cały, caluteńki chleb. Zdaje się, że on w ogóle nie był przeterminowany. Ile musiał kosztować? Ależ był niewiarygodnie miękki! Już nawet ja miałam twardsze mięśnie.

Gdy tak analizowałam, Wytatuowana niby niechcący uderzyła w mój talerz tak, że jego zawartość spadła na podłogę.

Uśmiech triumfu zagościł na jej okropnej twarzy.

– Dlaczego pani to zrobiła? – zawołałam.

– Żryj z podłogi, szmato! – Zaśmiała się.

Wygolona wyszczerzyła zęby. Przywołało to u mnie sentymentalne wspomnienie starych kronik zniszczonej, powojennej Warszawy. Pośród

szarego gruzowiska tylko gdzieniegdzie sterczały żałosne kikuty zrujnowanych domów. Marzenie każdego stomatologa.

Schyliłam się po leżące na podłodze jedzenie.

– Zasada piętnastu sekund – stwierdziłam, zbierając mielonkę.

– Raczej trzech – odpowiedziała wysportowana.

– Chyba w psich latach!

Wzięłam jedzenie i wróciłam na krzesło. Przycisnęłam chleb mocno do piersi.

– Jest mój – oznajmiłam. – Nie dostaniecie ani kromki. Nie zasłużyłyście.

Spojrzałam na współlokatorki. Patrzyły na mnie dziwnym wzrokiem. Po chwili spostrzegłam, że każda miała taki sam bochenek.

Dla każdego cały, caluteńki. Codziennie. Bez ekspedycji do sklepu, bez walki w kolejce, bez pieniędzy. Czy ktoś to rozumiał?

Dziewczyny z celi usiadły na swoich łózkach i rozdarły worki z chlebem. Wysportowana wyjęła ze swojego odżywkę, lakier do paznokci i pastę do zębów. Bardzo się z tych rzeczy ucieszyła.

Drobna, zniszczona wyjęła butelkę wódki. Zamknęła oczy i przytuliła ją mocno niczym dziecko odnalezione po latach. Położyła się z nią, gładziła i szeptała czule.

Ja w moim chlebie też coś znalazłam. Była to karteczka. List. Ogromnie się ucieszyłam. Rozwinęłam. Jak miło. Spojrzałam na Wygononą. Uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo.

Przeczytałam.

„Ty wredna sóko, złodziejko. Od jótta codziennie wagon fajek dla mnie. Inaczej cię wydam i zginiesz!”.

Co za list... Same błędy.

Mimo to odwzajemniłam uśmiech.

## Rozdział 5

Ale z ciebie hardcore! – Zaśmiała się ta drobna, zniszczona. – Nie wiem, czy ty jesteś tak odważna, czy szalona! Napijesz się herbaty?

– Jestem Mariolka – dodała wysportowana. – A to Flaszka i Wielka Jolka.

– Zofia – odpowiedziałam.

– No to było miło – podsumowała Mariolka. – A teraz wybac, kochana, ale nie zakłócaj spokoju i łap się za szmatę.

– Dlaczego miałabym łapać się za szmatę? – spytałam.

– Bo tak powiedziałam.

– Ale to niesprawiedliwe.

– Mylisz się, to bardzo sprawiedliwe. Bo widzisz, droga Grażynko...

– Mam na imię Zofia.

– ...my już sprzątałyśmy, więc jest twoja kolej. A że sprzątamy już od wielu miesięcy, a ty ani razu, więc bierz się za robotę, bo masz cholerne zaległości!

– Potrzebujemy gajowego – dodała Flaszka.

– Brzmi nieźle. Chętnie – zgodziłam się. – A co właściwie robi taki gajowy?

– Sprząta cele.

– Naprawdę?

– Tak.

Dziwny gatunek człowieka. Siedzą tylko całymi dniami przy stole sztywne jak widły w gnoju i wymyślają zasady. W sumie dobrze, bo zasady w życiu warto mieć, ale kto by je zrozumiał i zapamiętał?

Takie siedzenie to wygodne nie jest ani estetyczne, a do tego beznadziejnie działa na pośladki. Czuję, że lekko nie będzie z tymi kryminalistkami. Matko! Mnie, porządnego człowieka, ciągle się czepiają.

– Zacznij od kącika – powiedziała Mariolka, wskazując łazienkę.

Zajrzałam.

To dopiero byłaby przeprawa. Cała mitologia byłaby do przepisania, gdyby Augiasz, chcąc upokorzyć Heraklesa, zlecił mu zamiast swoich stajni wyczyszczenie więziennego kibla!

Każdy poległby, widząc masę szmatek, proszków, płynów i wiaderek. Spojrzałam na największą, gdy usłyszałam wrzask:

– Co ty? Kafle szmatą do podłogi wycierasz? – krzyknęła Mariolka.

– Oczywiście, że nie! – odpowiedziałam hardo.

Nie miałam wszakże zamiaru niczego tutaj dotknąć do końca pobytu.

Zerwała się, podeszła i pokazała rurę od spłuczki. Tam wisiała kolejna szmata. Spojrzała na mnie groźnie i chwyciła ją zamaszystym ruchem. Nalała wody do wiadra, dodała płynu i zamoczyła szmatę.

– Prostej rzeczy nie potrafisz? – warknęła. – Patrz, bo nie będę powtarzać.

Z godnym podziwu zapałem zabrała się do szorowania podłogi. Kiedy kafle już błyszcząły, wstała, wyżęła szmatę i otrzepała ręce. Spojrzała na pozostałe dziewczyny. Flaszka ściągnęła usta i pokiwała głową z uznaniem. Wielka Jolka z pewnością także by tak uczyniła, ale swoim zwyczajem patrzyła nieobecny wzrokiem w sufit.

Mariolka przetarła rękawem czoło i chwyciwszy kolejną, tym razem czerwoną, szmatkę, wzięła się do przecierania ścian, a nawet i sufitu.

– No! – westchnęła, kończąc ten etap sprzątnia. – Wszystko zapamiętałaś?

– Pewnie, a czego miałabym nie zapamiętać? – odpowiedziałam. – Szara do podłogi, czerwona do całej reszty.

– Jak to do całej reszty? – oburzyła się. – Chciałabyś czerwoną szmatą wyczyścić bardachę?!

Spojrzałam na nią szeroko otwartymi oczami.

– A gdzieżby?! – zaprzeczyłam. – W żadnym wypadku!

– Do mycia bardachy mamy Karola! – oznajmiła stanowczo.

– Całe szczęście. Niech się teraz on męczy – stwierdziłam, siadając na odrapanym taborecie obok stolika. – Ciekawe, co to za biedak i dlaczego musi toalety czyścić.

Rozpłakały się ze śmiechu.

– To jest Karol! – powiedziała Mariolka, wyciągając szczotkę do sedesu.

Wlała płyny z wielką wprawą, pracowitością i zaangażowaniem wyszorowała dokładnie sedes. Gdy skończyła, wyprostowała plecy, aż jej chrupnęło, otarła spocone czoło i umyła dokładnie ręce.

– A ty się ucz! – oznajmiła zmęczona, ale dumna. – Bo inaczej do końca życia będziesz tylko stać i szmaty podawać!

Postanowiły też zadbać o mój rozwój osobisty, przedstawiając zawiłą logistykę pozostałych zakazów i nakazów obowiązujących w ich klaustrofobicznym świecie.

– Nie trzymamy butów w kuwecie. Jest na to półka obok klapy – zaczęła wymieniać Flaszka. – Chleb trzymamy w specjalnym woreczku pod blatem. Platery, dolki, kubany i witki trzymamy w spożywczym szaflaku. Nie chodzimy do bardachy, jak ktoś je. Nie chodzimy po peronie w klapkach. Po celi nie latamy w skarpetkach. Nie jemy na peronie, nawet batona. Nie zostawiamy bardachy na ostro...

Przy kolejnej zasadzie przestałam słuchać uważnie, ale uznałam, że to doskonała opowieść, a mówczynie miała wspaniały dar.

– Które łóżko jest wolne? – spytałam, przecierając oczy.

– Dla ciebie jest górna koliba – wyjaśniła Mariolka.

– Co to znaczy? – spytałam.

Flaszka wskazała łóżko na górze naprzeciwko niej.

– Nie wejść po takiej drabince – stwierdziłam – z moim chorym biodrem.

– To masz problem. Każdy jakiś ma! – zdenerwowała się Mariolka. – Byłyśmy dla ciebie miłe. Prosiłyśmy, żebyś się zamknęła i złapała szmatę. Ale ty wolałaś wkurwić wszystkich pierwszego dnia.

Spędziłam zatem resztę dnia na odrapanym taborecie.

Postanowiłam się więcej do nich nie odzywać. Nie potrzebowałam z nikim rozmawiać, a już na pewno nie z kryminalistkami. Nie mój poziom. Na przykład ta... Flaszka... leżała na łóżku i coś tam oglądała. Książkę!

– Co czytasz? – spytałam.

– Poradnik – odpowiedziała zdawkowo.

– A o czym?

– Jak pozbyć się upierdliwej staruszki!

Roześmiały się.

– Bardzo śmieszne – odpowiedziałam.

– Nie mogłam się powstrzymać. Nie mamy zbyt wielu książek. Czasem ktoś coś przyniesie, ale to głównie klasyka, jak *Skazani na Shawshank* czy *Zielona mila*. Lubisz książki? Czy tylko leżysz przed telewizorem?

– Lubiałam poleżeć przed telewizorem, kiedy to jeszcze do jego włączenia nie trzeba było być programistą!

– Co tak siedzisz na tym zydłu? – Zaprosiła mnie Flaszka ruchem ręki. – Chodź. Zmieścisz się.

Przysiadłam się, choć między łózkami miejsca było tyle co w przedziale kolejowym. Kiedy ostatni raz jechałam pociągiem nad morze, jeden siedzący obok mnie facet przespał całą drogę, przechylając się co chwila i kładąc głowę na moim ramieniu. Dopiero po przyjeździe zauważyłam, że całą marynarkę mi obślinił! Cholerny wieloryb!

– Jeżeli nie będziesz się wychylać, to będzie nam się tu całkiem znośnie razem siedziało – stwierdziła Mariolka. – Ale jeżeli wykręcisz jakiś numer, to, kurwa, nie będziesz miała życia.

– Ja? – spytałam. – A jaki ja mogłabym wykręcić numer?

– To dobrze, bo ludzie są beznadziejni. Kradną, kiedy tylko mogą. A tu nikt tego nie toleruje. I my tego nie tolerujemy.

– Zero tolerancji dla kradzieży.

– Ja się zgadzam. Całkowicie. Zero tolerancji. Nawet najmniejszego degustowania.

– Jakiego znowu degustowania?

– Nieważne. Tak mi się tylko powiedziało. Zero tolerancji.

– Dobrze mówisz: zero tolerancji. To dobrze, że to rozumiesz, bo jakaś kurwa-złodziejka zajebała prawie całe żarcie z ostatniego przemytu! Wyobrażasz sobie?! I puste opakowania zostawiła, żeby z ludzi zakpić.

– Znieważyc.

– Napluć w twarz. Nikt nie może na to pozwolić.

– Księdzu obciągnęła i towar wpierdoliła!

Mariolka spojrzała na nią zaskoczona.

– Takiej dziwki to tu jeszcze nie było!

– Szok, a to porządne więzienie kiedyś było!

Lepiej byłoby to przemilczeć, ale popełnianie błędów jest ludzką rzeczą. Na niektóre zmiany było już za późno. Trudne otoczenie źle na mnie wpłynęło. Przestałam się rozwijać.

– Święte się znalazły! – krzyknęłam oburzona. – A nie pomyślałyście, że może po prostu była głodna?!

– Co ty? – odpowiedziała Flaszka. – Nikt by tyle na raz nie zeżarł! Musiałaby wpieprzać jak jakaś Godzilla!

– Nie możemy odpuścić – podsumowała Mariolka. – Wypiski są tylko raz w tygodniu. Paczka raz na miesiąc do pięciu kilo. Nie wszystko można dostać nawet z normalnych rzeczy, nie wspominając już

o niedozwolonych. Poza tym nie możemy, bo jak odpuścimy, to zaraz każda będzie nas okradać. Kara musi być przykładna. Prewencyjna.

– Może jeszcze bez prawa do obrony? – upewniłam się.

– Oczywiście, że bez. Jeszcze by się wywinęła.

– Suka musi cierpieć!

Na wszelki wypadek starałam się nie patrzeć na Mariolkę i Flaszkę, dzięki czemu nie dałam po sobie poznać strachu.

– Co się tak na nas gapisz? – spytała Mariolka.

– I głupio wybałuszasz oczy? – dodała Flaszka.

– Przecież jej nie zabijemy.

– To byłoby bez sensu.

– Porządnie ją objemy, oszpecimy. Bez napinania się. Standard.

Odruchowo złapałam się za twarz.

– Ojjoj... – wymsknęło mi się. – A bardzo będzie brzydka po tym oszpeceniu?

– Piękniejsza się raczej nie stanie. Jest sporo możliwości. Ale najlepiej coś prostego, klasycznego i niedrogiego. Na przykład okropna blizna.

– Wariatki kalefaktorki i tak jej odpowiednio dołożą. Potrafią łyżeczką oko wydłubać.

– Naprawdę? – spytałam. – Trudno w to uwierzyć. To wydaje się niełatwe.

– To zdolne dziewczyny. Przekonasz się.

Jakoś mi się chłodno zrobiło i zatęskniłam za domem.

\*\*\*

Czas dłużył się niebywale w tym małym pomieszczeniu. Pójść nie było gdzie. Nawet jeżeli chciałoby mi się gdziekolwiek chodzić. Wybrałam sobie plamę farby na ścianie i obserwowałam, próbując dopasować do niej jakiś znany z zewnętrznego świata kształt.

Po jakimś czasie zadzwonił uchylany wizjerek, zachrząściły zamki i otworzyły się drzwi.

– Pani Wilkońska – odezwała się Oddziałowa. – Do wychowawcy!

– Do Mojżesza? – spytała Flaszka.

– A co to panią obchodzi – odpowiedziała Oddziałowa.

– Dlaczego Mojżesz? – spytałam. – Taki stary?



– Nazywamy go tak – odpowiedziała Mariolka – bo każda rzuciłaby się za nim w morze.

– Głupota.

Oddziałowa nadal miała zabandażowaną rękę. Widocznie ugryzienia słabo się na niej goiły.

– Niech się pani rusza, pani Wilkońska – powiedziała. – Nie mam dla pani całego dnia.

Wyszłam na korytarz. Ja przodem, ona za mną.

– Cieszę się, że nie roztrząsa pani tego drobnego incydentu z początku naszej znajomości.

Spojrzałyśmy obie na jej zabandażowaną rękę.

– Drobnego incydentu? – spytała. – Pani się zachowała jak zwierzę. Dostała pani za to kwit karny, to znaczy wniosek o ukaranie. O zajściu został poinformowany prokurator prowadzący pani sprawę. Może zawnioskować o zwiększenie pani wyroku.

Umilając drogę miłą pogawędką, doszłyśmy do pokoju wychowawcy.

Zastanawiałam się, jak bardzo głodne widoku mężczyzny musiały być kobiety zamknięte w celach, że aż tak podobał im się ten wychowawca. Brałam pod uwagę, że mógł być po prostu przeciętnej urody, a one wyposzczone wyolbrzymiały jego walory. Trudno było mieć o to żal. Po długim czasie spędzonym w więzieniu zachowywały się w sposób żaloszny, ale rozumiały.

Oddziałowa zapukała i otworzyła drzwi.

– Proszę wejść do środka – zwróciła się do mnie.

Tak zrobiłam.

No cóż. Nie pomyliłam się. Zmitologizowany łamacz serc, bożyszcze oddziału był w rzeczywistości konusem mierzącym co najwyżej metr sześćdziesiąt, ubranym w całkowicie odbierający męskość fartuch. Jakby tego było mało, właśnie na klęczkach szorował podłogę własnego gabinetu. Gdy się podniósł, spojrzał na mnie mętnym wzrokiem. Twarz miał starą, obwisłą, zmęczoną, z mocno przerzedzonym i zbyt długim zarostem. Naprawdę nic nadzwyczajnego, nawet jak na więzienne warunki. Nie sposób się było zakochać, nawet będąc rozwiązłą bratanicą szeregowego pośła.

– Witam panią, pani Wilkońska. – Usłyszałam nagle głos zza moich pleców.

Brzmiał niczym kilkutonowy mosiężny dzwon, co wprowadziło całe moje ciało w rezonans. Odwróciłam się w jego stronę i aż się przytrzymałam, bo ugięły się pode mną nogi.

W fotelu za biurkiem siedział pół bóg, pół człowiek o twarzy Zbigniewa Wodeckiego.

– Niech pani usiądzie – powiedział, a ja poczułam się, jakby śpiewał do mnie ze sceny w Opolu.

– Aaa... – Tyle tylko byłam w stanie odpowiedzieć.

– Pani już dziękuję – zwrócił się do osoby w fartuchu, która właśnie skończyła myć podłogę.

Ukloniła się i wyszła.

Ja natomiast, słaniając się na nogach, przeszłam kilka kroków i osunęłam się na krzesło naprzeciwko niego.

Jakiż on był piękny! Masywna, szeroka szczęka, orli nos i bystre oczy głęboko osadzone pod potężnymi łukami brwiowymi. Do tego burza falujących włosów.

– Wszystko dla pana zrobię. – Wyskoczyło mi z gardła. – Będę donosić na koleżanki, zapisywać, co mówią, i przynosić meldunki. Już mówię, w jaki nikczemny sposób szmuglowane są kosmetyki, jedzenie i alkohol...

– Stop, stop, dosyć... – Uśmiechnął się. – Dziękuję za zaufanie, ale nie po to panią wezwałem. Nie wymagam od pani donoszenia na koleżanki. Rozmawiam z osadzonymi bezpośrednio i nie biorę pod uwagę plotek, pomówień ani insynuacji.

Spojrzałam zaskoczona.

– Przepraszam. – Otrząsnęłam się po pierwszym szoku. – Nie wiem, co się ze mną stało.

Jak na spotkanie z kimś tak cudownie pięknym to i tak zachowałam się z godnością. Trzymałam fason. Inne pewnie od razu chciałyby usiąść mu na kolanach i wypłakać się nad swoim ciężkim losem. To beznadziejne, żenujące i karygodne, ale może warto spróbować. A nuż się uda?

– Mogłabym usiąść panu na kolanach i wypłakać się nad moim ciężkim losem? – spytałam, patrząc błagalnym wzrokiem.

– Nie, nie, proszę pani – odpowiedział zdecydowanie.

– Na króciutką chwilkę. Ja bardzo mało ważę. Nawet pan nie poczuje.

– Moje kontakty z osadzonymi nie wychodzą nawet o milimetr poza sprawy merytoryczne.

– A tak, merytoryczne. Oczywiście. Tylko się chciałam upewnić.

Zawsze lepiej spytać, niż się potem gryźć do końca życia, że się miało możliwość, a się z niej nie skorzystało. Odetchnęłam kilka razy głęboko i powachlowałam się ręką. Czułam, że powoli odzyskuję panowanie nad sobą.

– Merytoryczne, milimetry i kontakty – przytaknęłam ze zrozumieniem.

– Wszystko jasne. Już dochodzę do siebie. Pan tak niespodziewanie zstąpił z niebios. To znaczy... Pobyt w więzieniu to jednak szok. Już mi lepiej. Proszę mówić. O co chodzi?

– Musi pani wiedzieć, że to miejsce różni się nieco od życia na wolności.

– No ale to są przecież drobne różnice.

Spojrzał na mnie niezadowolony.

– I ludzie tu przebywający także różnią się od tych, których przeważnie mogła pani spotkać na wolności.

– Nie do końca wiem, co ma pan na myśli, ale są tacy, co rzną naród na miliardy i jeżdżą limuzynami. Ci tutaj to przy nich detaliści. Tamtych trudniej złapać za rękę i coś im udowodnić, bo rozkradają nasz wspólny majątek. Nikogo nie dotyka to bezpośrednio. Nikogo to nawet nie obchodzi.

– Rozumiem pani punkt widzenia.

– Mógłby mnie pan chociaż potrzymać za rękę?

– Nie – odpowiedział zdecydowanie. – Wydawało mi się, że już to sobie wyjaśniliśmy.

– Tak, oczywiście. Wszystko rozumiem. Merytoryczne, milimetry i kontakty... wszystko jasne. Proszę mówić dalej, panie... wychowawco...

Spojrzałam na niego tak, żeby pokazać, z jakim wielkim zainteresowaniem słucham tego przydługiego i nieco nudnawego wywodu.

– Proszę nie prowokować osadzonych – kontynuował. – Niektóre mają długie wyroki. Więzienie pozostanie już ich całym światem. Tutaj nie mają wiele poza godnością, pozycją wśród współwięźniów i ich szacunkiem. Jeżeli to się im odbierze, już nic im nie zostanie. Nie pozwolą na publiczne ośmieszenie, bo to oznaczałoby całkowitą beznadziejność, odebranie im wszystkiego. Mam na myśli zajście podczas wczorajszej kolacji. Rozumie mnie pani?

– Tak, oczywiście, że rozumiem. Dlaczego miałabym nie rozumieć? – spytałam, poprawiając się na krześle. – Nie najlepiej zaczęliśmy

znajomość. Przepraszam za moje wcześniejsze zachowanie. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Uśmiechnął się wyrozumiale, przekładając jakieś nieważne papiery.

– Rozumiem – stwierdził. – Nic się nie stało. Zapomnijmy o tym.

Zapomnieć? Tego nie miałam na myśli. Bez przesady. Serca nie miał?

– Bardzo się cieszę i dziękuję. – Uśmiechnęłam się. – Czy pan śpiewa?

Twarz mu sposepniała. Pokręcił głową.

– Słuchałam, słuchałam, o czym pan mówił – zapewniłam stanowczo. – Wszystko rozumiem. Długie wyroki, świat za kratkami, pozycja w stadzie, walka o godność, ale pan jest tak podobny do Zbigniewa Wodeckiego... i ten pański głos... Śpiewa pan czy nie?

Wstał, ale nie zaśpiewał.

Za to pokazał mi drzwi. Mimo że dobrze wiedziałam, gdzie się znajdują. Tyle mówił o tym, żeby nie prowokować osadzonych, tymczasem wyznaczając w tak dramatyczny sposób koniec naszego spotkania, podniósł znacznie napięcie i postawił mnie w sytuacji „teraz albo nigdy”.

– Dziękuję pani za dzisiejsze spotkanie – powiedział. – Mam jeszcze sporo obowiązków. Pani wybaczy, ale odłożymy tę rozmowę na inną okazję.

Inną okazję? Przecież za tydzień mieli mnie poćwiartować!

Zerwałam się z krzesła i ruszyłam wokół biurka. Byłam już w połowie drogi, gdy wyjął z szuflady czarną śmieszoną buteleczkę, jaką noszą w torebkach kobiety wracające późną porą do domu.

– Co pan robi?! – krzyknęłam. – Zwariował pan?!

– Proszę mi wierzyć, że to najlepsze rozwiązanie.

Naprawdę mnie tym rozzłościł, ale było już za późno. Byłam zbyt blisko. Nie wiedziałam już sama, czy chciałam go obejmować, czy dusić. Nie miało to już wtedy żadnego znaczenia.

Psiknął, a świat zniknął za zieloną mgłą.

Na początku było niedowierzanie. Chłód na twarzy niczym morska bryza. Dopiero potem cholerne pieczenie, wstyd, zażenowanie i niekończące się tarcie oczu.

Chwycił mnie pod ramię i wyprowadził. Oczy mi łzawiły. Niczego nie widziałam.

Za drzwiami czekała już na mnie Oddziałowa. O nic nie pytała. Pewnie nie musiała.

Odprowadziła mnie do celi. Gdy usłyszałam szcęk zamka i skrzypienie zawiasów, weszłam do środka.

– Co się stało? – zapytała Mariolka troskliwie. – Coś ci do oka wpadło?

– Tak – odpowiedziałam.

– Czy tym czymś mógł być gaz pieprzowy?!

Wybuchły śmiechem.

Drzwi zamknęły się za mną. Wyciągnęłam rękę, żeby dalej iść po omacku. Trafiłam do umywalki i zaczęłam obmywać oczy.

– Podłe kanalie – powiedziałam do nich. – Nie uprzedziłyście mnie. Skóra żywcem zdjęta z najwspanialszego piosenkarza!

– Taco Hemingwaya? – spytała Flaszka, przerywając śmiech. – Masz rację! Nawet nie pomyślałam.

– Chyba Ernesta?! – poprawiłam ją.

– Ernesto Che Guevara? – wtrąciła się Mariolka. – Może trochę. Ale bez szaleństw.

– Do czego to doszło? – złorzeczyłam, idąc do łóżka. – Żeby tak gazem w kulturalnego człowieka...

Flaszka przesunęła się i usiadłam obok niej.

– Zrobić ci malunek? – spytała. – Humor ci się poprawi.

– A rób, co chcesz, dzieciaku – odpowiedziałam. – Nie obchodzi mnie to. Mam was dosyć.

– Zgodziła się? – spytała Flaszka Mariolkę.

– Chyba tak – odpowiedziała tamta.

– Ale fajnie! – podskoczyła Flaszka z radości.

Wstała z łóżka, wyciągnęła spod niego wielkie zielone pudło i już po kilku minutach grzebania wydobyła coś na kształt joysticka do konsoli, nad którymi niszczą swoje szkielety i układy krążenia tłuste dzieci rodziców zatrudnionych na dobrze płatnych i dobrze ryjących mózgi stanowiskach sektora bankowego, telekomunikacyjnego oraz handlu.

Wprawnym ruchem zdjęła z urządzenia obudowę i wyjęła z niego niewielką walcowatą część z wiszącymi dwoma kabełkami. Za pomocą kawałka drutu połączyła ją z plastikowym długopisem. Całość obwiązała taśmą, włożyła końcówkę starej ładowarki i wsunęła do kontaktu przy umywalce.

Zabzyczało.

– Co to takiego?! – spytałam zdziwiona.

– Traktor – odpowiedziała zachwycona Flaszka. – Zgodziłaś się. Będziemy rysować. Sama chciałaś.

Podciągnęła rękawy i pokazała fioletowe karykaturalne bohomy na przedramionach.

– Na razie umiem Heraklesa i Posejdona – kontynuowała podekscytowana. – Którego chcesz?

Spojrzałam z przerażeniem.

Posejdon unoszący się na spienionej fali wyglądał, jakby reklamował proszek do białego prania, a Herakles leki na potencję.

– Mogę się jeszcze zastanowić? – spytałam.

– Zastanów się dobrze – odpowiedziała. – To ważna decyzja. Zostanie ci do końca życia.

– To na szczęście niezbyt długo.

– Ale podobają ci się? – spytała z nadzieją w oczach.

– Prawdziwy z siebie Picasso!

Flaszka zachłysnęła się powietrzem, złapała za pierś i aż zarumieniła się na policzkach.

– Naprawdę tak myślisz? – zapiszczała z wrażenia.

– Naprawdę.

– Mariolka, słyszałaś? – Trąciła koleżankę. – Maluję jak Picasso.

– Tak powiedziała o twoich rebusach? – spytała Mariolka, przeglądając kolorowe pisemko wydane jakieś dwa lata temu.

– Picasso jak żywy – podsumowałam. – Charakterystyczna dekompozycja. Kubizm w fazie analitycznej.

Flaszka rzuciła się na mnie.

Nie zdążyłam się zasłonić.

O matko...

Pocałowała mnie w policzek.

Ech... Popatrzyłam na nią. Dziwnie mi się zrobiło.

– A wiesz co... – powiedziałam po zastanowieniu. – Rób ten tatuaż, jak tak chcesz.

– Dobrze się zastanowiłaś? – spytała poważnie. – Bo to ci zostanie do końca życia!

– Do końca życia? – Zaśmiałam się. – To nie wiem, czy zdążę się nacieszyć.

Przyłożyła maszynkę do mojego ramienia.

– Zośka, ale co ja mam ci zmalować, jak ty tu masz same kości – stwierdziła. – Podciągaj bluzkę. Narysujemy na plecach.

Tak zrobiłam. Mariolka w tym czasie nachyliła się do mojego ucha.

– Wszystkim robi to samo. Powiedz, że chcesz coś innego – zaproponowała konspiracyjnie.

– Nie mam żadnego pomysłu – odpowiedziałam.

– Ty jesteś taka wojownicza. Może boga wojny? Jak mu tam było?

Przekazałam Flaszce, a ta z wielkim entuzjazmem wzięła się do pracy.

– Już robię – zawołała. – Tylko nie patrzcie, bo mnie to peszy.

Kłuło jak sweter z Zakopanego.

– Widzisz, jak jest przyjemnie? – zagadnęła Flaszka.

– Widzę – odpowiedziałam.

– My jesteście fajne dziewczyny, ale najgorzej to siedzieć z elementem – kontynuowała Flaszka. – Na przykład z jakąś wariatką, która odsiaduje za morderstwo. A ty, Zośka, za co siedzisz?

– Nie, nie, tylko nie mów, za co siedzisz. – Podniosła rękę Mariolka. – Zrobiłyśmy zakłady z dziewczynami z oddziału. Rzadko się zdarza, żeby trafił do nas ktoś, o kim nikt nic nie wie. Wielka rzecz.

Już mnie to nawet nie zdziwiło. Zaczęłam się przyzwyczajać do popularności. Nigdy wcześniej w całym swoim życiu nie wzbudzałam swoją osobą tyle zainteresowania.

– Dla mnie to jesteś żoną alkoholika i chama. Przez lata byłaś bita, lżona i gwałcona. Zamykałaś dzieci w pokoju, żeby tego nie widziały i nie słyszały. Aż w końcu któregoś dnia, dajmy na to po pięćdziesięciu latach...

– Po pięćdziesięciu? – spytała z powątpiewaniem Flaszka.

– A co? Co ci nie pasuje? – zdenerwowała się Mariolka.

– Już by się chyba przyzwyczaiła.

– Do bicia?

– Pewnie, że tak.

– Przyzwyczaiłabyś się? – spytała mnie Mariolka.

– Nie wiem – odpowiedziałam niepewnie. – Nie wiem, co bym zrobiła. Może bym szukała jakiejś pomocy, sąsiadów, przyjaciół, grup wsparcia.

– Gówna prawda! – wrzasnęła. – Nikomu byś się nie przyznała. Wstydzilibyś się. Byłabyś przekonana, że tylko tobie jednej się to dzieje. On by cię w tym utwierdził. Przekonał, że zasłużyłaś, bo jesteś nikim. Zniszczyłby twoje poczucie wartości, zmieszałby cię z błotem, wbił

w ziemię. Po kilku latach uwierzyłabyś, że jesteś gównem. A gówno nie szuka pomocy.

– Wstrząsające – odpowiedziałam. – Nigdy bym nie przypuszczała, że Henryk mógłby zrobić mi coś takiego!

– Nigdy człowieka nie znasz do końca.

– Ale Henryk?

– Henryk, Henryk, tysiące jest takich twoich Henryków, co na początku są słodcy, kochający, wszystko obiecują, a potem wychodzi z nich najgorsze. Tak było? Kochał, obiecywał, prezentami zasypywał?

– Tak było. W rzeczy samej tak było.

– No widzisz. Taki sam jest jak wszyscy.

– Niewiarygodne.

– Dobra, dobra, potem się będziesz nad sobą rozczulać. Nie ty jedyna byłaś głupia i dałaś się nabrać. Mówię dalej...

– Właśnie, co było dalej?

– Jak to co dalej? – odpowiedziała. – Głupia jesteś? Dałabyś się ponizac przez pięćdziesiąt lat? Oczywiście, że zabiłaś.

– Zabiłam... Henryka...

– A gdzie tam?! – wtrąciła się Flaszka. – Zofia nie jest taka stara!

– Dziękuję ci, kochanie. – Uśmiechnęłam się, poprawiając włosy. – Jesteś bardzo miła.

– Ma góra czterdzieści lat. To ćpunka. One tak wyglądają.

To jednak można mnie było jeszcze czymś zaskoczyć!

– Wiem, co mówię – kontynuowała Flaszka. – Miałam znajomego, gitarzystę rockowego. Też wyglądał jak staruszek, a był po trzydziestce. Heroina... Same na nią spójrzcie: blada, wychudzona, policzki zapadnięte. Ćpa od dzieciaka, trzy czy cztery odwyki i detoksy. Inaczej dawno już by nie żyła. Zakochała się jako głupia nastolatka, chciała go wyciągnąć, ale zamiast tego on ją wciągnął. Przez chwilę było dobrze. Potem wzięła handel na siebie, bo on miał już wyroki. W końcu wpadła.

Spojrzały pytająco na Wielką Jolkę. Nic nie powiedziała. Przynajmniej ona jedna.

– No to mów – nakazała mi Mariolka. – Kim jesteś? Jakim pokręconym degeneratem?

– Jestem emerytem – odpowiedziałam.

– Wow! Nieźle! – ryknęła z zachwyty Flaszka, podskakując na łóżku.

– Mocna rzecz, ale nie wiedziałam, że już was zamykają.



- A zanim tak się stoczyłaś, to coś robiłaś?
- Czy od zawsze nim byłaś?
- Uczyłam w szkole – odpowiedziałam.
- Pieprzysz!
- Czego uczyłaś?
- Nie mów. Zgadnę. Wuefu?
- Języka polskiego.
- To ty musisz być dobra z polaka!
- Powiedz coś... po nauczycielskiemu.

– Drogie dzieci, wyciągamy karteczki i piszemy dyktando – powiedziałam miłym i spokojnym głosem.

Fłaszce mało maszynka do robienia tatuazy nie wypadła z rąk. Mariolka wytrzeszczyła oczy i rozdziawiła usta.

- O ja... – zaczęła pierwsza.
- Niezła jesteś! – dodała druga.
- Normalnie ciary! Patrz, ja dostałam dreszczy.
- Szacun. Aż strach koło ciebie zasnąć.
- No ale za co ciebie mogli w takim razie zamknąć?

– Ty, a może... – zaczęła Mariolka, a potem przerwała, mrużąc podejrzliwie oczy. – Ale tego to przecież by nam nie zrobili. Musieliby z nami porozmawiać. Chociaż zapytać. Uprzedzić.

- O ja pierdołę – dodała Fłaszka, zakrywając usta. – Niemożliwe.
- Jesteś dzieciobojem?!

Nie miałam pojęcia, o co im chodziło, ale wydało mi się, że dobrze byłoby być tym dzieciobojem. Bałyby się mnie i miałabym silniejszą pozycję w celi. Dzieci zawsze się mnie bały. Tak. Byłam zdecydowana. Dzieciobój brzmiało dobrze. Nadarzyła się okazja, więc należało ją czym prędzej wykorzystać. Zofia „dzieciobój” Wilkońska!

- Zabiłaś własne dziecko?! – skrzywiła się Fłaszka. – Niewinną istotę?

– Nie przeżyjesz nocy – dodała Mariolka, przeszywając mnie dzikim spojrzeniem.

– A skąd? Oczywiście, że nie zabiłam – zaprzeczyłam. – Głupia musiałabym być przecież, żeby być dzieciobojem.

Zmierzyły mnie wzrokiem obie, nie wiedząc chyba, czy mogą mi ufać.

– To znaczy jeszcze nie zabiłam. Bo bardzo możliwe, że go zabiję, jak tylko stąd wyjdę!

Zaśmiały się.

– Dziecioboje w więzieniu nie mają lekko – powiedziała Mariolka spokojniej. – Bywa, że rano Oddziałowa znajduje taką wiszącą na kracie.

– Samobójstwo oczywiście – dodała Flaszka.

– Oczywiście, oczywiście.

Patrzyły na mnie podejrzliwie, oczekując, zdaje się, jakichś dalszych deklaracji czy zeznań z mojej strony.

– Nie wiem, co mam wam powiedzieć – stwierdziłam ostatecznie.

– Może prawdę? – zasugerowała Flaszka.

– Prawdę? – spytałam. – Interesuje was prawda?

– Nie bądź głupia. Oczywiście, że nie. Ale chyba będzie śmiesznie.

– Zabiłam, ale... czyściciela kamienic... podobno... rzekomo. Sama nie wiem... Dobra, mam już tego dosyć! – Zdenerwowałam się w końcu tym ciągłym ukrywaniem. – Nie mam już do tego siły! Róbcie ze mną, co chcecie! Ja jestem po prostu niewinna!

– To tak jak my – przerwała Mariolka.

– Dokładnie – dodała Flaszka. – Myślałyśmy, że może ty jesteś prawdziwym bandziorem. Trochę wyglądasz. Kobieta mafii. Wiesz...

– Czyli wy też – wskazałam na nie wszystkie po kolei – jesteście niewinne?

– Nie tak do końca – wyjaśniła Flaszka. – Wielka Jolka to bardziej skomplikowany przypadek.

– Niejednoznaczny, można powiedzieć – dodała Mariolka.

– Była dobrze zapowiadającą się koszykarką – kontynuowała Flaszka. – Miała warunki, może nawet talent, a na pewno pracowitość i determinację. Już w liceum odnosiła sukcesy na poziomie ogólnopolskim. Wszechstronna, inteligencją i przegładem gry dorównująca zawodowcom. Pisali o niej, że ma szansę na grę w Europie, ale nagle wszystko się skończyło. Zniknęło, zanim się na dobre zaczęło, jak kobiecy orgazm. Jak sen. Policja, oskarżenie, sąd, gazety. „Uduśliła poduszką własnego trenera”. Nikogo nie obchodziło, że skurwysyn ją wykorzystywał. Nastoletnią dziewczynkę.

– Nie powiedziała rodzicom? Nie odeszła? – spytałam.

– No ale przecież to był właśnie jej ojciec.

– Nie wytrzymała i udusiła go. Gdy spał.

Zabiła. Przerwała uświęcony dar życia. W Polsce według statystyk zabija się rocznie osiemnaście milionów świń. Niewinnych stworzeń.

Trudno było zrozumieć, dlaczego Wielka Jolka musiała trafić na długie lata do więzienia za zabicie akurat tej jednej!

– Napijesz się kawy? – zakrzyknęła radośnie Flaszka.

– To macie kawę? – odpowiedziałam.

– Pewnie. A co ty myślałaś, że gdzie ty trafiłaś? Za kogo ty nas masz? To tłusta celka.

– Wszystko mamy. Co tylko chcesz. Czego dusza zapragnie. Kawę, herbatę, kosmetyki, słodczyce.

– Do tego jeszcze jedyne na oddziale mamy szczelne okno – dodała Mariolka. – Nie zauważyłaś, że u nas jest z dziewiętnaście stopni?!

– Faktycznie cieplej niż w domu – potwierdziłam.

– Tylko papieru toaletowego brakuje. Jak będziesz poza celą, to musisz koniecznie zmotać.

Flaszka odłożyła maszynkę do tatuazu, zeskoczyła z łóżka i wysunęła spod niego pudło pełne wszelkiego dobra.

– Mogłabym zjeść ciastko i napić się kawy? – spytałam z niedowierzaniem. – Jak w eleganckiej kawiarni?

Spojrzały na mnie z uśmiechem.

– Pewnie. A nawet lepiej niż w eleganckiej kawiarni.

– Bo w miłym towarzystwie – wtrąciła Mariolka.

– Częstuj się. – Flaszka podała mi torebkę z ciasteczkami domowej roboty. – Nastawię wodę.

Łza zakręciła mi się w oku. Coś mi musiało wpaść. Sporo się unosiło kurzu i pyłu. W dodatku strasznie były liche te ciasteczka. A co drugie przypalone.

Flaszka spojrzała na mnie.

– Boisz się malunku? Nie wymiękaj – powiedziała. – Trochę poboli, ale jaki będziesz miała śliczny obrazek!

Zdjęła ze stołu suszarkę do włosów i wprawnym ruchem wykręciła z niej kabel zasilający. Mariolka wydłubała z materaca Wielkiej Jolki stalową sprężynę i podała ją koleżance. Ta okręciła ją na końcach miedzianymi końcówkami suszarkowego kabla. Wyjęła z gniazdka ładowarkę zasilającą maszynkę do tatuazu i podłączyła grzałkę, wkładając wcześniej sprężynę do słoika z wodą. W ten banalny i prosty sposób w niecałe czterdzieści minut miałyśmy zaparzone cztery kubki kawy.

Aromat starego zawilgoconego ziarna unosił się w powietrzu, przypominając najlepsze czasy spędzone w pokoju nauczycielskim. Mariolka z Flaszka snuły więzienne opowieści, a ja... ja nudziłam się jak jasna cholera.

Przerwał nam dźwięk uchylanego wizjerka, trzasnęły zasuwki i otworzyły się drzwi.

– Pani Wilkońska – odezwała się Oddziałowa. – Do prokuratora!

Wyprowadziła mnie na peronkę i zamknęła za nami drzwi. Wskazała kierunek i puściła mnie przodem. Na dyżurce nikogo nie było. Otworzyła więc kratę i poprowadziła mnie dalej do wyjścia z budynku.

Dawno nie widziałam słońca. Oślepiło mnie. Było chłodno i wietrznie. Odzwyczajam się, bo przez w miarę szczelne okno w celi wiało trochę mniej.

Przeszliśmy do budynku administracji. Tu znowu posępny, wymarły, zimny, fatalnie pokryty kolejnymi warstwami farby śmierdzący i krzywy korytarz. Podłoga, ściany, drzwi i ludzie. Wszystko powykrzywiane.

Spotkanie z prokuratorem odbyło się w małym pokoiku. Czekał na mnie. Nie wstał, gdy weszłam, ani nie podniósł wzroku znad papierów.

Mały, gruby, łysy, w przyciasnej koszuli. Tak się na nim napięła, że brzuch mu wyłaził w miejscach, gdzie koszula rozeszła się między guzikami. Błady i owłosiony. Matko, dlaczego musiałam na to patrzeć? Przecież to łamanie zasady podwójnej karalności.

– W końcu się pani dograła – westchnął. – Warto było?

– Dzień dobry – odpowiedziałam.

– Zostaje pani postawiony zarzut zabójstwa. Rozumie to pani, pani Wilkońska?

Nie odpowiedziałam.

– Przyznaje się pani?

Tak się zapewne czuli moi uczniowie, gdy nieprzygotowani stali przy tablicy. Nawet jeżeli znałam odpowiedzi, to byłam pewna, że i tak zrobi ze mną, co zechce, i źle się to dla mnie skończy.

– Chciałabym spotkać się jeszcze raz z moim adwokatem – stwierdziłam w końcu.

– A to ma pani adwokata?

– Mam, ale nie mam z nim kontaktu. Przecież nie pozwalają mi nawet zadzwonić.

– To jak pani się chce z nim skontaktować? – zaśmiał się szyderczo. – Pani Wilkońska, no jak?

– Mógłby mi pan pomóc?

– A czy ja wyglądam jak Armia Zbawienia, pani Wilkońska? Czy wyglądam? Jeżeli się pani przyzna, to wszystko przebiegnie szybko. Wyrok nie będzie krótki, ale w pani przypadku długość wyroku nie ma wielkiego znaczenia. Sama to chyba pani rozumie, prawda?

Usiadłam, mimo że nie zaproponował.

– Widzi pan, szanowny panie – zaczęłam. – Ja wierzę w sprawiedliwość.

– Tak, to bardzo ciekawe – odpowiedział. – A dlaczego pani mi o tym mówi? Wróćmy do tematu, czyli pani sytuacji.

– To właśnie jest związane z moją sytuacją. Liczę, że podczas rozprawy będę w stanie wykazać swoją niewinność i zapadnie sprawiedliwy wyrok.

Zaśmiał się. Popatrzył na mnie. Odchylił się na krześle i rozejrzał wokół, jakby szukał słów.

– Rozbawiła mnie pani. Bardzo pani dziękuję, bo mam dzisiaj parszywy dzień – stwierdził. – Młodość mi się przypomniała. A nawet dzieciństwo. Przez tę pani naiwność. Pani myśli, że zadaniem sądu jest wydawanie sprawiedliwych wyroków?

Wstał, poprawił spodnie. Wsadził ręce do kieszeni i kontynuował oparty nie dbale o starą szafę.

– Sąd, proszę pani, to urząd, który ma za zadanie rozstrzygnąć, czy jest możliwość panią skazać, czy nie, a jeżeli tak, to z jakiego paragrafu.

– Adwokat będzie mnie bronił.

– Za dużo pani telewizji ogląda. Nie będzie płomiennych przemówień, targania emocjami i tym podobnych dyrdymałów. Adwokat może jedynie wykazać błędy proceduralne. To pani jedyna szansa, ale nie liczyłbym specjalnie na to. Bo się pani przeliczy.

– Nie boję się pana. Chce mnie pan zastraszyć. Obronę się w sądzie.

– Być może tak, ale kto może wiedzieć, kiedy dojdzie do rozprawy? Ja chcę mieć pewność, że akt oskarżenia będzie sporządzony bez zarzutu. Z szacunku dla pani oczywiście. A na to niestety potrzeba czasu. Będzie pani musiała poczekać. Z pewnością kilka tygodni, może miesięcy, raczej nie lat, ale kto wie. Mam szczerą nadzieję, że uda się pani ten czas przetrwać w dobrym zdrowiu i nie wpakować w żadne kłopoty, które przecież przekreśliłyby doszczętnie pani starania o uwolnienie.

Zakończył tyradę nieszczerym uśmiechem.

Powinnam wyjść, ale nieopatrznie założyłam nogę na nogę i mi jedna zdrętwiała.

– Podoba się pani w areszcie? – kontynuował. – Chyba nie, prawda? Nie wolno pani dzwonić, nie wolno pani się spotkać z rodziną, a przecież mąż się odnalazł. Może pani się z nim zobaczyć już za kilka dni. Zaraz po uprawomocnieniu wyroku. Niech się pani przyzna.

Spojrzałam na niego. Odchylił się na krześle, na którym i tak rozwalił się jak szympan, nie obrażając tych uroczych i inteligentnych stworzeń.

– Co pani na to? – spytał, patrząc mi prosto w oczy. – Przemyślała sobie pani? Chce pani coś powiedzieć?

– Tak – odpowiedziałam.

– Bardzo się cieszę – stwierdził z triumfującą miną. – Słucham. Śmiało. Proszę mówić.

– Nie ma pan przypadkiem papieru toaletowego? – spytałam.

Parsknął kawą na papiery leżące na biurku. A przecież one były ważne.

– Rolkę, może dwie – dodałam. – Dla koleżanek.

Zakrztusił się. Zakrył usta ręką i próbował odkasłać. Mocno poczerwieniał, a kaszel nasilił się i przybrał bardzo nieprzyjemny ton. Drażniący i irytujący. Tylko dlatego wstałam, podbiegłam i dosyć mocno poklepałam go w plecy.

– Już – powiedział. – Wystarczy!

Ale nie słyszałam wyraźnie przez to, że tak kasłał.

– Zwariowała pani?! – wrzasnął. – Do cholery?! To napaść!

– Co się pan na mnie wydziera?! – oburzyłam się. – Przecież ja panu pomagam!

Walnęłam go jeszcze raz, żeby podkreślić swoją rację. Obrócił się raptownie w moją stronę, żebym mi utrudnić dostęp do pleców.

– Jakiś pan jest taki strasznie spięty! – stwierdziłam wzburzona. – Zacietrzewiony w tej swojej nienawiści! Co z tego panu przyjdzie?! Cukrzycę i nadciśnienie to już pan pewnie ma! Udar albo zawał! Matce taki kłopotu narobi!

– Tak pani myśli?! – Wściekł się.

Wstał i poczerwieniał na twarzy.

– Ja chcę coś zmienić! Choćbym miał zdechnąć – wrzeszczał, plując śliną na wszystkie strony – to wyślę takich jak pani tam gdzie ich miejsce! I pozostałych też! Cholernych bandytów, złodziei w drogich garniturach!

Dostał takiej zadyszki, że musiał rozpiąć kołnierzyk.

– Niech się pan uspokoi, bo naprawdę zejdzie – stwierdziłam.

– Nie uspokoję się!

Walnął pięścią w stół.

– Plugawy świat krętaczy, zdrajców i podłych kryminalistów!

Spojrzał na mnie przekrwionymi oczami, aż mi się niedobrze zrobiło.

– Ja to całe miejsce zgładzę, zrównam z ziemią i was wszystkich zderatyzuję jak robactwo – wycedził powoli niczym rasowy szaleniec.

– A co się stało? – spytałam. – Zjadł pan coś nieświeżego w sklepiku?

– Ktoś mi uciszył głównego świadka w moim procesie – wycedził przez zęby. – Mam w areszcie wydobywczym kluczowego świadka, którego skłoniłem do zeznań. Odizolowanego.

Rąbnął pięścią w stół, aż wszystko na nim podskoczyło.

– I kurwa mać! – wrzasnął. – Zdołali do niej dotrzeć! I ją zastraszyć!

– To faktycznie oburzające – przyznałam. – Jestem rzecz jasna, podobnie jak pan, wstrząśnięta! I poruszona!

Opadł na krzesło, odwrócił twarz i zakrył oczy dłonią. Mimo to zdawał się spoglądać na mnie przez rozchylone palce.

Biedny nieudacznik.

Nie miał chyba nic poza tą swoją urzędniczą pracą, w której, jak widać, wcale tak dobrze sobie nie radził.

– Znajdę zdrajcę. Wytropię – sącył mowę nienawiści. – Zgnije w areszcie. Bez procesu. Nikt mu nie pomoże. Umrze w samotności.

– Taki pan przenikliwy. Aż dziwne, że pan nie wie, że jest jeszcze jedna osoba, która mogłaby coś wniesć do tej pana jakiejś tam sprawy – zauważyłam.

Spojrzał przez palce.

– Skąd pani o tym wie? – spytał.

– Nieważne. Tu wszyscy o wszystkim wiedzą. Oprócz pana!

– Co to za osoba? Przecież tu są same niziny i patologie. Nie ma żadnych rekinów finansowych ani mafiosów. Nikt inny nie był w to zamieszany. Znam wszystkich. Kto jeszcze może coś wiedzieć? – zastanowił się. – Dobrze, dobrze... Proszę mówić! Mogłaby zeznawać? Kto to? Wie pani, kto to jest?

– Jeszcze nie wiem, ale mogę to ustalić i przyprowadzić ją do pana. Rozumie pan chyba, że potem nie będę miała tu życia?

– Pomagając prokuraturze, udowodni pani, że jest moralną, prawą i godną zaufania osobą, która może czekać na proces na wolności. Zamienię areszt na dozór elektroniczny.

– Wolałabym oddalenie zarzutów.

– Niech pani sobie nie kpi z wymiaru sprawiedliwości.

– Nie śmiałabym.

– Musi pani znaleźć tę osobę! Rozumie pani? Musi! – pieklił się. – A jeżeli mnie pani wystawi, to proszę mieć świadomość, że jej życie jest w moich rękach. Każdego mogę realokować do starego, nieremontowanego zakładu bez sprawnego ogrzewania. Niektórzy nie wytrzymują w takich warunkach. Taka jest niestety nasza rzeczywistość. Sam nad tym bardzo boleję. Ale co zrobić. W więziennictwie funduszy brak. Może pani odejść.

Żadnej wdzięczności. Nawet za uratowanie życia nie podziękował.

Oddziałowa odebrała mnie po spotkaniu. Nie przywitała się, nie uśmiechnęła na mój widok, ale też nie krzyczała i nie odgrażała się, co było przyjemną odmianą. Poprowadziła mnie w kierunku naszego bloku, a swoim milczeniem dała mi do zrozumienia, że to ode mnie oczekuje zabawienia nas rozmową.

– Kto to jest Agnieszka F.? – spytałam.

– Nie udzielam informacji o osadzonych – odpowiedziała.

– Proszę powiedzieć, a zdradzę pani tajemnicę mojej szczupłej sylwetki.

Podniosła brwi.

– Dziękuję, nie potrzebuję – odpowiedziała.

– Tak pani uważa? – spytałam, oglądając Oddziałową od góry do dołu.

– Religijna ta Agnieszka?

– Jeżeli chodzi pani o Bernadette, to nie radzę się do niej zbliżać. Każdy chciałby wymierzyć jej sprawiedliwość, ale od tego jest sąd. Dostała wyrok taki, jaki dostała, i radzę się z tym pogodzić. Była już pani w łaźni? – spytała Oddziałowa.

– To macie tu łaźnię?

– Łaźnię musieliśmy przerobić na kaplicę, ale zaadaptowaliśmy inne pomieszczenie. W każdym razie myślę, że łaźnia się pani należy.

– Pewnie, że mi się należy.

Doszliśmy pod celę. Oddziałowa zajrzała przez wizjer i wsunęła klucz do zamka.



– A co to za dieta? – zwróciła się do mnie. – Pytam z ciekawości. Chyba nie kolejna głódówka tysiąc kalorii?

– Kolejna, kolejna, ale nie tysiąc kalorii, ale tysiąc złotych na miesiąc. Razem z rachunkami i lekami.

Weszłam do celi tylko po ręcznik. Całe szczęście wszystkie były w jednym kolorze. Zielonym. W razie zgubienia mogłam przecież wziąć czyjś i upierać się, że to mój. Zabrałam zatem swój ręcznik i wyszłam na korytarz.

Oddziałowa przywołała Mariolkę, Flaszkę i Wielką Jolkę. Nie były zadowolone.

– Musimy? – zapytała Mariolka.

Oddziałowa położyła zabandażowaną rękę na przytroczonej do pasa pałce, co poskutkowało wzmożoną chęcią udania się do łaźni.

Brudasy.

– Niech może pani to czymś smaruje – powiedziałam, spoglądając na opatrunek. – Jeszcze się pani zakażenie wda. Trzeba dbać o zdrowie.

– Proszę sobie ze mną nie pogrywać – powiedziała spokojnym tonem Oddziałowa, zamykając za nami drzwi. – Ja mogę pani bardzo uprzykrzyć odsiadkę. Kilka dni w izolatce i będzie pani cieniem samej siebie.

– Proszę wybaczyć, ale nie brzmi to jakoś bardzo przerażająco. Grożono mi już znacznie bardziej obrazowo, dobitnie, grając też przy tym głosem, mimiką i ruchem. Oryginalnie, kreatywnie i na bogato.

– Izolatka nie potrzebuje wzmacniaczy. Silniejsze od pani już nigdy nie dochodzą do siebie. Każdy czasem budzi się w nocy i ma czarne myśli, których nie sposób przegonić. Tak wygląda czas w izolatce. Te myśli dopadają i już nie opuszczają. Nic nie jest dla człowieka tak okrutne jak własne demony.

W atmosferze miłej wycieczki doszliśmy do łaźni. A raczej łazienki. Tym razem współlokatorki wykazały się kulturą i przepuściły mnie.

Pomieszczenie było niewielkie, kafelki niezbyt schludne, nieco zagrzybione. Jedna kobieta owinięta ręcznikiem już się awanturowała. Nie rozumiałam o co. Niektórym się nie dogodzi. Ja większej łazienki w domu wcale nie miałam.

– Proszę do środka – powiedziała do mnie Oddziałowa.

– Nie czekać, aż miejsce się zwolni? – spytałam.

– Proszę wchodzić, bo odkręcam wodę. Jeżeli zostanie pani w ubraniu, to będzie pani chodzić w mokrym.

– Do czego to podobne?! – oburzyłam się. – Przecież to nie żadna łaźnia!

– Właśnie! – dodała kobieta stojąca już pod prysznicem. – Co to za warunki?! Napiszę skargę!

– W łaźni jest teraz kaplica. Osadzone same o nią wnioskowały – oznajmiła Oddziałowa. – Odkręcam!

– Już, chwila... – powiedziałam, szybko zdejmując ubranie. – Może zwykła kabina, a może trochę większa.

Rzuciłam ubranie na stołeczek, gdy Oddziałowa z szyderczym uśmiechem odkręciła zawór i z trzymanego w rękach węża strzeliła w nas zimną wodą.

– Aaa! Kurwaaaa! – wrzasnęła kobieta. – Jaka lodowata!

Nie bardzo wiedziałam, o co jej chodzi.

– A ty?! – Spojrzała na mnie. – Dlaczego nie krzyczysz?!

– Nigdy nie krzyczę pod prysznicem – odpowiedziałam zaskoczona.

– Przecież woda jest lodowata!

– E tam. W domu mam taką samą. A ciśnienie to nawet słabsze.

Oddziałowa chyba nawet podkręciła strumień po jakimś czasie. Namydliłam się, wymyłam i spłukałam, gdy tamta cały czas krzyczała.

Wykorzystałam ten moment, żeby nieco się odchylić i spojrzeć, czy nie miała wspomnianej blizny w wiadomym miejscu.

Uśmiechnęła się do mnie, po czym też sprawdziła, czy i ja nie mam tam żadnej blizny.

– Zrobić ci dobrze? – spytała.

– W jakim sensie? – odpowiedziałam.

– Nie udawaj. Jesteśmy tu wszystkie samotne, a mamy przecież swoje potrzeby. Fizyczne. Chodzi o bliskość, dotyk, relaks, rozluźnienie...

– Jeżeli, to bardzo chętnie zgodzę się, żebyś wymasowała mi stopy.

– Słucham?

– A odpieprz się, zboczeńcu!

Gdybym bardziej uważała w klubie seniora na lekcjach samoobrony, to mogłabym się skutecznie bronić w starciu z agresją, zakładając miażdżącą kręgi dźwignię lub niszczące duszenie. Niestety, instruktor, który do nas przychodził, zupełnie nie potrafił przekazać swojej wiedzy. Miał piękne oczy i męskie spojrzenie, a nie sposób nauczyć się sztuki walki, patrząc bez przerwy tylko w czyjeś oczy.

Na imię miał Sensei. Nazwiska nie miał wcale. Po prostu Sensei. Przekonał się o tym jeden pan, który wszędzie pchał się jako pierwszy, z każdym się spoufalał i każdemu nadskakiwał. Spytał Senseia już na pierwszym spotkaniu, czy mogą przejść na „ty”. Tamten zgodził się, uśmiechając się uroczo.

– Mam na imię Stefan! – krzyknął podniecony, biegnąc przez pół sali z wyciągniętą dłonią.

– Bardzo mi miło – odpowiedział. – Mów mi Sensei!

Niestety, wszystko, co dobre, za wcześnie się kończy. Czaplińska zakręciła wodę, a kobieta przestała krzyczeć, po czym owinęła się ręcznikiem i dzwoniąc zębami i trzęsąc się, uciekła na korytarz.

– A pani na co czeka? – spytała Oddziałowa.

– Dla mnie to za krótko – odpowiedziałam.

– Proszę wyjść. Jest kolejka.

– Na bicz wodne i krioterapię zawsze jest kolejka.

– Dostanie pani kolejny kwit karny.

Po chwili weszła następna w ręczniku.

– Sina jesteś – powiedziała.

Twarz miała całkiem zwyczajną, ale oczy zimne, dzikie i złowrogie, jak pracownik urzędu skarbowego.

Oddziałowa odkręciła zimną wodę.

– Ożeż, kurwa! – wrzasnęła, gdy Oddziałowa odkręciła lodowaty strumień. – Zimniejsza niż zwykle!

Ja natomiast przystąpiłam do rutynowych czynności śledczych. Nic. Niestety nawet pieprzyka.

– Przerżnę cię! – warknęła.

– Przerżnę? – spytałam. – Może raczej zerżnę?

Spojrzałyśmy na siebie. Obie byłyśmy tym nieco zdezorientowane.

– Chyba jakoś niezręcznie wyszło – stwierdziłam.

Czułam, że niezbyt taktownie jest od razu poprawiać nieznaną osobę.

– Nie, nie, w porządku – odpowiedziała. – Właśnie to miałam na myśli.

– Warto niektóre związki frazeologiczne rozwinąć dla lepszego zrozumienia. Moc takiego wyrażenia jest większa, a całość brzmi dobitniej.

– Wiem o tym.

– Może pani spróbować – zaproponowałam.

– Przerżnę cię z każdej strony! – odpowiedziała zdecydowanie.

– Nie przerznę, tylko zerznę, reszta o wiele lepiej. No chyba że faktycznie chodzi o przerznięcie, na przykład na pół, ale rozumiem, że chodzi o brutalną przemoc seksualną, gwałt, prawda?

– Oczywiście, że tak! Chodzi o przemoc, gwałt i dominację, a nie jakieś wypracowanie z języka polskiego!

– No tak, tak... rozumiem, ale myślałam, że może pani się pomyliła, i chciałam dać pani pretekst do wycofania się.

– A to niby dlaczego?

– Jak to dlaczego? Nie wydaje się pani, że ja jestem na to nieco za stara? To znaczy oczywiście, że nie jestem stara. Ale rozumie pani... zabójstwo, kradzież tak, ale napaść na tle seksualnym... No niech się pani jeszcze zastanowi.

– Mnie to nie przeszkadza.

– Naprawdę?

– Jesteśmy w więzieniu. Chyba widzisz, że nie mam tu wielkiego wyboru.

– Faktycznie.

– A skoro jesteś stara, to też chyba nie przebierasz w propozycjach.

– Tylko nie stara, dobrze? Tylko nie stara!

Spojrzała na mnie groźnie, a ja, patrząc na jej twarz, doznałam olśnienia.

– Już wiem – stwierdziłam z zadowoleniem. – Przecież jesteśmy w więzieniu. Zatem ty pewnie jesteś jednym z tych geniuszy zbrodni o fascynującym umyśle seryjnego mordercy, którego emocjonujące tajemnice zgłębiają liczni twórcy filmowi i literaccy!

– Co ty pierdolisz?! – warknęła. – Bajek się naczytałaś?! Jestem zwykłym bandziorem. Zatlukłabym cię, twoją rodzinę i tych twoich twórców też, gdybym tylko miała okazję. Nie byłaś nigdy ofiarą przemocy?!

– Byłam, oczywiście, że byłam – odpowiedziałam. – Dlaczego miałabym nie być?

– Jeżeli widzisz w tym coś fascynującego czy romantycznego, to jesteś chyba bardziej pojebana niż ja!

– Tak mi się powiedziało. W rozwiniętych społeczeństwach czyta się i ogląda sporo kryminałów.

– Dlaczego?

– Może z nudów.

– Dobra, dobra, skończyłaś już tę swoją nawijkę? Mogę zaczynać?  
Popatrzyłyśmy na siebie. Była wcieleniem zła. Najprawdziwszego zła.

– Nie – odpowiedziałam.

– Jak to nie?! – spytała ponownie zbита z tropu.

– Zwyczajnie – odpowiedziałam z przekonaniem. – Przecież istotą gwałtu jest brak zgody ofiary. Jeżelibym się zgodziła, to byłby po prostu seks, oczywiście mówię czysto hipotetycznie, a chyba nie o to ci chodzi.

– A o co według ciebie mi chodzi?!

– Bo ja wiem? Może masz potrzebę wywyższenia się. Nie zrozum mnie źle. Ja nie oceniam. Chcesz pokazać, że i ty możesz rządzić, że masz swoją wartość, swoje racje, że możesz narzucić swoją wolę. Ale na kimś słabszym? Zniszczysz słabą, bezbronną staruszkę. Niedużo ci to da. Na niewiele ci to wystarczy.

Patrzyła na mnie, a jej twarz stawała się obwisła. W pewnym momencie straciłam zupełnie przyjemność patrzenia na nią. Usta jej się wykrzywiły, podbródek zadrżał, aż w końcu wybuchła płaczem.

– Jestem do niczego! Do niczego się nie nadaję! – zawyła przez łzy.

Uwiesiła mi się na ramieniu, płacząc i pociągając nosem. Nie bardzo wiedziałam, co zrobić w tej sytuacji.

– Ja już nawet nie potrafię nikogo napaść pod prysznicem!

– Nieprawda. Nie mazgaj się. Weź się w garść – odpowiedziałam, gładząc ją po głowie. – Jeszcze nieraz kogoś napadniesz.

– Ale ja w ogóle nie jestem groźna! – łkała dalej. – Nic mi nie wychodzi!

– Byłaś bardzo groźna, zapewniam cię – odpowiedziałam. – Tylko musisz wzbogacić słownictwo i pilnować gramatyki.

– Tak myślisz? – Uspokoila się trochę.

– Oczywiście, że tak. Jesteś młoda, całe życie przed tobą. Jeszcze będziesz siała postrach pod prysznicem. Jak zagryziesz zęby, zaciśniesz pięści i zmarszczysz nos! Tak jak ja, spójrz. Dziewczyny będą uciekać z krzykiem.

– Bo to strasznie podkopuje pewność siebie, rozumiesz? Mogłabym cię chociaż pobić? Lepiej bym się poczuła.

– Nie, nie ma mowy. Dzisiaj już wszystko zepsułaś. Tym płaczem i rozklejaniem się. Sama rozumiesz. Słownictwo. Nie może tak zostać, bo każdy napad zepsujesz. Wiesz, komedia się z tego robi. Musisz to sama wyczuć.

Przetarła łyzy, przejrzała się w zaparowanym lustrze i wzięła swoje rzeczy.

– Słuchaj – zwróciła się do mnie.

– Tak? – odpowiedziałam.

– A ty mogłabyś mi pomóc.

– W czym?

– No, z tymi zwrotami, frazeologizmami i w ogóle.

– Może cię jeszcze do matury przygotować? – Zaśmiałam się.

– A mogłabyś?! – Aż wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– No może bym i mogła, ale po co ci to?

– Bo kiedyś... może, jak wyjdę... to mogłabym dostać pracę...

– A, pracę. Rozumiem. Ale teraz już nie trzeba mieć umiejętności, żeby dostać pracę. A tym bardziej wykształcenia. To może nawet przeszkadzać.

– Naprawdę?

– Za długo siedzisz. Świat się zmienił. Głupota jest cnotą. Są specjalne gazety, programy telewizyjne, a nawet partie polityczne dla głupich. Odnajdziesz się.

– To co? Nic nie robić?

– Oczywiście! Moja pasierbica prowadzi działalność. Windykacja, ściąganie długów i tym podobne. Polecę cię. Rokujesz. Zrobisz karierę.

– Naprawdę? – Chwyciła mnie za rękę. – Nie wiem, jak ci dziękować.

– No już, już! Co to ma znaczyć?! – krzyknęłam. – Nie mazgaić się! Jak ty stoisz?! Co taka zgarbiona?! Wyprostować się! A do domu masz zadane dwie strony wyrazu „zerzną”. Tylko bez byków!

Spojrzała na mnie jak krowa, której ktoś tłumaczy tabliczkę mnożenia.

– Nieważne – stwierdziłam. – A tak przy okazji... nie zrobiłabyś czegoś dla mnie? To ważne. Szukam jednej osoby.

– Że co?! Jeszcze czego? – oburzyła się. – Nie jestem niczym pachółkiem!

Wyszła.

W ten sposób przesłuchałam cały oddział. Zrobiłam, co mogłam. Naoglądałam się więcej tyłków niż dyrektor teatru akademickiego. Nie była to praca ani łatwa, ani przyjemna. Więcej zrobić nie mogłam, bo z zimna traciłam już czucie w palcach. A Oddziałowa zapisała całą stronę w notesie kolejnymi karami za niesubordynację.

Gdy wróciłam do celi, Flaszka zajęła się tatuażem.

– Zagotuj wodę – powiedziała do niej Mariolka. – Nie mogę słuchać, jak dzwoni zębami.

– Widać, że lubisz się kąpać – zauważyła Flaszka.

– Chciałam się ze wszystkimi zapoznać – odpowiedziałam.

– Wszystkich nie poznałaś. Nie wszyscy się kąpią.

– Jak to?! – wrzasnęłam, podrywając się na łóżku. – To po jaką cholere marłam w lodowatej wodzie jak ta głupia?!

– Są różne dewiacje – wyjaśniła ochoczo Flaszka. – Bernadetta na przykład nie kąpała się od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Będąc oczywiście jeszcze na wolności...

– Przestań. Skończ ten temat – wtrąciła się Mariolka.

– A czy... – chciałam jeszcze dopytać.

– Dość. Nie będziemy o niej rozmawiać, bo mi się niedobrze robi – zakończyła rozmowę.

Flaszka zgodnie z wcześniejszą prośbą uruchomiła swoją manufakturę kawy i przygotowała boski napar. Nie było na świecie milionera, który czułby się lepiej niż ja w tym momencie. Żadne pieniądze świata nie mogły dać tyle ile zapach i smak kawy w wyposzczonych i sinych z zimna ustach. Czułam się bosko. Miałam wszystko. Nie mając nic.

– Masz jakieś marzenia? – spytałam Flaszkę.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała. – Nie musisz mi się rewanżować.

– Ja? Skąd taki pomysł? – zdziwiłam się. – Pytam, bo chcę zmienić temat. Nie mogę już słuchać tych waszych kryminalnych opowieści.

– Oczywiście, że mam marzenia – stwierdziła.

– Jakie?

– Szkoda gadać, to takie głupie i trudne do ziszczenia.

Pewnie marzyła o wolności. Pragnienie to było tak samo głęboko zakorzenione w naszej narodowej tożsamości jak zdolność jej utraty. Ludzie podobnie. Pakując się z jednego kieratu w drugi, każdy powie, że wolność ceni nade wszystko.

– Marzenia zawsze wydają się głupie – zapewniłam. – Ale są ważne. Powiedz.

– Chciałabym, żeby zmywająca podłogę na peronce mimo wielokrotnego przypominania zapomniała wytrzeć ją do sucha. I żeby akurat tego dnia przechodził tamtędy Kloc, poślizgnął się i przewrócił na Oddziałową, ale ona nie utrzymałaby równowagi i chcąc uratować się

przed upadkiem, chwyciłaby Mojżesza, i wszyscy razem runęliby na ziemię, waląc się porządnie we łby.

– W sumie ostrzegałaś... – stwierdziłam, nie potrafiąc ukryć zażenowania. – To już nie mów więcej, chyba że masz jakieś niegłupie.

– Chciałabym się wybrać w podróż...

– Świetnie.

– Daleką. Za długo jestem tu zamknięta. Chciałabym wszystko zmienić. Rozumiesz?

– Bardzo mądrze. Dokąd chciałabyś pojechać?

– Do Czerska.

– Matko, do Czerska? A po co?

– Co ty, głupia jesteś? Nie wiesz, jak tam jest dobrze? Mają kameralne cele, dużą świetlicę, cały czas biorą udział w warsztatach, zajęciach. Na peroncie wiszą trzy aparaty, więc możesz dzwonić, ile chcesz. Tam to człowiek pożyje.

– Dobrze mówi – potwierdziła Mariolka, popijając ze swojego kubka. – Dobrze mówi.

– A ty, Mariolka? – zapytałam. – Masz marzenia?

– Pewnie, że mam – odpowiedziała. – Jako dziecko chodziłam na grzyby. Chciałabym pójść do lasu.

– Były marszałek Sejmu potrafił znaleźć sporo grzybów – zauważyłam.

– Dobrze zbierał? – spytała Mariolka.

– Bardzo dobrze! Tyle nazbierał, że musieli po niego polecieć wojskowym samolotem transportowym!

– To sporo obierania. Musiał żonę wkurwić.

Westchnęłam. Przyjemnie się siedziało. Zapomniałam o bólu i o tym, że Flaszka pracowała cały czas nad moim tatuażem.

– Nie kręć się – powiedziała Flaszka. – Już kończę.

– A ty, Grażynka... – zaczęła Mariolka.

– Zofia.

– Czego byś chciała w życiu?

– Sama już nie wiem – odpowiedziałam. – Może spokoju.

– A po co ci spokój. Znudzi cię. Zaczнеш kombinować, szukać i jeszcze się w kłopoty wpakujesz albo w używki. Spokój jest niebezpieczny. Ludzie szukają emocji, przeżyć, oglądają filmy, czytają książki, żeby nie mieć spokoju, tylko żeby się coś działo.



– Chciałabym wiedzieć, po co to wszystko – stwierdziłam. – Tak naprawdę. Czy faktycznie jedynym celem człowieka jest poszukiwanie szczęścia. Przecież to nieosiągalne. Na końcu tej drogi nic nie ma. Wypalenie, frustracja, pustka, zguba... i więzienie.

– Mimo to trzeba szukać sensu życia – odpowiedziała Flaszka. – Tylko gdzie? Bo chyba nie w galerii handlowej.

– Może właśnie w więzieniu – zauważyłam.

– No co ty? – zachnęła się Mariolka. – Trzeba zmieniać świat na lepsze. Tylko czy to warto? Dla kogo? Dla głupich, zawistnych, chciwych ludzi, którzy twoją pracę wykorzystają albo zniszczą?

– Może trzeba znaleźć jakieś własne miejsce na ziemi i budować je, i o nie dbać. Poznawać ludzi. Otwierać się na nich, przeżywać coś razem. Nie ma nic bardziej fascynującego do poznania niż ciekawy człowiek.

– Skończyłam! – przerwała Flaszka.

Mariolka nachyliła się i spojrzała na mój nowy tatuaż.

– I jak? – spytałam.

– Co to, kurwa, jest?! – Zaśmiała się.

Wystraszyłam się. Zerwałam się i podeszłam do lustra.

– Sama mówiłaś – tłumaczyła się Flaszka niepewnie – żeby zrobić Marsa!

Poczułam pieczenie w nosie, potem w oczach. Nie pomyliłam się co do niej. Pięknie wytatuowany batonik czekoladowy. Tylko prawdziwa artystka mogła tak doskonale i głęboko uchwycić mój charakter!

– Wymyślić ci fajną więzienną ksywkę? – zawołała uradowana Flaszka. – Może brzytwa?

– Daj spokój – skomentowała Mariolka. – To staromodne.

– Masz rację – przyznała. – Philishave, Gillette albo OneBlade!

– Słyszałam, że jeden przestępca miał ładny pseudonim – zabrałam głos. – Kiełbasa.

– Nieźle, ale w ogóle do ciebie nie pasuje.

– Bardziej Sucha podwawelska, Kabanos albo Krakowska podsuszana.

Czułam, że w końcu dojdziemy do porozumienia.

\*\*\*

Prawdą było to, co mówili. Więzienie zmieniało człowieka, łamało nawet najsilniejszych i wysysało życie. Na szczęście we mnie życia było pod

dostatkiem. Często zdawało mi się, że nawet za dużo, a na pewno znacznie więcej niż u innych. Niemniej jednak postanowiłam zadbać o tężyznę fizyczną. Nabrać krzepy. Dopakować!

Miałam czas, entuzjizm i z tysiąc kalorii dziennej racji żywnościowej! Czułam, że w kilka tygodni mogłabym stać się nawet wielkim umięśnionym murzynem!

Podciągnęłam nogawki, zakasałam rękawy i pełna pozytywnej energii oraz bojowego ducha zwróciłam się do współlokatorek:

– Gdzie tu macie siłownię, chudzielce?

Zaśmiały się.

– Co was tak bawi? – spytałam.

– Wyglądasz śmiesznie.

– To prowizoryczny strój sportowy.

– Wyglądasz, jakby ci mieszkanie zalało. A siłowni tu nigdy nie było.

– Jak to? Nic? Żadnego cardio, total body condition, energy fitness, magic bar, body pump? Nic kompletnie? Joga, tabata, zumba... Nie do wiary. Żeby tak o sobie nie dbać?!

Spojrzały na mnie jak dzieci uchodźców na reklamę klocków Lego. Rozczarowały mnie, i to bardzo. Zacoferane bardziej niż w domu starców.

– No już, dziewczyny, wstawać! – Klasnęłam w dłonie, żeby je pobudzić. – Nie mam zamiaru się zapuścić tylko dlatego, że jesteście tak leniwe.

– To głupie. Daj spokój – stwierdziła Mariolka.

– Wstawać raz-dwa! – ponagliłam. – Wiem, że dacie radę!

Górna koliba zatrzeszczała i Wielka Jolka zsunęła się bez gracji na podłogę.

– Raz-dwa robimy przysiady – zaordynowałam. – Zapoznajmy się ze swoim ciałem. Poeksplorujmy je troszkę!

Stanęła naprzeciwko mnie, złączyła nogi i wyciągnęła ręce przed siebie. Nie zdążyła nic zrobić, gdy zameldowała się koło niej Mariolka.

– Przysiady, mówisz? – zapytała z taką miną, jakby miała zamiar udowodnić, że każde ćwiczenie wykona lepiej.

– Najpierw ja – stwierdziłam. – Wy potem. Znajdź oddech, który ci najbardziej odpowiada! Spinaj brzuch!

Wyciągnęłam ręce przed siebie i spojrzałam na nie.

– Asekurujcie mnie – nakazałam. – Uginaj nogi w kolanach! Cały czas głośno oddychaj!

Podeszły i przytrzymały mnie.

– Bardziej zdecydowanie – poirytowałam się nieco. – Przecież się przewrócę. Góra, dół, góra, dół, świetnie! Cztery, trzy, dwa! Skoncentruj się na pośladkach! Skoncentruj się na brzuchu!

Chwyciły mnie mocno za ramiona, a ja powoli ugięłam trzęsące się kolana.

– Coś ci chyba nie za dobrze idzie – stwierdziła Mariolka, napinając się i wydymając policzki.

– Jeszcze się rozgrzewam – odpowiedziałam. – Zaraz się rozkręcę. Góra, dół, góra, dół! Góra wdech! Dół wydech! Cztery, trzy, dwa! Luźny kark! Wytrzymaj jeszcze!

Trzymały mnie mocno i to unosiły do góry, to opuszczały do dołu.

– Teraz góra! – wydałam kolejne polecenie, gdy byłam już w głębokim przysiadzie. – Mocno! Wydech, wydech! Mocno pracuje brzuch!

– O Jezu – jęknęła Mariolka, ciągnąc mnie w górę.

Wielka Jolka syknęła z wysiłku.

– Widać, że nie macie formy. Sapiecie jak stare baby – zauważyłam. – Jeżeli czujesz napięcie w karku, obróć głowę w lewo, w prawo i wróć do pozycji! Korpus stabilnie! Brzuch napięty!

Bez większego wysiłku wykonywałam kolejne ćwiczenia. Tak dobrze nie szło mi już od dawna, więc pozwoliłam sobie na podkręcenie tempa.

– A teraz szybciej! Raz-dwa! Za każdym razem mocno napinaj nogi!

– Jezu, Zośka, nie damy rady... – jęknęła Flaszka.

– Wiem, że dasz radę! Idzie ci świetnie! Pięć, cztery, trzy, dwa, ostatni! Cudownie!

Opuściły mnie w dół, a potem do góry. Czułam siłę! Czułam energię! Czułam moc!

– I jeszcze! Dasz radę! Pięć, cztery, trzy, dwa! Przełamujemy bariery! Ostatni! Świetnie!

I znowu ugięłam kolana, a potem powoli z powrotem do wyprost! Siła!

– A teraz wyciągnij ramiona, wyciągnij nogi, rozciągnij się. Z całego serca ci gratuluję! Wdech nosem, wydech ustami. Pogłaszcz się po brzuszku, pogratuluj sobie dobrze wykonanego treningu, świetnie ci poszło!

Wyprostowałam się dumnie.

One ledwo stały. Flaszka blada, Mariolka purpurowa, Wielka Jolka cała mokra.

– Dobra. Ja robię sobie przerwę – stwierdziłam, wycierając kroplę potu, która pojawiła się na moim czole. – Teraz wasza kolej!

Spojrzały na mnie z niedowierzaniem.

– No chwila – powiedziałam, rozkładając ręce. – Tylko ja ćwiczę? A wy to co? Do roboty!

Popatrzyły na mnie, chwilę przewracając oczami, po czym wróciły na łóżka. Sapiąc i marudząc pod nosem, doczekały do wieczornego liczenia. W głowie się nie mieściło, jakie były słabe i leniwe.

Wyszłyśmy na peronkę, Mariolka podała stan osobowy celi, poczekałyśmy, aż Oddziałowa zakończy liczenie i będziemy mogły wrócić i położyć się na koje.

– Weź moją koję – powiedziała do mnie Flaszka.

Mariolka spojrzała na nią zaskoczona. Wielka Jolka rzecz jasna nie odniosła się.

– Tylko pamiętaj o jednym – kontynuowała. – Jak tylko usłyszysz w nocy skrzypienie sprężyn nad sobą, to natychmiast wstawaj i mnie budź. Nie żartuję.

Znowu zaczęły się bzdurne więzienne zasady.

– Tak, oczywiście – przytaknęłam. – Tak właśnie zrobię. Bez obaw. Sen mam delikatny jak księżniczka.

Wkrótce zgaszono światło.

Odwróciłam się do ściany i naciągnęłam koc. Może nie był najprzyjemniejszy w dotyku, a wzór z pewnością skomponował daltonista, ale przecież po ciemku i tak nie widać kolorów. A zimno było czuć, i to znacznie bardziej niż w dzień. W nocy pojawiał się chłód odosobnienia, wykluczenia i porzucenia. Chłód samotności. Do tego skarbowy koc, jak go tu nazywali, nadawał się nie najgorzej dlatego, że pośród wszystkich swoich wad miał jedną dużą zaletę, którą potrafił ogrzać ludzkie serce. Był darmowy!

– I nic się nie martw, Zośka – odezwała się Flaszka.

– Jak dorwiemy sukę złodziejkę, to wszystko wróci do normy.

– Poprawi się zaopatrzenie i kontakty z dziewczynami z bloku.

– Będziemy żyć jak wielkie panie. Zobaczysz.

Gdy w końcu udało mi się znaleźć spokojne miejsce do życia z regularnymi posiłkami i opieką medyczną, to znowu coś się musiało

popsuć. Przeszedł mnie dreszcz tak zimny, że nie był go w stanie złagodzić żaden, nawet najbardziej idiotyczny koc.

## Rozdział 6

Tamtej nocy nie mogłam zasnąć. Martwiło mnie trochę śniadanie następnego dnia. Wygolona miała mnie zadenuncjować w sprawie tych paru serków waniliowych, jogurtów, paczki parówek, drożdżówki, pudełka borówek i malin, dwóch bułeczek maślanych oraz sporego kawałka suchej krakowskiej niezłej, chociaż twardej. Jakby to był jakikolwiek powód do afery. Kryminalistki od serków waniliowych!

Ilekroć zamknęłam oczy, zastanawiałam się nad tym, jak miały zamiar sobie poradzić z poćwiartowaniem mnie łyżeczką do herbaty. Przecież to potrwa wieki!

Tak czy inaczej zbliżał się niełatwy dzień, więc dobrze byłoby się wyspać i nabrać energii oraz wigoru. Niestety, nie udało się.

Gdy tylko zamknęłam oczy, poczułam, że się duszę. Brakuje mi powietrza w zamknięciu, za murami, kratami w tej małej celi na zatechłym materacu pod śmierdzącą poduszką.

Otworzyłam oczy, ale nic nie zobaczyłam. Ktoś potwornie ciężki usiadł na mnie i przycisnął mi do twarzy poduszkę. Miotalam się i chciałam sięgnąć go rękami, ale nie zdołałam.

Nagle ustąpił.

– Przepraszam – powiedziała Flaszka, tuląc Wielką Jolkę siedzącą na mnie z poduszką w rękach. – Nie obudziłam się. Może to przez zmianę łóżka. Już dobrze. Ciiii...

– Wracaj do łóżka – powiedziała zaspana Mariolka do Wielkiej Jolki. – Idź spać. To nie twój mąż. On nie żyje.

Wielka Jolka wstała i pocieszana przez współlokatorki wdrapała się na swoje łóżko.

– Przepraszam bardzo – zwróciłam się do nich. – A ja to co? Zdaje się, że niemal zostałam uduszona. Nikogo to nie obchodzi?

– Chciałaś dolną kolibę, to masz – odpowiedziała Mariolka. – Co jeszcze możemy dla ciebie zrobić?

Nie wyspałam się, ale nie z powodu strachu, niepewności czy koszmarów. Dręczyły mnie współlokatorki. Zarzutami, jakobym przez sen chrapała, pufała i mlaskała. Twierdziły, że nie mogą w ogóle przeze mnie

zasnąć. Torturowały mnie wręcz, budząc co chwila, biadoląc i gderając. Sprawdził się znany stereotyp. Noce w więzieniu były nie do zniesienia.

Rano współlokatorki wyglądały fatalnie. Oczy miały podkrążone, twarze szare i zmęczone. Nic dziwnego, skoro zamiast spać, znęcały się nade mną. Należało im się.

Fłaszka już nie spała.

– Co robisz? – spytałam.

– Piszę – odpowiedziała.

– Apelację?

– Tekst na bloga.

– Mogę?

Wyciągnęłam rękę po plik kartek. Podała mi je niechętnie.

Po chwili oddałam je z powrotem.

– Tego się nie da czytać – oznajmiłam.

– Słabe? – spytałam.

– Nie wiem. Nie potrafię rozszyfrować. Czytaj na głos.

Wzięła kartki i zaczęła coś nieśmiało mamrotać pod nosem.

– Głośniej! – poprosiłam.

– Kolejna noc minęła – zaczęła czytać, spoglądając na mnie niepewnie.

– No dalej, dalej. Na co czekasz.

– Zmuszam się do otworzenia oczu – kontynuowała. – Wiem, że otaczająca mnie rzeczywistość będzie taka sama jak wczoraj i tydzień temu... Oprócz dat nie zmienia się nic. Te same twarze, których mam już dosyć. Budzą we mnie agresję. Ćwiczą moją cierpliwość, która zawsze pozostawiała wiele do życzenia.

Wstaję.

Po drodze do umywalki chcę włączyć czajnik. Znowu nie ma wody. Co za pojeb zostawił pusty czajnik?! Ile razy można prosić?! Nie mam już siły do powtarzania tego samego w kółko.

Cela cudaków, ludzików z żołądki i zapalek. Tu wszystko dzieje się „jakimś cudem”. Jak coś się stanie, każda mówi: „To nie ja”, „Nie wiem jakim cudem”.

Sama nalewam wody. Czajnik nastawiony, kawa nasypana. Mogę działać.

Cudaki śpią.

Karmię się ciszą. Póki trwa.

Myję twarz. Patrząc w lusterko, przyglądam się swojej twarzy, którą za chwilę schowam pod maską. Wkładam ją codziennie rano, choć mocno uwiera. Jest odpychająca, dlatego mi z nią dobrze. Wolę być nielubiana. To mnie chroni.

Mam garstkę koleżanek. Może nawet przyjaciółek. Przykre, że mogę je zliczyć na palcach jednej ręki, ale jak to się mówi: liczy się jakość, a nie ilość.

Przyglądając się sobie, myślę, że pomimo mijającego czasu nadal jestem ładną kobietą i nie wyglądam na swoje lata. Podobno puszka konserwuje. Ta myśl poprawia mi humor.

Poranna toaleta zaliczona, łóżko posłane. Wrzenie wody informuje, że mogę zalać kawę. Uwielbiam jej zapach.

Staram się być cicho, żeby dłużej delektować się byciem sama ze sobą. Nie mam ochoty ich słuchać czy patrzeć na skrzywione gęby.

Upajam się minutami, które są tylko dla mnie.

Ze szklanką w ręku stoję w oknie. Rześki chłód wrześniowego poranka smaga mnie po twarzy. Nic nie widzę, bo ktoś gdzieś kiedyś zdecydował, żeby pomontować w oknach pleksi.

Piję kawę i myślę o ludziach, którzy są wolni, a czują się zniewoleni przez natłok codziennych obowiązków – zazdroszczę im. Chciałabym ponarzekać na pracę lub na to, że w deszcz muszę wyjść rano z psem. Tęsknię za tym, żeby pójść do sklepu, ugotować obiad, posprzątać dom, poprasować, mimo że nie cierpię prasowania.

Chciałabym usiąść przy stole w kuchni z kubkiem kawy i bezmyślnie pogapić się w okno.

Cudaki jeszcze śpią, więc pozwalam sobie na chwilę bycia sobą.

Upajam się ciszą. Póki trwa.

– Dobrze? – spytała, kończąc.

Ocknęłam się. Przetarłam oczy i rozejrzałam się.

– Co się stało? – spytałam.

– Przeczytałam ci mój tekst – odpowiedziała Flaszka poirytowana. – Spytałam, czy dobry.

– Doskonały – odpowiedziałam zdecydowanie. – Naprawdę doskonały.

Uśmiechnęła się.

– Pisać więcej? – spytała z entuzjazmem.

– Nie, nie – odpowiedziałam. – Nie trzeba. Tyle wystarczy. Usypia doskonale.



Tego dnia wyjątkowo nie byłam głodna. Nie miałam apetytu i nie wyczekiwałam pojawienia się Wytatuowanej i Wygolonej z garkuchnią.

– Ale nuda – rzuciłam. – W domu też nie było nic do roboty, ale przynajmniej można było wyjrzeć przez okno i zobaczyć, co robią inni.

– Co ty opowiadasz? – Zerwała się Flaszka. – Masa rzeczy się dzieje. Nie masz pojęcia, co się właśnie wydarzyło!

– Co takiego?

– Rano przyszedł transport z Grudziądza.

– Aha.

– Przyjechała fajna dziewczyna i wszystkiego się od niej można dowiedzieć. Kto, gdzie i za co siedzi. Ekstra.

– Matko jedyna, a co mnie to może interesować?

– Nie obchodzi cię to? – spytała Flaszka zawiedzionym głosem. – Nie jesteś ciekawa, co słychać u znajomych?

– Ja miałabym mieć znajomych w kryminale? – spytałam zaskoczona. Spojrzały na mnie dziwnym wzrokiem.

– Masz się za lepszą od nas? – spytała Mariolka. – Pani magister...

Popatrzyłam na nie. Nie były zadowolone. Flaszka ściągnęła usta i podniosła brwi w dosyć teatralnym geście. Mariolka zaczęła strzelać palcami.

– Ja? A skąd! – zaprzeczyłam z całym przekonaniem. – Powiedziałam, że nie mam znajomych w kryminale? Oczywiście, że mam.

– No to się pochwal – westchnęła naburmuszona Flaszka.

– Niech no sobie tylko przypomnę, jak im tam było...

– Czekamy, czekamy... – dodała Mariolka.

– No przecież! – zawołałam uradowana. – Golum! Oprych okropny, spod ciemnej gwiazdy, podły i groźny, postrach dzielnicy. Oczy wielkie, wyłupiaste, włosy długie, rzadkie, niebieskie żyły prześwitujące przez cienką, przezroczystą skórę...

– Zmyślasz. Przecież to postać z filmu.

– A skąd. Z żadnego filmu. To mój sąsiad Stanisław Podgórski.

Popatrzyły na siebie z Mariolką.

– Zatrudniliby do tej roli Polaka? – spytała Flaszka.

– Może potrzebowali kogoś nieopatrzonego – odpowiedziała Mariolka.

– To ty, Zośka, znasz ważnych ludzi – stwierdziła z uznaniem Flaszka.

– Pewnie, że znam – odpowiedziałam dumnie. – A dlaczego miałabym nie znać? Dla mnie to on nawet Staszek jest i raz mnie na kawę do siebie zaprosił.

Spojrzały na mnie z wytrzeszczonymi oczami.

– Jejku, i co? – spytała Flaszka. – Poszłaś? Dobierał się do ciebie w basenie? Wymusił inne czynności seksualne?

– Nie. Nic z tych rzeczy. Porwał mnie wtedy drugi bandyta. Jeszcze gorszy. A Goluma w końcu aresztowali.

– Chciałabym, żeby i mnie kiedyś zaprosił do siebie amerykański aktor.

– To nie żaden amerykański aktor, tylko Polak. Przecież wszyscy o nim mówią. Kręcił filmy w Ameryce, matki przywoziły mu swoje nieletnie córki do domu, żeby im zdjęcia w kostiumie robił, a potem oskarżały go o wykorzystywanie.

– No co ty, to inny człowiek – poprawiłam ją. – Golum nie ma domu z basenem, a ja nie umiem pływać. Poza tym to nie żaden reżyser, tylko emerytowany nauczyciel geografii z Warszawy.

– Nie wiedziałam, że emeryci to aż takie hardcore’y... – stwierdziła Flaszka. – Nauczyciel...

– Chyba mi nie powiesz, że dziewczyna z Grudziądza akurat go zna.

– Wiesz, my tu nie mamy wielu rozrywek, ale znamy wszystkie głośniejsze sprawy. Czy jego nie oskarżyli o morderstwo?

– Możliwe.

– Banalna sprawa. Nic ciekawego. Przekroczenie obrony koniecznej. Dostał kilka lat. Nic wielkiego. Stara się o warunkowe zwolnienie. Jeżeli to ten twój, to pracuje w kuchni. Podobno niezłe gotuje.

– No to dobrze by było, żeby nikt w tym Grudziądzu nie miał nietolerancji laktozy, bo on tylko sernik potrafił upiec, nic więcej. Zresztą jaki tam on mój? Sąsiad po prostu. Ledwo go znam... A co to za dziewczyna Ewa Nowak?

– To nudy – wtrąciła się Mariolka. – Przewały bankowe, wyłudzenia, działanie w zorganizowanej grupie. Ogromne pieniądze i ważni ludzie, ale nikt ich nie ruszy, bo jest na ten temat zmowa milczenia.

– Czy to możliwe, że tu u nas na oddziale jest ktoś związany z taką sprawą?

– Oczywiście, że tak! Nie widzisz, jakie my jesteśmy wpływowe i bogate?! – zdenerwowała się Mariolka. – Weź już przestań porządnym ludzi wkurwiać!

Rozmowę przerwał odgłos uchylanego wizjera i szcęk otwieranego zamka w drzwiach. Poczułam zimno. Zapomniałam nawet zapytać, co to jest wagon fajek i skąd się taki bierze.

Chwyciłam dziewczyny za ramiona nieco zaniepokojona.

– Nie słuchajcie ich! One nie mówią prawdy! – powiedziałam do nich.  
– Musicie mi zaufać! Przecież znacie mnie nie od dziś! Od wczoraj! A to przecież coś znaczy!

– Co ci jest? – spytała Flaszka.

– Nie wariuj, to tylko śniadanie – dodała Mariolka.

Zwlokły się z koi i spojrzały na mnie dziwnym wzrokiem. Ja natomiast, nie wzbudzając żadnych podejrzeń, ukryłam się pod kocem, udając, że mnie w celi nie ma.

Kłapa się otworzyła, ale na korytarzu obok kuchennego wózka stała młoda brunetka o prostych włosach. Niczym nie przypominała swoich poprzedniczek.

– Cześć, Lucyna – powiedziała do niej Flaszka. – Gdzie dziewczyny?

– Tydzień izolatki za podpalenie szmat w kuchni.

– To one?

– One twierdzą, że nie.

– To kto?

– Skąd mam wiedzieć.

– A one wiedzą?

– Podobno.

– To będzie ostro, jak wyjdą za tydzień.

Zielony plastikowy talerzyk, coś na kształt mielonki, masło, twaróg, dżem, pomidor.

– I jeszcze ta kradzież.

Potem Mariolka. Zielony plastikowy talerzyk, coś na kształt mielonki, masło, twaróg, dżem, pomidor.

– Będzie afera.

I Wielka Jolka. Zielony plastikowy talerzyk, coś na kształt mielonki, masło, twaróg, dżem, pomidor.

– Wilkońska – odezwał się z oddali głos Oddziałowej. – Nieprzyjęcie posiłku to bunt. Chcesz do izolatki?

Flaszka podeszła do mnie i położyła rękę na kocu, pod którym byłam schowana.

– Co się dzieje? – spytała. – Boisz się?

– Oczywiście, że się nie boję – odpowiedziałam. – Czego miałabym się bać? Po prostu dzisiaj mam taki leniwy dzień, że chyba zostanę w łóżku, pod kocem, napiję się herbatki i obejrzę serial.

– Każdy czasem ma chwilę słabości – mówiła dalej ciepłym głosem. – Wszystko będzie dobrze. Każdy się boi tamtych dwóch. To żaden wstyd. To zjeby totalne. Ćpają od dziecka, i to dopalacze. Ich mózgi są tak zjarane, że nie mają żadnych skrupułów. Ale jak tylko znajdą winną podpalenia, kradzieży i izolatki, to dziwka za to zapłaci i się to uspokoi. Wszystko będzie dobrze. Naprawdę. Już ci lepiej?

– Chyba tak – odpowiedziałam.

– Na pewno?

– Tak, uspokoiłaś mnie bardzo.

Powoli zdjęła ze mnie koc.

– Chodź, zjesz – powiedziała do mnie. – Jakiego dziś jesteś wyznania?

– Nie rozumiem – odpowiedziałam. – Chyba tego samego co wczoraj.

– Eeee... bez sensu. Wciąż będziesz jeść to samo?

– Zmień sobie. Ja od jutra znowu przechodzę na judaizm. Szakszuka spoko.

– Ja na islam. Humus trochę chujowy, ale i tak lepszy niż mielonka.

Wstałam.

Podeszłam do stojącej w drzwiach nowej kalefaktorki.

Uśmiechnęła się.

– To ja może... – zaczęłam.

– Wyznaniowe się skończyły. Sorry – odpowiedziała. – Została mielonka.

Westchnęłam tylko.

Zielony plastikowy talerzyk, coś na kształt mielonki, masło, twaróg, dżem, pomidor.

Wróciłam do siebie.

Dziewczyny rozdarły worki z chlebem. Nie było w nich ukrytych ani kosmetyków, ani wódki. W moim chlebie też nic nie było oprócz chleba, ale dla mnie to i tak bardzo wiele.

Pomyślałam, że warto sensownie zaplanować ostatni tydzień życia.

## Rozdział 7

Życie za kratkami biegło powoli. Bywały momenty złe, ale bywały także momenty jeszcze gorsze. Nie narzekałam, bo tu narzekali wszyscy, a ja nigdy nie lubiłam podążać za dominującymi trendami. Dlatego się ucieszyłam, gdy otworzyła się przed nami niezwykła sposobność odbycia ekscytującej, pełnej emocji i wrażeń podróży. Oto usłyszałyśmy karmiące zmysły i pojące nadzieję najpiękniejsze na świecie słowo: „spacer”.

Lepiej, niż jakby mi bezdomny limuzynę podarował.

Ciekawa byłam, czy będzie widać drzewa, jak będzie pachnieć powietrze, czy będzie słońce, czy będzie rześko. Byłam taka ciekawa świata. Chciałam zobaczyć jeszcze tyle miejsc: Wisłę, Łazienki Królewskie, hipermarket Tesco i oczyszczalnię ścieków Czajka.

Bardzo chciałam iść na ten spacer. Wyjść na świeże powietrze, spacerować, rozmawiać. Byłam ciekawa, dokąd pójdziemy. Pewnie będzie chodniczek, ławeczki, może jakaś fontanna. Pochodzimy, porozmawiamy, pooglądamy przyrodę.

Wyszłyśmy we trzy: Mariolka, Wielka Jolka i ja. Na peroncie nie było nikogo oprócz tych, które jak zwykle wisały na telefonach. Wyglądały jak stałe wyposażenie więziennego korytarza. Mogły, to dzwoniły. My jako aresztowane nie mogłyśmy.

Przed wyjściem Mariolka zabrała ze stolika długopis i kartkę. Schowała je w majtkach. Mnie już nic nie dziwiło.

Zatrzymałyśmy się koło dyżurki. Oddziałowa omiotła nas wykrywaczem metalu, podała nasze nazwiska strażnikowi, po czym przyłożyła kartę do czujnika.

Zamek strzelił głośno i Oddziałowa pociągnęła kratę. Wyszłyśmy do wąskiego korytarza bez sufitu. Wokół kilka par drzwi. Metalowych i ciężkich. Oddziałowa otworzyła jedno z nich. Matko jedyna! Chłód, światło, a wiało tak, że mało łba nie urwało.

Mariolka i Wielka Jolka włożyły ręce do kieszeni i wcisnęły głowy pomiędzy ściągnięte barki. Weszłyśmy na niewielki placyk otoczony wysokim murem. Mniejszy niż sala gimnastyczna w warszawskiej szkole podstawowej. Ściany całe pomazane: góry, morze, palmy, piasek. Żółto,

niebiesko, kolorowo. Wandalizm! Dookoła chodnik, na środku klepisko z jedną ławką.

– Zdejmuj majtki – powiedziała Mariolka, trzymając w ręku kartkę i długopis.

Co za niespodzianka. Jednak jeszcze coś potrafiło mnie zdziwić! Gdy tylko udało mi się odzyskać chwiejną równowagę psychiczną, od razu ktoś zaczynał na nowo kołysać moim życiem. Nie wiedziałam, o co jej mogło chodzić, ale wszystko, co wpadało mi do głowy, starałam się od razu przepędzić, żeby nie powróciło do mnie w nocnych koszmarach.

– To nie jest zabawne – odpowiedziałam.

– Zdejmuj, zdejmuj, nie ma czasu – nalegała.

– I nie boję się. Już nie.

– No już, dalej. Tylko ty masz dobrą gumkę, bo nosisz nowe prosto z magazynu – powiedziała, po czym położyła kartkę na plecach biernej jak zwykle Wielkiej Jolki i zaczęła pisać. – Zdejmuj, bo się czas skończy – dodała, rzucając co chwila ponagląjące spojrzenia.

Nie ruszyłam się ani o centymetr. Widząc to, Mariolka podeszła i chwyciła mnie za spodnie.

– Nie będę niczego przemyciła – broniłam się.

– Nie bądź głupia. – Zaśmiała się Mariolka. – Mamy kilka kwestii do omówienia z księdzem. Musi przyjść i wyjaśnić sprawę kradzieży. No i trzeba przekazać listę zakupów.

– Rozumiem, że to dla ciebie ważne, ale nie przekonało mnie to do spuszczenia spodni.

– Łap! – zawołała do Wielkiej Jolki.

Ta zaś, mimo że zdawała się nie reagować na żadne bodźce z zewnątrz i żyć jedynie we własnym zamkniętym świecie, ten jeden jedyny raz ocknęła się z letargu. Złapała mnie w dłonie jak piłkę, podniosła, jakbym nic nie ważyła, i dostarczyła we wskazane przez Mariolkę miejsce pod murem słabiej widoczne dla strażników. Tam przycisnęła do ściany, a swoją niemałą sylwetką skutecznie zasłoniła przed całym światem.

Każdy ma jakiś talent. Niektórzy odkrywają go w dzieciństwie i rozwijają przy udziale chorobliwie ambitnych rodziców. Inni odkrywają go w późnym wieku, rujnując swoje dotychczasowe życie. A jeszcze inni nie odkrywają go wcale. Nie wiem, do której z tych grup należała Mariolka, ale okazało się, że była niespotykane wprost zręczna w ściąganiu spodni. Dokonała tego tak szybko i niepostrzeżenie, że

zorientowałam się dopiero, gdy zrobiło mi się chłodno i przewiewnie. Niezwykła to była umiejętność, choć nie przychodziło mi do głowy żadne jej sensowne zastosowanie. Zwłaszcza takie, z którego dałoby się utrzymać.

Jak to zwykle bywa w życiu kobiety, zainteresowanie moją osobą utrzymało się jedynie do momentu ściągnięcia majtek. Potem nagle zgasło.

– Możesz ją postawić. – Mariolka zwróciła się do swojego niemego pomocnika.

Potem obie zajęły się gmeraniem w dopiero co zdobytych więziennych gaciach. Zagadkowy projekt Mariolki zdawał się wchodzić w decydującą fazę.

– Chodź tu – powiedziała do mnie, gdy skończyły. – Będiesz trzymać.

– Dlaczego ja? – spytałam, patrząc na Wielką Jolkę.

– Masz doskonały kręgosłup.

– Pewnie, że mam doskonały kręgosłup – odpowiedziałam dumnie, bo w końcu ktoś zauważył moją dobrą kondycję fizyczną.

– Bo zupełnie sztywny – wytłumaczyła Mariolka. – Jak z drewna.

Mariolka nakazała mi podnieść obie ręce wysoko nad głowę i trzymać je tak zablokowane w łokciach. Tę trudną sztukę opanowałam do perfekcji już kilka lat temu. Stawy blokowały mi się z dzieciną wprost łatwością. Trudniej było je niekiedy odblokować! Czasem trzeba było nawet wezwać pogotowie.

Mariolka rozciągnęła majtki między moimi rękami a stopami. Aż mi zatrzęszczało w kościach.

– Co to ma być? – spytałam. – Jakiś performance?

– Łuk walijski potocznie zwany długim łukiem – stwierdziła z dumą.

– Tak myślałam – odpowiedziałam, nie mając bladego pojęcia, o czym mówi.

– Jeden z lepszych wynalazków techniki militarnej. Nawet dwieście metrów zasięgu przy dobrym łączysku. W tym przypadku jest nim twój kręgosłup.

Ręce mi opadły.

– Trzymaj w górze! – poprawiła mnie Mariolka.

Wielka Jolka chwyciła mnie od przodu w pasie. Mariolka włożyła zawinięty w zapisaną wcześniej kartkę kamień do trzymanyh przeze

mnie majtek i całym ciężarem uwiesiła się do tyłu na nich, niemal kładąc się na ziemi.

Aż mi w kręgosłupie zatrzeszczało...

Trach! Majtki zafurkotały, gdy puściła kamień. Z dumą spojrzaliśmy w niebo, jak pięknie i z gracją poszybował w przestworza kamień z wiadomością. Niestety, zaraz po nim zatrzepotały majtki, które wykreciły kilka mało widowiskowych obrotów i spadły gdzieś niedaleko za murem. Orzeł to to nie był.

– Szlag! – Zdenerwowała się Mariolka. – Puściłaś!

– Nie puściłam! Gumka pękła!

– Nigdy nie pękają!

– O co ci chodzi? Przecież wiadomość poleciała.

– To był dobry sprzęt. Drugich nie dostaniesz.

– Nie dostanę? A niech to cholera.

O tym nie pomyślałam. Mogła wcześniej powiedzieć, tobym mocniej trzymała. Odebrało mi to radość z pozostałej części spaceru, podczas której odczuwałam zdecydowanie zbyt dużo swobody w spodniach. Oto jak człowiek nie potrafi doceniać i czerpać przyjemności z prostych rzeczy takich jak posiadanie majtek.

Zrobiłyśmy kilka okrążeń pochylone, z głowami wciśniętymi pomiędzy ściągnięte barki, z rękami w kieszeniach, gapiąc się smętnie w wybetonowaną ścieżkę. Każda myślała o własnych problemach. Ja o serku waniliowym, Mariolka pewnie też o serku waniliowym, a Wielka Jolka nie wiadomo o czym, ale możliwe, że o najzwyklejszym w świecie serku waniliowym.

Trudno. Było, jak było. Postanowiłam nie tracić dobrego humoru i poczekać na ten park. Usiadłam. One chodziły. Nie gadałam już z nimi. Nie obchodziło mnie, że wyjdę na mruka. Nie mogłam się doczekać obiecanego spaceru.

Czekałam.

Mijał czas.

Nie dawała mi spokoju myśl, że faktycznie mogłam puścić majtki. Na wolności ćwiczyłam regularnie. Potrafiłam utrzymać się całą trasę z placu Zawiszy do szpitala na Banacha. Ani razu nie polecieć na innych ludzi, nawet się nie przewrócić. A tu? Szkoda gadać. Co więzienie robi z człowiekiem? Degeneracja. Nie potrafi utrzymać własnych majtek.

Zrobiło się chłodno.



Zaczęło padać.

Już myślałam, że o nas zapomnieli.

Po godzinie w końcu otworzyły się drzwi.

– Koniec spaceru! – zawołała Oddziałowa.

\*\*\*

– Tak się nie da, dziewczyny – stwierdziła Mariolka. – To nie jakiś obóz przetrwania.

– Już nawet w harcerstwie było lepsze zaopatrzenie – dodała Flaszka.

– Pójdiesz do kaplicy. Ksiądz na pewno otrzymał wiadomość. Ustalisz, kto odebrał towar. Ten, kto odebrał, ten jest złodziejem.

– A jeżeli to Bernadetta?

– Jeżeli to ona, nie działaj pochopnie. Wróc i coś razem zaplanujemy.

– Może ja bym poszła? – wtrąciłam.

– Nie puszczą cię do kaplicy – odpowiedziała Mariolka. – To przywilej. A ty w jeden dzień nazbierałaś więcej kwitów karnych niż my wszystkie od początku odsiadki.

– Chciałabym poznać tę Bernadettę – upierałam się.

– Na pewno będziesz miała okazję.

– Może pod prysznicem? – spytałam.

– Dlaczego akurat pod prysznicem?

– Ach, pomyślałam sobie, że mogłabym zobaczyć jej...

– Co takiego?

Popatrzyłam na nie niepewnie. Stały i czekały z zaciekawieniem na odpowiedź.

– Tak się przypadkiem złożyło, że... pupę.

– Fuuu! Zośka! Jak mogłaś?! – krzyczała Flaszka z obrzydzeniem. – Dlaczego to powiedziałaś?!

– Ooo! No proszę cię! – dodała Mariolka. – Trzymaj fason! Nie tak dawno jadłyśmy.

– Naprawdę... Mogłyśmy cię polubić...

– Coraz gorszy element przychodzi...

Odwróciły się i zadzwoniły po Oddziałową. Flaszka powiedziała, że czuje kres i chce się pojednać ze stwórcą. Oddziałowa próbowała być dla niej ostoją w tym trudnym momencie, ale Flaszka wyznała, że jak się nie zobaczy z księdzem, to jeszcze tej nocy targnie się na swoje życie,

a wtedy będzie kupa sprzątanina w celi i masa papierów do wypełniania dla służby więziennej.

Zjawiała się natychmiast.

– Pani ze mną do kaplicy – powiedziała Oddziałowa do Flaszki, otwierając kłapę. – A resztę zapraszam na „Piszę, więc jestem”. Ruszać się, drogie panie!

Wszystkie trzy ruszyły w stronę drzwi.

– Chodź, Grażynka – zwróciła się Mariolka w moją stronę.

– Zofia – odpowiedziałam.

– Jak sobie chcesz. Idziesz?

– A to coś ciekawego?

– Nie, ale chce ci się siedzieć cały dzień na łóżku?

– Oczywiście, że tak. Skąd to pytanie?

Pomyślałam, że całe to moje dochodzenie w celu uwolnienia się nie jest warte takiego poświęcenia. Czy każdy bohater musi być taki sprawczy i aktywny? Nie można wziąć sobie trochę wolnego? Był taki film z tym amerykańskim mięśniakiem, który do wszystkich się krzywo uśmiechał. Wyjechał do lasu, nieźle się tam urządził, chałupę miał małą, ale własną, trochę grosza odłożył. Mógł do końca życia spokojnie leżeć pod kocem i Janusza Leona Wiśniewskiego czytać. Ale jak tylko ten jego chudy major przyleciał helikopterem, to ten, zamiast zwiać, udać wariata czy pokazać L4, znowu dał się uwikłać. Wszyscy, ale to dosłownie wszyscy w kinie wiedzieli, co się święci. Oprócz niego. I wszystko od nowa się zaczęło. Ile było nerwów, ganiań i wrzasków, zanim znowu mógł na końcu odpocząć. Cały się spocił!

– Chodź. Jakiś pisarz przyjechał – powiedziała Mariolka.

– Naprawdę?! – zawołałam.

Zerwałam się z łóżka i poprawiłam ubranie. Pisarz? Może Tokarczuk wsadzili za całokształt twórczości. Ależ to byłaby atrakcja! W klubie seniora nie sposób było się doprosić, żeby jakiś twórca zechciał nas odwiedzić. A tu proszę bardzo. Pisarz. Wspaniale. Nie żaden kombatant, kaowiec z zamkniętego ośrodka czasowego czy inny działacz kulturalny o nieokreślonym dorobku, tylko prawdziwy i wciąż jeszcze żywy pisarz!

– Przepuście mnie. – Przepchnęłam się na peroncie. – Matko, ale się wleciecie!

Pierwsza zameldowałam się pod świetlicą. Oddziałowa otworzyła drzwi.

Wpadłam do środka jak komornik. Chciałam złapać miejsce w pierwszym rzędzie, ale nie było jeszcze ani rzędów, ani sceny, tylko łysawy pyzaty facet w białych trampkach i pstrokatej koszuli ustawiał zdezelowane taborety wokół dwóch stołów.

– Ruszaj się, człowieku – zaczęłam bez przywitania. – Przecież zaraz pisarz tu będzie.

Nieco przyspieszył ruchy, a gdy skończył, westchnął przeciągle. Wyprostował się na tyle, ile mógł, i wymamrotał pod nosem:

– To właśnie ja. Ze mną to spotkanie.

O matko, jaki żal, jaka rozpacz. Cukier spadł mi chyba do zera albo jeszcze niżej. Opadłam wprost na jeden z tych jego taboretów. Pewnie właśnie po to je rozstawił. Tylko dlatego przesiedziałam na nim do końca, że się nie mogłam pozbierać i podnieść po tym upadku. Dzieciak koło czterdziestki, z dwudniowym zarostem, który pewnie zapuszczał dwa tygodnie. Co on mógł o życiu wiedzieć? Jeżeli to był przedstawiciel współczesnej literatury polskiej, to bardzo dobrze. Nie będzie żal odchodzić z takiego świata.

– Co pan napisał? – spytałam.

– Komedie kryminalną – odpowiedział.

– To na Nobla chyba pan nie liczy?

– Nie czepiaj się, Grażynka – stwierdziła Mariolka.

– Zofia.

– To żadna różnica.

– A po co pan tu przyszedł? Niech się pan nie obraża. Pytam z ciekawości.

– Szukam inspiracji, pomysłów, ciekawych historii, postaci...

– Ja mogłabym panu opowiedzieć swoją historię. Byłaby z tego książka.

– No tak. Na pewno. Nie wiem, czy starczy nam czasu.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

– Że niby pana to nie interesuje?! – spytałam nieco podniesionym głosem.

Wszystkie kobiety spojrzały na mnie, potem na niego. Chciał się chyba uśmiechnąć, ale przez pyzatą twarz przebiegł tylko jakiś nerwowy tik. Zaczął ciężko sapać i przecierać nerwowo czoło.

– Tego nie powiedziałem – wyjąkał w końcu.

Ściągnęłam usta, odchyliłam się na krześle i spojrzałam pogardliwym wzrokiem.

Znowu wszystkie oczy na niego.

– A co pan powiedział? – spytałam.

– No... nic takiego...

Bam! Uderzyłam otwartą dłońią w blat stołu.

Podskoczył!

– Co się pan tak boi?! – Zaśmiałam się. – Ale się wystraszył! Co, dziewczyny?

Rozejrzałam się roześmiana. Tak. Wszystkie bawiły się równie dobrze jak ja. On natomiast nie.

– Jakież słabe ma pan poczucie humoru – zauważyłam. – Jak na komediopisarza.

Ponownie spróbował się uśmiechnąć, ale nerwowy skurcz wykrzywił mu tylko usta. Przetarł czoło i spojrzał na zegarek.

– Niech się pan nie martwi – powiedziałam. – Mamy czas. Opowiem panu moją historię. Ale zaraz, zaraz!

Spojrzałam, naprawdę groźnie mrużąc oczy i przysuwając się do niego. Zbladł.

– Chyba pan mi jej nie ukradnie? – spytałam hipnotyzującym głosem. – Bo ja pana znajdę, a wtedy to kiepsko z panem będzie...

Pokiwał przecząco głową.

– No! – krzyknęłam, ponownie uderzając dłońią w stół.

Podskoczył, a ja znowu rozejrzałam się wśród pozostałych dziewczyn. Ha! Cały czas działało. Wszystkie się zaśmiały. Uśmiechnęłam się i pokiwałam głową. Było nawet zabawniej niż w klubie seniora!

Opowiedziałam mu potem o kurczaku z promocji, okradzionym mieszkaniu, zdeptanym mundurze, o Henryku, o moim synu nieudaczniku... pomarańczach, serniku, omlecie... Wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. W życiu takiej dobrej historii nie słyszał. Przez bite dwie godziny nawet nie drgnął. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami i tylko ślinę przelykał. Młody był i wytrzymały, ale i tak co jakiś czas delikatnie go szturchałam, żeby sprawdzić, czy utrzymuje pełną koncentrację. Wzorowy słuchacz.

Nikom to nie przeszkadzało, że biedaczek nawet się nie zdążył przedstawić, a przez całe zajęcia mówiłam ja. Większość nawet tego nie zauważyła. Jedne wpatrywały się w niego tak, jakby miały go pożreć,

a biorąc pod uwagę jego tuszę, to było o czym pomarzyć, inne zajęły się rozmowami, bo była to dla nich okazja do wzajemnych spotkań między celami i oddziałami.

Zerwał się jak oparzony, dopiero gdy drzwi świetlicy się otworzyły i pojawiła się w nich Oddziałowa, pytając:

– Skończył pan czy jeszcze chce pan chwilę?

Skoczył do drzwi, podciągając opadające spodnie, i schował się za jej plecami.

– Kiedy pan znowu przyjdzie? – spytałam.

Uciekł. Gdy zebrałyśmy się i wyszłyśmy na peronkę, był już przy dyżurce.

Oddziałowa odprowadziła uczestniczki spoza naszego bloku do dyżurki, pozostałe pod cele naszego oddziału, mnie natomiast znowu do Mojżesza.

– Myślałem, że się dogadaliśmy – stwierdził, gdy stanęłam w drzwiach jego gabinetu.

Minę miał nietęgą. Próbował się uśmiechnąć. Ale kąciki ust po chwilowym podniesieniu natychmiast opadały, a oczy błędziły, uciekając od bezpośredniego kontaktu.

– Oczywiście, że się dogadaliśmy – zgodziłam się. – Proszę mi tylko przypomnieć, w jakiej sprawie.

– Mieliśmy niedawno ważną delegację. Dla pani to może bez znaczenia, ale Dyrektor walczy o rozwój placówki. Nie jest to łatwe przy środkach, którymi dysponujemy. Ba, jest to po prostu niemożliwe wobec braku jakichkolwiek środków! Dlatego staramy się o finansowanie z Unii. Wielkim trudem, naprawdę wielkim trudem udało się zapoczątkować obiecującą współpracę z odpowiednimi instytucjami. Byłaby to dla nas wielka szansa poprawy warunków pracy i odbywania kary. Przyjechali prominentni decydenci. Pozytywnie zaopiniowali wprowadzone przez nas zmiany, takie jak poprawa warunków w celach. Zapewnili, że zarekomendują naszą jednostkę do programu, który umożliwiłby finansowanie wielu wartościowych inicjatyw. Umawialiśmy już rewizytę i cykl szkoleń we wzorcowych placówkach na terenie całej Unii... Tymczasem co?!

Wstał i oparł się o biurko. Spojrzał na mnie żarliwym wzrokiem. Wzrokiem szaleńca. Włosy miał rozwiane. Oczy przekrwione. Czyżby wzbierała w nim żądza?

– Tymczasem... – Walnął pięścią w blat. – Sekretarz delegacji, wsiadając do limuzyny, został trafiony w twarz!

– Faktycznie oburzające – potwierdziłam ze zrozumieniem.

– Używanymi więziennymi majtkami! – wrzasnął.

– Od początku mówiłam, że przeleciały przez płot – zauważyłam z dumą. – Grunt to dobry kręgosłup. Jednocześnie zapewniam, że o wspomnianym zdarzeniu nic nie wiem.

– ...na oczach dziennikarzy! Kurwa mać!

– Och... – Zakryłam ręką usta. – To funkcjonariusze służby więziennej mogą przeklinać?

Spojrzałam na Mojżesza. Przekroczył pewną granicę. Tego nie dało się zapomnieć.

– Nie może – odpowiedział. – Przepraszam.

– Myśli pan, że to wystarczy?

– Udajmy, że to się nie wydarzyło.

– Nie ma mowy. Ja jestem wstrząśnięta. Nie wiem, co w pana wstąpiło. Przestałam czuć się bezpieczna. Chyba napiszę w tej sprawie pismo.

– Bardzo, ale to bardzo panią przepraszam. Zachowałem się dalece niestosownie i karygodnie.

– Pan powinien dawać przykład. Takie słowa ze strony wychowawcy? To tak nas pan chce wychowywać? Takimi słowami?

Spojrzał na mnie badawczo.

– Czego pani oczekuje? – spytał, odchylając się na krześle.

– Praca poza murami dla mnie i koleżanek, ale porządna, w biurze, i rozwijająca. Nie żadne grabienie liści przy drodze – zaczęłam wymieniać. – Na śniadanie płatki czekoladowe z mlekiem, na obiad schabowy, na kolację pomarańcze, jabłka i serek waniliowy.

Uśmiechnął się.

– I dodatkowa para majtek.

– A co się stało z pani majtkami?

– Zgubiłam. Musiały mi spaść. Nigdy się panu nie zdarzyło?

Siedzieliśmy w milczeniu naprzeciwko siebie. Trwało to może kilka sekund, ale ten czas dłużył się niemiłosiernie.

– Pracę poza murami mamy tylko na kurzej farmie. Warunki bardzo dobre, ale nie wcisnę już nikogo. Właśnie dopełniłem obsadę – stwierdził.

– Schabowy też odpada.

– Pieczony kurczak.

- Kotlet mielony i tylko w weekendy.
- Pięć dni w tygodniu.
- Trzy.
- Cztery.
- Zgoda.
- Zawiodłem się na pani.
- Z wzajemnością.
- Kim dopełnił pan obsadę? Flaszka?
- Mówiliśmy już o tym. Sam nie zbieram ani też nie udzielam informacji o osadzonych.

Ukłoniłam się i wyszłam. Dziewczyny miały rację. Wodecki to z niego żaden. Żeby się o kotleta targować. Jakie to słabe. Wodecki nigdy by się do tego nie zniżył.

Oddziałowa zabrała mnie do celi.

Mariolka siedziała akurat na tronie. Gdy weszłam, kulturalnie wstała, podtarła się i podciągnęła spodnie. Była kobietą z zasadami.

- Jak było? – spytała Mariolka. – Bez gazu?
  - A daj spokój – odburknęłam. – Co za człowiek. Zrobił awanturę o te moje majtki.
  - Da się je odzyskać?
  - Skąd! Dostał nimi w twarz unijny delegat. Na oczach dziennikarzy. Spory szum się wokół tego zrobił.
  - Nie oddał majtek?
  - Nie oddał.
  - Zboczeniec jeden!
  - Zboczeniec?
  - Tam w tej Unii to sami zboczeńcy.
  - Wiem przecież – zapewniłam. – Dlaczego miałabym nie wiedzieć?
- Mów dalej.

– Takie majtki to dla nich chodliwy towar. Na zachodzie to sami wążacze, ocieracze i przebierańcy. I wsadzają sobie różne rzeczy w zadki.

- Jak to?
- Taka moda. Nie wiedziałaś?
- Oczywiście, że wiedziałam. Dlaczego miałabym nie wiedzieć?
- U nas jeszcze tego nie ma, bo nasz rząd jako ostatni w Europie z tym walczy.

- Bronią naszych zadków?
- Naszych nie. Raczej swoich. Czesi i Węgrzy już się poddali. Wzięli pieniądze.
- To straszne. A ty się nie boisz?
- Niby czego miałabym się bać? No co ty? Dla nas to szansa. Zdajesz sobie sprawę, ile mogłybyśmy na takich majtkach zarobić?
- Tak myślisz? – spytałam zaskoczona.
- Oczywiście! Wiesz, jaki to ogromny rynek?
- Pewnie, że wiem. Dlaczego miałabym nie wiedzieć?
- Tylko skąd majtki wziąć. Nie tylko u nich to chodliwy towar.
- Racja.

Po krótkiej chwili euforii przyszło otrzeźwienie. Nie pierwsze i nie ostatnie. Tak się przynajmniej wydawało. Spojrzałyśmy każda w inną stronę i udałyśmy, że tak naprawdę w ogóle na tym temacie nam nie zależało.

Pośród wszystkich braków i ograniczeń, jakich doświadczałam w tym miejscu, miałam jedną rzecz, która występowała tu w obfitości. Bardzo cenną – czas. Niektórych niszczył, i to w sposób bardzo widoczny. Topił, dusił dzień po dniu, odbierał energię. Ale ja postanowiłam go okiełznać i wykorzystać. Na wolności przeciekał mi przez palce. Wiedziałam też, że nieuchronnie zbliżam się do jego końca. Tutaj występował w nadmiarze. Był nieograniczony i ogólnie dostępny jak jeszcze do niedawna czyste powietrze.

Pomyślałam, że napiszę książkę. Trochę mądrą, trochę zabawną, żeby ludziom chciało się ją czytać. Jeżeli byłaby zbyt przemądrzała, to nikt by jej nie kupił. Gorzkie lekarstwo zawija się w słodką osłonkę, żeby się je miło przełykało. Niech to będzie komedia, bo życie jest wystarczająco smutne. Może pod pseudonimem. Jako młody mężczyzna, żeby nikt się mnie o nic nie czepiał. Łysawy osiłek o poczciwej, niezbyt inteligentnej gębie. Lekko przygarbiony i koniecznie z worami pod oczami, żeby można było przypuszczać, że jest zapracowany.

Zacznę od tego dnia, kiedy mi się kółko urwało...

\*\*\*

Leżałyśmy na kojach, gdy przyszedł mi do głowy genialny pomysł. Niemal jak budowa kopalni w obliczu globalnej katastrofy ekologicznej.



– Mariolka, a wiesz – zaczęłam – u nas w klubie seniora była kiedyś taka dziewczyna z internetu... Wiesz chyba, jak wygląda dziewczyna z internetu?

- Pewnie, że wiem. Za głupią mnie masz? Wysoka, szczupła, ładna.
- Tak, to ona. Pokazała nam, jak się robi na drutach i szydełkuje.
- Miło z jej strony. Ja pierdolę.
- Jak ty mówisz?!
- Daj spokój. Dziewczyny z internetu nie robią na drutach.
- Ta robiła, i to bieliznę!
- Pierdolisz?! To znaczy... co ty mówisz?!
- Zabrakło wełny na czapkę.
- Świetnie. Przecież nam to nawet już teraz brakuje wełny.
- Popatrz, jak się dobrze składa!
- Zrobimy te majtki na drutach!
- Tak!

Zeszliśmy z łóżek i skakałyśmy jak dzieci. Tak nam się zrobiło pogodnie i wesoło. Dokładnie rzecz ujmując, skakała Mariolka. Ja stanowiłam dla niej efektowne i entuzjastyczne tło. Nauczyłam się tego podczas pokazu capoeiry w naszym klubie seniora. Przyszła spora grupa. Kilkanaście osób – młode wysportowane dziewczyny i nieco zapuszczeni faceci w średnim wieku. Szybko zorientowałam się, na czym polegała ta bardzo ciekawa, wywodząca się z Brazylii sztuka walki. Zadaniem dziewczyn stojących z przodu było ruszanie się w rytm bębnow i wykonywanie widowiskowych kopnięć. Rolą facetów ustawionych w szeregu było przestępowanie z nogi na nogę, klaskanie w dłonie oraz baczne obserwowanie tyłków tych młodych dziewczyn.

– Tylko skąd weźmiemy wełnę? – przygasiła nieco nasz entuzjazm Mariolka.

- Sprujemy coś – zaproponowałam z nową energią.
- Tak!
- Tylko co?
- Nie wiem.

Przygasłyśmy obie.

Ucieszyłam się, gdy dziewczyny stwierdziły, że trzeba się umyć. Miałam na to ochotę tak wielką jak nadzieję, że nie powtórzy się już przykra sytuacja spod prysznic.

Nie powtórzyła się. Ani sytuacja, ani prysznic. Okazało się, że umyć należy się w misce.

Matko jedyna, żeby w dwudziestym pierwszym wieku myć się w misce? Chociaż od dawna uważałam, że jeżeli gdzieś wyjeżdżać na urlop, to nie po to, żeby się pławić w luksusach. Nie dosyć, że taki urlop jest zazwyczaj koszmarnie drogi i jeżeli ktoś nie jest złodziejem, skurwysynem albo politykiem, zwyczajnie go nie stać, to nawet jeżeli byłby na tyle głupi, żeby cały rok odkładać pieniądze tylko na ten tydzień lub dwa, jedynie po to, żeby po powrocie pochwalić się znajomym w pracy, to przecież jak wróci do swojego normalnego życia, wyda mu się ono brzydkie, niewygodne i nieatrakcyjne. Po co to komu?

Tymczasem ja spędzałam czas w warunkach niedostatku i poniżenia, ale gdyby udało mi się wrócić do swojego poprzedniego życia, do niewielkiego mieszkania i głodowej emerytury, jakież by mi się to wydało luksusowe i dostatnie! I to nie przez jeden czy dwa tygodnie, tylko dożywotnio. Receptą na szczęście nie są pieniądze i wygoda, ale ich brak!

\*\*\*

Jakiś czas potem Mariolka wróciła do celi w bardzo dobrym nastroju. Nie było to częste w jej przypadku.

– Mam – powiedziała, sięgając do spodni.

Przykucnęła z ręką między nogami i zaczęła robić dziwne miny.

– Co się dzieje? – spytałam. – Masz zatwardzenie?

Zaraz potem wyprostowała się i dumnie pokazała nieco pogięty kawałek drutu.

– Skąd to masz? – zachwyciłam się jej zdobyczą.

– Pamiętasz tę z aparatem ortodontycznym?

– Wspaniale!

Od razu zabrałyśmy się do rozprostowania drutu. Był trochę zbyt giętki, ale nie bardziej niż sprężyna z materaca, która służyła wcześniej jako grzałka. Wkrótce szydełko było gotowe.

Rozejrzałyśmy się po celi. Wszystko, co znalazłyśmy z wełny, to akryl lub w najlepszym wypadku owcza.

– Będzie gryzło jak cholera – stwierdziła Mariolka. – Trudno będzie zmusić kogoś do noszenia.

Mnie z kolei wpadł w oko mięciutki w dotyku i sięgający niemal do kolan sweter Wielkiej Jolki.

– A to z czego wełna? – spytałam. – Z kota?

– Matka jej przysłała – odpowiedziała Mariolka. – Z alpaki.

– Doskonale się nada – stwierdziłam.

Spojrzały na mnie zaskoczone.

– Przecież zapytamy o zgodę – odpowiedziałam na ich oburzone miny.

– Masz może coś przeciwko temu, żebyśmy ci skróciły sweterek? Pewnie zawsze chciałaś chodzić z gołym brzuchem?

Wielka Jolka leżała, patrząc w sufit.

– Nie ma nic przeciwko – zauważyłam.

– Na to wygląda – zgodziła się Mariolka.

– Prujemy!

W celu maksymalizacji potencjalnych zysków zatrudniłyśmy wszystkie wolne zasoby. Ja prućam korpus, Mariolka rękawy. Duch przedsiębiorczości uwolnił Wielką Jolkę od nadmiernego upału. Wkrótce leżała już tylko w przykrótkim bezrękawniku. Za to my oczami wyobraźni widziałyśmy już strumień euro napływający od wspaniałych zachodnich dewiantów... to znaczy klientów.

– Co sobie kupisz za te pieniądze? – spytałam Mariolkę. – Może sweter?

Zasiadłyśmy wygodnie jak szwaczki w Bangladeszu i przystąpiłyśmy do produkcji.

– Zaczynamy – powiedziałam. – Pierwsze oczko przerabiamy, a ostatnie zdejmujemy bez przerabiania.

Mariolka spojrzała na mnie zaskoczona.

– No co ty?! – powiedziała. – Nie, nie, nie! Pierwsze zdejmujemy, ostatnie przerabiamy! Tylko tak wyjdzie! Tak mnie babcia uczyła!

– Tak? – oburzyłam się. – A ile ta twoja babcia ma lat?

– A ze sześćdziesiąt! – rzuciła buńczucznie.

– Sześćdziesiąt?! – zawołałam. – Ha, ha, ha! Bo zaraz pęknę ze śmiechu! To co ona może wiedzieć o życiu?! Małolata!

Jakby ta jej babcia rzeczywiście była taka mądra, to wiedziałaby, że spór o pierwsze oczko dotyczy robienia na drutach, a nie szydełkowania!

Zaczęłyśmy.

Przez pierwszych kilka minut czułyśmy narastający entuzjazm. Przez kilka kolejnych entuzjazm ustabilizował się. Po kwadransie zaczęło się piekło.

– Grażynka...

– Zofia.

– Co ty robisz? – spytała Mariolka, patrząc z niezadowoleniem na efekt mojej pracy.

– Znowu się mnie czepiasz – odpowiedziałam. – Myślałaś, że ja nic innego nie robię, tylko siedzę godzinami przy kominku i popijając herbatkę, dziergam sweterki dla wnuczków?

– Myślałam, że trochę więcej potrafisz, bo ja też tylko sznurek umiem.

Załamujące, ale przynajmniej dowiedziałyśmy się, że to nie z powodu fascynacji kobiecym ciałem, ale przez braki surowca i jakichkolwiek umiejętności powstały na świecie majtki typu stringi.

Robota szła wydajnie, ponieważ wykształciłyśmy pomiędzy sobą zdrową konkurencję.

– Za ścisło robisz – czepiała się wciąż Mariolka.

– Nie ucz babcię na drutach robić – odpowiedziałam.

– Szydełko złamiesz.

– Nie martw się.

Brzdęk!

I po robocie. Wszystko przez tego upierdliwego dzieciaka.

Szydełko strzeliło, przeleciało obok głowy Mariolki i wbiło się w pleksi pomiędzy stalowymi prętami kraty. Nie było sposobu, żeby je wyciągnąć. Tym bardziej naprawić.

Mogłam znowu się nudzić.

## Rozdział 8

Oddziałowa zaprosiła mnie na spotkanie z prokuratorem. Byłam gotowa pokazać temu „wysokiemu inaczej”, kto tu jest mężczyzną. I to miał być prokurator? Postrach przestępców?

– Beze mnie by pan sobie nie poradził – zaczęłam.

– Znalazła ją pani? – spytał, podnosząc się z krzesła.

– Oczywiście, że znalazłam. Kto miałby ją znaleźć jak nie ja? Przecież nie pan.

Wstał, przeczesał włosy i odetchnął kilka razy.

– Świetnie – stwierdził. – Bardzo dobrze. Zaraz zadzwonię, tylko proszę mi powiedzieć, kto to jest.

– Rozumiem, że dotrzyma pan słowa i zwolni mnie z aresztu? – dopytałam.

– Oczywiście, że tak. Poczekaj pani na rozprawę na wolności. Zastosujemy dozór elektroniczny, który w pani sytuacji w zupełności wystarczy. Kto to jest?

– Bernadetta.

– Ta z półotwórka? – spytał z niedowierzaniem. – Z ośrodka wychowawczego?

– Zdziwiony, co? Sami nieudacznicy w tej prokuraturze.

Poczerwieniał.

– Proszę natychmiast wyjść! – wrzasnął.

– Pakować się do wyjścia?

– Kpi sobie pani ze mnie?! – pieklił się. – Ona siedzi tu dwa lata i ani razu na przepustkę nie wyszła! To nie ona!

– Jest pan pewien? Dane i rysopis się zgadzają.

– Kurwa mać! Znam ją lepiej niż samego siebie! To nie ona! Po prostu to wiem!

– Po co te nerwy? – obruszyłam się. – Pomylić się nie można?

Odwrócił się i przetarł spocone ze zdenerwowania czoło.

– Proszę wyjść – powiedział.

– Czyli nie pakować się? – spytałam.

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi, poczerwieniałymi ze złości oczami.

– Tylko się chciałam upewnić. Znajdę tę dziewczynę. Proszę się nie martwić. Jestem już blisko.

Raptownie ruszył przez pokój. Odsunęłam się, myśląc, że mnie staranuje. On jednak chwycił klamkę i szarpnął.

– Dziękuję za wizytę – powiedział, wskazując drogę na korytarz.

\*\*\*

Mariolka stała na tle okna. Normalnie patrzyłaby w dal na drzewa, ale mogła tylko na zniechęczone półprzezroczyste pleksi.

– Mamy problem – powiedziała, z trudem ukrywając emocje.

– Wiem – przyznałam. – Znowu nie załatwiłam papieru.

– Flaszka nie wróciła!

Jedną z wyraźnych różnic między więzieniem a wolnością było to, że nie mogłam pójść do siebie. Trochę już zdążyłam się przyzwyczaić do tej mojej minimalnej, skąpej, klaustrofobicznej, nieustannie naruszanej przestrzeni, ale nie mogłam przywyknąć do czyjejś ciągłej obecności. Stale ktoś był, bez przerwy mówił i zawsze miał jakiś problem i pretensje.

– Może się gdzieś szlaja? – stwierdziłam, siadając na łóżku. – Młoda jest, to ją nosi.

– Ogarnij się, Grażynka...

– Zofia.

– Tu nie ma gdzie się szlajać. Nikt tu się nie szlaja!

– W takim razie to bardzo przyzwoite miejsce.

Mariolka chodziłaby w tę i z powrotem, gdyby tylko mogła. Ale powierzchnia celi na to nie pozwalała, więc po prostu stała. Chodziła za to wewnątrz. W tę i z powrotem. Zrobiłaby coś, ale więzienie nie dawało zbyt wielu możliwości, więc po prostu nie robiła nic. Robiło się za to coś w niej wewnątrz. Miałam wrażenie, że zaraz wybuchnie, a wtedy lepiej nie być zbyt blisko.

Mimo pewnego napięcia, jakie wprowadziła Mariolka, byłam przekonana, że nadszedł odpowiedni moment na krótki odpoczynek. Nic nie mogłam zrobić, więc co miałam zrobić? Postanowiłam zatem choć przez chwilę nie robić nic! Poczulałam się niezwykle komfortowo. Nikt mnie nie ponaglał, nie nastawał na mnie, nie miałam żadnych obowiązków, nie musiałam robić zakupów, gotować, regulować

rachunków, prac, prasować, sprzątać, wynosić śmieci. Po prostu położyłam się i leżałam. Jeszcze nigdy nie czułam się taka wolna!

Mogłam robić, co chciałam, ale tak jak Mariolka. Wewnętrznie. Zamknęłam oczy i zapragnęłam przenieść się myślami gdzieś daleko. Zmęczone, choć nadal atrakcyjne ciało pozostawiłam na zapadniętej i lekko zatęchłej pryczy, a niczym nieograniczona dusza wyfrunęła, pokonując kraty, umieszczone w oknie pleksi, ogrodzenie, drut kolczasty, mur, poczekała na korku na przejeździe kolejowym, potem hen przez nieużytki, chaszcze i dalej w świat.

Po krótkim locie znalazłam się w wymarzonym miejscu – ciepłym, jasnym, przestronnym, magicznym, wypełnionym zapachem świeżego drewna i lakieru. Piękni młodzi ludzie przechadzali się wąskimi alejkami, trzymając się za ręce i uśmiechając do siebie. Byłam w sklepie. Sklepie meblowym.

Wszystko było nowe, gustowne, a zapisane na wielkich białych etykietach ceny nie doprowadzały człowieka ani do zapaści, ani do udaru. Czułam się jak Anglik na wycieczce w Krakowie – stać mnie było na wszystko. Mogłam kupić nową kanapę albo stoliczek do kawy lub niewielki dywanik.

Szłam alejką, ale nie taką jak w tym szwedzkim labiryncie pod Warszawą. W blaszaku bez okien, do którego jak człowiek wejdzie, to nie wie, kiedy, gdzie i czy w ogóle z niego wyjdzie. Spacerowałam w pięknym przeszklonym budynku, w którym można było chodzić wokół dowolnie długo bez żadnego stresu. Najwspanialsze dzieło modernizmu. Emilka.

Spaceruję wewnętrznie, bo w rzeczywistości Emilki już nie ma. Zamiast niej jest dziura. Dziura między szklanymi biurówkami, które są tak samo martwe jak ona. Nie ma Emilki. Ukradli. Ale żeby nie pójść za to do więzienia, przyjęło się mówić, że nie ukradli, tylko sprzedali. A to przecież chwalebne. To biznes, rozwój, przedsiębiorczość, to produkt krajowy brutto per capita. Nie dosyć, że ludziom Emilkę ukradli, to jeszcze pieniądze za to wzięli. Ale do więzienia za to nie poszli. Bo tu już nie ma miejsca. Wszystkie są zajęte przez kobiety, które ukradły szminkę albo spodnie ze sklepu.

Nikogo nie obchodzi Emilka, którą zamknęli, a teraz chcą, żebym i ja się zamknęła...

– Nie, nie zamknę się – odpowiedziałam. – To więcej niż sklep, to nasza historia, nasze wspomnienia.

– Zamknij się, bo nie mogę myśleć – powiedziała Mariolka. – Trzeba coś zrobić, rozumiesz?

Otworzyłam oczy. Patrzyła na mnie zupełnie bez zrozumienia, a co dopiero mówić o empatii.

– Co niby chciałybyś zrobić? – spytałam. – Poczekajmy spokojnie. Na pewno się odnajdzie.

– A jeżeli nie? Jeżeli potrzebuje naszej pomocy?!

Chwyciła plastikowy kubek i cisnęła nim o ścianę. Herbata rozbryznęła się na połowie celi.

– Nie, to nie jest w porządku – powiedziała Mariolka. – Nie zgadzam się. Jest naszą przyjaciółką.

– Przyznaję, że była sympatyczna – stwierdziłam. – Ale od razu przyjaźń?

– Same ją wysłałyśmy. Nie obchodzi cię, co się z nią stało?

– Rozumiem, że nie mogę sobie pozwolić na zbytnią szczerłość?

– Nie możesz!

– Czego więc ode mnie oczekujesz? Mogę opłakiwać z tobą przyjaciółkę przez całą noc.

– W dupie mam twoje lamenty!

– Całe szczęście, bo to byłoby niezwykle wyczerpujące.

– Pójdiesz i ją znajdziesz.

Patrzyłam na Mariolkę. Nie wydawała się usposobiona do żartów.

– Wezwiesz Oddziałową przez domofon – zapowiedziała. – Gdy przyjdzie, powiesz, że cię boli brzuch, że nie wytrzymasz...

– Zaraz, ale mnie cały czas boli brzuch. Z głodu. I bez problemu wytrzymuję.

– No to powiesz, że jesteś w ciąży!

Uśmiechnęłam się. Mariolka nie. Natarła na mnie tak, że cofnęłam się do samej ściany.

– Pójdiesz do ambulatorium – powiedziała bardzo powoli, mrużąc oczy. – W tym celu okłamiesz Oddziałową, a jak nie potrafisz, to nie musisz... ja ci pomogę... nożem... tak na pewno brzuch cię jeszcze nie bolał...

– Pewnie nie powinnam przerywać – powiedziałam grzecznie. – Ale chyba jeszcze pani nie pytałam, za co pani siedzi. A to ciekawe. Mnie to



interesuje. Za kradzież? Może za jazdę pod wpływem alkoholu?

Zamiast usłyszeć odpowiedź, poczułam ucisk w okolicy podbrzusza. Na początku trochę dziwny, może zabawny, ale tylko przez chwilę, bo zaraz potem bardzo konkretnie bolesny.

– No dobrze – dodałam nieco drżącym głosem. – Po co ta nerwowość? Jeszcze będzie okazja, żeby o tamtym porozmawiać. Mam nadzieję. Słucham w takim razie. Mdleję z bólu, trafiam do ambulatorium i co potem? Proszę mnie nie trzymać w niepewności. Jestem bardzo ciekawa i gotowa na nowe wyzwania.

– W ambulatorium będą lekarz i pielęgniarka – kontynuowała niczym w transie, nienaturalnie spowolnionym głosem. – Lekarz cię nie wypuści. Pierdolniesz go w łeb metalową tacą. Tylko porządnie.

– Lekarza? – spytałam. – Nie żebym o tym nie myślała, kiedy siedziałam w poczekalniach i byłam tygodniami odsyłana od jednego do drugiego, ale to jednak nieładnie.

– Nic mu nie będzie. Nieraz już oberwał.

– Pielęgniarce powiesz, że jak się ruszy z miejsca, to będzie następna.

– A jak się ruszy? – spytałam.

– Jeszcze się nigdy nie ruszyła.

– Dobry plan. Bardzo mi się podoba. Czy mogłabyś już zabrać nóż?

Zabrała.

Odetchnęłam.

– Za drzwiami będzie strażnik – kontynuowała. – Zawsze ten sam grubas. Rozpoznasz go z łatwością. Duży facet z wielką gębą. Przypomina Freda Flinstone'a.

– To przystojny.

– Dobrze, jak ci się spodoba. Obciągniesz mu.

– Fuuu! – wybuchłam. – Jak mogłaś powiedzieć coś takiego?!

– O co ci znowu chodzi?! – spytała.

– Możesz znowu przyłożyć mi nóż – oburzyłam się. – Bo ja się nie zgadzam!

Wykrzywiła twarz i przycisnęła plastikowy nóż tak, że mimo iż nie przebił skóry, to wszedł głęboko między trzewia. Jęknęłam.

– Widzisz... – zaczęłam mówić, choć ból mi to znacznie utrudniał. – Obawiam się... nie wiem, jak to powiedzieć... nie obraź się... wiesz, trochę się różnimy... gdyby nie ten nóż w moim brzuchu, to powiedziałabym, że różnimy się nawet bardzo... nie wszystkie kobiety

posługują się takimi metodami, jak proponujesz... niektóre, takie jak ja, wysoko się cenią... i takich czynności, o której mówiłaś, nie wykonują...

– Nie umiesz obciągnąć? – spytała.

– Nie umiem – przyznałam.

Spojrzała na mnie.

Odwrociłam wzrok.

– Szlag! – krzyknęła.

Wstała.

– Pokażę ci. To nie takie trudne – zaproponowała entuzjastycznie.

– Nie, nie. – Skrzywiłam się. – Ja się tak szybko nie nauczę. Dla mnie to już za późno na naukę. Wy, młodzi, jesteście bardziej otwarci na nowości. Już lepiej wy sobie obciążajcie. Tak będzie najlepiej...

Podeszła do okna, oparła się jedną ręką o kratę i trochę się chyba uspokoiła.

– Słuchaj. No właśnie – zaczęłam spokojnym głosem. – To jest niezły plan. Dobrze go znasz. Może ty byś poszła?

– Ja nie obciążnę Flinstone’owi – odpowiedziała.

– A to niby dlaczego?

– Jak to dlaczego? Bo się brzydę.

– Co?! – wrzasnęłam oburzona.

Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Zerwałam się na równe nogi.

– Ty się możesz brzydzić... – wrzasnęłam. – A mnie to wysyłasz?!

– Dostyc tego! Idziesz do lekarza, stamtąd strażnik zabierze cię do pralni. Rurami przechodzisz do starej łaźni, w której jest teraz kaplica. Wypychasz kratkę wentylacyjną i schodzisz. Tylko ostrożnie, bo jak Flaszka się spierdoliła, to aż jej się te kratki odbiły.

– Kratki się jej odbiły?! – spytałam podejrzliwie. – A jak się spierdoliła?

– Jak to jak się spierdoliła?

– Konkretnie, jak się spierdoliła?

– Spierdoliła się konkretnie.

– Ale jak konkretnie?

– Jak to jak? Na dupę się konkretnie spierdoliła!

– A jak Flaszka się nazywa?

– Co ty, Grażynka...

– ...Zofia.

– Do reszty zgłupiałaś? Nazywa się Flaszka. Agnieszka Flaszka.

Agnieszka F., religijna, kratka na tyłku...

– To ty tyle czasu nic nie robisz, tylko się mazgaisz?! – nakrzyczałam na Mariolkę. – Coś jej się mogło stać! Trzeba ją ratować! Przecież to nasza przyjaciółka!

Może był to tylko przypadek, ale nie mogłam pozwolić, żeby ktoś zwinął mi sprzed nosa moją przepustkę do wolności. Podeszłam do domofonu i wcisnęłam guzik. Po chwili usłyszałam kilka trzasków, a potem głos Oddziałowej.

– Słucham – powiedziała.

– Tu Zofia Wilkońska.

– O co chodzi?

– O mój brzuch! – zaczęłam głośno i żałośnie zawodzić. – Boli! O, jak boli! Nie wytrzymam!

– Brzuch panią boli?

– Tak. Dokładnie.

– Może za dużo pani zjadła?

– A to można zjeść za dużo?

– Oczywiście. Niech pani się położy albo posiedzi na sedesie, to pani przejdzie.

– Wie pani, że mi się to nigdy nie zdarzyło? – odpowiedziałam zaskoczona. – Bolał mnie nieraz z głodu, ale z przejedzenia? Nigdy.

Nagle poczułam ból w plecach. Prawdziwy. Mariolka szturchnęła mnie łokciem.

– O, mój brzuch! – zaczęłam zawodzić jeszcze głośniejszym głosem niż poprzednio.

– Boli! O, jak boli! Nie wytrzymam! Pani Oddziałowa, niech pani ratuje!

– Niech pani tak nie krzyczy, bo to w niczym nie pomoże. Niech się pani położy. Jak pani za godzinę nie przejdzie, to proszę zadzwonić ponownie.

Spojrzałam na Mariolkę. Jej wzrok nie pozostawiał złudzeń.

– Ale pani Oddziałowa! – wyłam do domofonu. – Proszę przyjść. Mnie ten ból z pewnością nie przejdzie!

– A skąd pani wie?

Dobre pytanie. Zastanowiłam się chwilę.

– Bo chyba jestem w ciąży!

Odwróciłam się do Mariolki zadowolona, że wybrnęłam z trudnej sytuacji. Mariolka klepnęła się w czoło otwartą dłonią, tak że aż został jej czerwony ślad.

Oddziałowa natomiast prychnęła śmiechem.

– Śmieje się pani? – spytałam. – Ze mnie?

– Przepraszam – odpowiedziała. – Nie powinnam.

– Oczywiście, że pani nie powinna. Co to miało znaczyć? Za kogo pani się uważa? Czy pani chce, żebym umarła na pani dyżurze?

– Zaraz będę.

Spojrzałam na Mariolkę. Patrzyła na mnie beznamiętnie. Po chwili usłyszałyśmy zgrzytanie klucza w zamku.

– Trochę to trwało, ale się udało – stwierdziłam.

– Jeszcze nigdy tak szybko nie przyszła – odpowiedziała Mariolka.

Drzwi nie zdążyły się otworzyć, a jeszcze niedawno względnie zadowolona Mariolka zrobiła szybki krok w moją stronę, chwyciła mnie za barki i wymierzyła kolano prosto w brzuch.

O matko! Zatkało mnie i aż zgięłam się w pół.

– Za co? – jęknęłam, nie mogąc złapać oddechu.

Odeszła bez słowa w stronę swojego łóżka. Patrzyła zimnym wzrokiem, gdy weszła Oddziałowa.

– Faktycznie to coś poważnego – zauważyła Oddziałowa, patrząc na mnie z trudem chwytającą powietrze.

Spojrzała pytająco na Mariolkę.

– Ma swoje lata – stwierdziła Mariolka. – Może to zawał.

– Cholera jasna – zdenerwowała się Oddziałowa. – Wzywam pogotowie.

– Z miasta? – spytała Mariolka.

– Oczywiście.

– Zbyt ryzykowne, pani Oddziałowa. Niech ją najpierw obejrzą w ambulatorium, zanim narazimy państwo na koszty. Jeszcze nam każą zapłacić za nieuzasadnione wezwanie, jeśli się okaże, że to zgaga, bo się chleba nażarła.

– A ty to się może nie nażarłaś?! – wtrąciłam się.

– Może pani chodzić? – zwróciła się do mnie Oddziałowa.

– Może, może – odpowiedziała za mnie Mariolka.

– To idziemy – stwierdziła Oddziałowa.

Chwyciła mnie pod ramię i wyszłyśmy. Widziałam, jak to zrobiła tym kolanem. Będę ćwiczyć, też się tak nauczę i zemszczę. Tak ją kopnę, że się porzyga. Dwulicowa świnią.

Miała szczęście, że nie mogłam się pakować w kłopoty, bo dopiero bym jej pokazała. Musiałam być czujna i uważać na siebie, bo w takim miejscu zewsząd czyhały zagrożenia.

Oddziałowa zatrzymała się obok dyżurki.

– Pani Wilkońska do ambulatorium – zwróciła się do siedzącego tam strażnika.

Wstał, przetarł usta z resztek kanapki, którą właśnie jadł, i poprawił spodnie. Omiótł mnie wykrywaczem metalu i otworzył kratę.

Łapczywie chwytałam każdy zapach, kolor, dźwięk zewnętrznego świata, gdy przechodziliśmy do budynku administracji. Zgniła zieleń trawnika, smrodek ze spalarni śmieci i huk przejeżdżającego pociągu. Przez krótką chwilę wszystkimi zmysłami poczułam wolność!

– Kiedyś był tu kolejowy obóz pracy – zagaił, gdy weszliśmy do posępnego korytarza. – Czy coś takiego.

– Mnie to przypomina stajnię, wie pan. Długi, ciemny, wąski korytarzyk i ciasne boksy po obu stronach. Stalowe drzwi, wielkie klamki, zapach...

Nagle jednak poczułam odurzający wręcz aromat najcudowniejszych perfum.

Adwokat wyszedł z pokoju spotkań, uklonił się nisko i wyciągnął przed siebie wymuskaną i połyskującą złotem rękę. Uśmiechnął się tak przekonująco, że z łatwością otworzyłby każde serce i portfel. Ja jednak nie miałam już ani jednego, ani drugiego.

– Co pan tu robi, do cholery? – spytałam na powitanie.

– Świetnie się pani spisała. Ale zdaje się, że nie dotrzymała pani wszystkich warunków umowy. Miała pani nikomu nie mówić. Tymczasem zdaje się, że znalazła sobie pani nowego sprzymierzeńca. Niech się pani dobrze zastanowi nad tym, co pani robi.

– Pan jest podłym manipulantem – odpowiedziałam. – Nie rozmawiam z panem.

Spojrzał na mnie wymownie.

– Ona jest już nasza – stwierdził z uśmiechem.

– Kto?! – spytałam przerażona.

– Dobrze pani wie kto. Niech się pani już w to nie miesza. Niebezpieczni ludzie za tym stoją. Lepiej chyba być wolną i bogatą. Pani jest taka jak my!

– Niech mnie pan zostawi, bo powiadomię o wszystkim prokuratora.

– O wszystkim? – zaśmiał się. – Proszę zostawić tę sprawę, bo inaczej to ja powiadomię prokuratora. O wszystkim! Zobaczymy, kto wtedy więcej straci!

Strażnik zapukał do drzwi ambulatorium, gdy byliśmy na miejscu, po czym zajrzał do środka.

– Proszę! – Usłyszałam głos z wewnątrz.

Strażnik otworzył drzwi i zaprosił mnie ruchem ręki.

Weszłam.

Łóżko, na którym leżała wcześniej Ewa, stało puste. Za biurkiem siedział lekarz. Pod ścianą pielęgniarka. Była już mocno nadszarpnięta zębem czasu, ale najwyraźniej starała się wyglądać atrakcyjnie. Spódnicę miała tak krótką, że w zasadzie nie wystawała spod białego fartucha. Biust zdawał się tylko czekać dogodnej okazji, żeby wyskoczyć na zewnątrz. Schować go z powrotem chyba nie byłoby sposobu. Może przy użyciu gigantycznej łyżki do butów. Jej równie atrakcyjna twarz korespondowała z lokalną estetyką. Podobnie jak tutejsze ściany pokryta była wieloma warstwami odchodzącego tynku i farby.

– Gdzie ta pani? – spytałam.

– Która? – odpowiedział lekarz.

– Była tu niedawno. Rozmawialiśmy chwilę.

– Jej przypadek przerastał nasze skromne możliwości. Wymagała dalszej diagnostyki i skomplikowanego leczenia.

No zupełnie jak Puszcza Białowieska. Podeszłam, chwyciłam solidną metalową tacę i wzięłam spory zamach.

– Wolałabym tego nie robić, ale mam coś ważnego do załatwienia – zapowiedziałam.

Zatrzymał mnie, podnosząc dłoń.

– Chwileczkę – powiedział. – To nie będzie konieczne. Sam się położę na podłodze.

– Doprawdy? Bardzo pan uprzejmy.

– Ale zanim do tego przejdziemy, może bym panią zbadał, skoro pani już tu jest? W warunkach więziennych wszelkie dolegliwości się nasilają i pojawiają się również nowe.

– Nie trzeba. Bardzo mi się śpieszy, a nic mi nie dolega. To znaczy nic ponad to co zwykle. Symulowałam ból brzucha, żeby wyjść z celi.

– Nie wierzę – powiedział z lekkim uśmiechem. – Straż więzienna daje się nabrać na takie, pani wybaczy, niewyszukane sztuczki?

– Powiedziałam, że jestem w ciąży.

Parsknął tak, że rozlał stojącą przed nim herbatę.

Zajrzał mi do gardła, do ucha, zbadał węzły chłonne.

– A co pani zwykle dolega? – spytał.

Też mi pytanie. A co miałyby mi dolegać? Od lat przecież zmagam się z potwornym bólem biodra. Kilka lat czekałam na operację. Podejmowałam też karkołomne, ryzykowne i opłakane w skutkach próby jej przyspieszenia. Opowiedziałam mu o tym, skoro taki był ciekawy.

Wysłuchał, a następnie spojrzął na mnie znad wąskich okularów.

– To ja pani wypiszę skierowanie na operację – stwierdził. – Do szpitala MSW. Kolejki ostatnio się skróciły. Dwa, trzy miesiące. Złeci.

Spojrzałam na niego.

– Proszę pana, jeżeli to jest żart, to musi pan wiedzieć, że okrutny.

– Nie, to nie żart. U nas opieka medyczna jest na względnie dobrym poziomie.

– Ot tak po prostu wypisze pan skierowanie? I w szpitalu mnie zoperują?

– Tak właśnie będzie – odpowiedział. – Więzienie we własnym interesie dba o zdrowie osadzonych. Wyobraża sobie pani, że strażnicy mieliby nosić i obsługiwać wszystkich ze zwyrodnieniami stawów?

– Rozumiem. Zbyt wysoki standard. Branża hotelarska upadłaby w kilka miesięcy.

– Dobrze pani śpi? Czuje pani jakieś bóle? Jak pani samopoczucie? – kontynuował wywiad.

– Miał może dzisiaj miejsce jakiś wypadek? – spytałam.

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo. – Spojrzął na mnie badawczo znad okularów. – Dlaczego pani pyta?

– Bez powodu. Nikt więcej nie wyjechał do szpitala, nic się nikomu nie stało, nie zmarł przypadkiem? Martwię się o koleżankę. Jest młoda, atrakcyjna, może ją ktoś zbałamucił?

Spojrzałam na niego podejrzliwie. Niezainteresowana do tej pory pielęgniarka podniosła wzrok znad kolorowego pisemka.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedział.

– Na pewno? Do pana kobiety same przychodzą. Pan tylko powie „rozebrać się” i już. Może pan robić, co zechce.

– Zapewniam, że jest w tym obiekcie kilku mężczyzn, którzy są w tym zakresie znacznie większym zagrożeniem ode mnie.

– Niby kogo ma pan na myśli? – spytałam. – Atrakcyjnego wychowawcę? Niestety dla pana, on jest poza podejrzeniami. Sprawdziłam i jestem całkowicie pewna, że w ogóle nie jest zainteresowany kobietami!

– Nie wiem, czy panią dobrze rozumiem – powiedział, mrużąc oczy. – Ale lepiej niech się pani w nic nie miesza.

– W co miałabym się nie mieszać? Czyli jednak coś pan wie? Czy mógłby pan wyjąć rękę z mojego dekoltu, gdy rozmawiamy?

– Przecież ja panią badam! – poirytował się.

– Zrobiłeś to? – spytała nagle pielęgniarka, o której obecności zdążyliśmy zapomnieć.

Oczy jej się zaszklily. Lekarz spojrzał na nią zaskoczony.

– No co ty? – spytał.

– Właśnie – dodałam. – No co pani? Głupia jakaś? Mężczyzn pani nie zna? To nie ich wina. Oni po prostu muszą...

Chwyciła solidną metalową tacę, wzięła potężny zamach...

Brzdęk! Rozległ się dźwięk blachy uderzającej z impetem w miejscami siwawy czerep więziennego Rasputina.

– Co pani zrobiła?! – krzyknęłam. – Przecież miał mi wypisać skierowanie!

Jak on na to zareagował? No cóż. Szkoda gadać. Za dużo czasu na dyżurach, za mało przed telewizorem. Wyglądał tak, jakby żadnego amerykańskiego filmu nie oglądał. Nie wykonał ani szybkiego uniku, ani nawet zapierającego dech w piersiach upadku w zwolnionym tempie. Zwalił się po prostu na podłogę jak kłoda i pacnął gębą na posadzkę, zaśliniając kafelki. To wszystko. Niesmaczny widok i spory zawód. Dobrze wiedziałam, że nie ma co mieć żalu, bo rzadko kiedy życie dogania filmową fikcją, ale jednak niesmak pozostał.

– Do widzenia – powiedziałam do pielęgniarki.

Zapięłam guziki i wyszłam. Sama była zaskoczona tym, co zrobiła. Może nawet tego żałowała. Miała czego. W końcu kim trzeba było być, żeby uderzyć lekarza? Człowieka, który niemal bezinteresownie, pracując dla idei, pomaga innym.

Wydawało mi się, że plan idzie dobrze i pozostaje się tylko dostać do pralni. Niestety, zaraz po wyjściu odbiłam się od czegoś dużego i miękkiego, co stało przy drzwiach.

Flinstone.



Był potężnym mężczyzną. Żeby spojrzeć mu w oczy, trzeba było nie tylko mocno zadrzeć głowę, ale potem jeszcze te oczy odnaleźć na niemałej twarzy.

– Wracamy – powiedział.

– Nie – odpowiedziałam szybko.

Nie wiedziałam, co zrobić, ale nie mogłam wrócić i zostawić tego biednego dziecka.

– Ja, proszę pana... – słowa z wielkim trudem przechodziły mi przez usta – w zastępstwie za koleżankę...

– Tak? – Zaśmiał się, jakby już wiedział, o co chodzi.

– Ja, proszę pana, tego nie wypowiem, ale wie pan, o co chodzi. W zastępstwie koleżanki jestem zmuszona wykonać dla pana pewne czynności. Powiedzmy usługę. Chodzi o to, czego mężczyzna najbardziej potrzebuje od kobiety. Pozwoli pan, że zamknę oczy.

– Oczywiście. Bardzo się cieszę. Chętnie skorzystam.

– Obrzydliwość.

– Dlaczego? To zwykła rzecz.

– Do jasnej cholery, nie chcę tego słuchać!

– Dobrze już, dobrze.

Zamknęłam oczy i usłyszałam brzęczenie metalu przy jego pasku. Wyciągnęłam przed siebie rękę.

– Proszę – powiedział bardzo uprzejmie.

Poczułam go. O matko! Twardy, zimny i bardzo cienki. Rzecz jasna dobrze wiedziałam, że taki miał być. Dlaczego niby nie miałabym wiedzieć?

– Bardzo cienki – stwierdziłam.

– Wszystkie takie są.

– Wiem o tym! Co pan sobie myśli, że ja nie wiem?!

Nie mogłam wytrzymać i otworzyłam oczy.

– Matko jedyna! – krzyknęłam. – Co to jest?!

W moim ręku leżał sporej wielkości stalowy klucz do drzwi.

– Jak to co? – spytał zdziwiony. – Klucz do pralni. Przecież sama pani chciała zrobić mi pranie.

– Mam uprać pańskie brudne gacie?! Tego według pana mężczyzna oczekuje od kobiety?!

– Ale co? Coś nie tak? Myślała pani o czymś innym?

Nie no, ręce mi opadły. Co za bezczelny typ!

– No wie pan co? – Pokręciłam głową z politowaniem. – Oczywiście, że myślałam o praniu. Niech pan nie będzie obrzydliwy.

Poszliśmy.

Po pewnym czasie korytarze z mnóstwem drzwi nie robiły już żadnego wrażenia. Szkoła, szpital, więzienie, hierarchie, układy, zakazy, nakazy.

Zeszliśmy schodami, minęliśmy kuchnię.

– Śmierdzi spalenizną – stwierdziłam.

– Mieliśmy wypadek – odpowiedział.

– Czy podpalenie?

– A skąd pani wie?

– Wieści szybko się rozchodzą. Macie winnego?

– Oczywiście.

– Kogo?

– Tego nie mogę powiedzieć, ale może pani być pewna, że winne trafiły do izolatki. Odechce im się.

– Młodzi nie mają za grosz szacunku.

Doszliśmy do pralni. Strażnik otworzył drzwi i wymacał włącznik. Wątle światło padło na metalowe kotły, pralki i zniszczoną kanapę.

– Zamykam panią i zaraz wracam.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

– Rozumiem, że nie wywinie pani żadnego numeru? – spytał, patrząc podejrzliwie. – Komu jak komu, ale pani chyba można zaufać, prawda?

– W sensie, że ja wzbudzam zaufanie? – spytałam.

– No tak.

– Zna się pan na ludziach jak mało kto.

Zamknął za sobą drzwi na klucz i odszedł w pośpiechu.

Ja także nie miałam czasu do stracenia. Podeszłam do kotła i oparłam na nim rękę. Był gorący i lekko w nim buzowało. Czuło się moc, która w nim drzemała. Ale wystarczyłaby jedna lekkomyślna staruszka, żeby rozpętało się piekło. Na szczęście nie było tu żadnej takiej osoby. Woda to nie mój żywioł. Zbyttno kojarzyła mi się z zimnem. Zdaje się, że już nikogo nie było stać na używanie gorącej. Chyba że sobie wybudował własne sanatorium z gorącymi termami. Za cudze pieniądze oczywiście.

A ja lubiłam ciepło. Dużo ciepła. Szalejącego, gorejącego, trawiącego wszystko na swojej drodze i oczyszczającego! Nie był to jednak najlepszy czas, żeby ekscytować się podobnymi bzdurami.

Przede mną zionęła głęboką czernią kanalizacyjna otchłań. Wodno-kanalizacyjna czeluść sącząca przez rury zło tego miejsca niczym lemoniadę przez słomkę.

– Halo! – zawołałam, stojąc naprzeciwko dziury. – Dziecko, jesteś tam?!

Odpowiedział jedynie metaliczny pogłos rur. Mogła spaść z drugiej strony i rozbić sobie głowę. Tego bym nie chciała. Nie lubiłam widoku krwi, a prokurator nic by mi nie zaoferował za martwą Flaszkę. Nie pozostało nic innego, tylko zmierzyć się z lękiem.

Szkoda było ubrań, które dopiero dostałam, ale skoro nasz kraj od niedawna wyrastał na światową potęgę gospodarczą i nasze społeczeństwo stać było na finansowanie rodzinom polityków lotów wojskowymi samolotami, to stać było także na kilka używanych szmat najniższego gatunku.

Podstawiłam taboret, spojrzałam w otchłań i chwyciłam masywną stalową kratę. Na pierwszy rzut oka nie było najmniejszych szans, żebym się zmieściła. Po kilku próbach udało mi się precyzyjnie przycisnąć głowę, która od wszystkich problemów zrobiła się kwadratowa.

Elastyczny kręgosłup moralny ugiął się doskonale i tym razem. Mocne ręce pasażerki komunikacji miejskiej wytrenowane dzięki empatii, z jaką kierowcy i motorniczy prowadzili swoje pojazdy, przydały się jak znalazł do wciągnięcia reszty ciała do wąskiego otworu. Nie trzeba było do tego tak znowu wielkiej siły. Fakt, że moje nogi to ważyły z tonę. Zwłaszcza wieczorem były jak z ołowiu. Reszta ciała była pusta jak mebel wykonany z niskiej jakości imitacji drewna. Wygląda pięknie i solidnie, ale gdy się to podniesie, okazuje się, że prawie nic nie waży. Gdyby rzucić zapalniczkę, spłonęłyby w ułamku sekundy jak suchy liść.

Ciemność. Mimo że powinnam się jej spodziewać, wydała mi się zaskakująca. Na to się nie przygotowałam. Po przejściu kraty ciasnota nie była aż tak uciążliwa. Miejsca było tyle co w tramwaju. Można było oddychać i nieco się poruszać.

W końcu gdzieś przede mną zamarudziła nieśmiała smuzka światła. Postanowiłam zintensyfikować działania, żeby jak najszybciej opuścić to idiotyczne miejsce. Musiałam zwariować, że dałam się wpuścić w tak nedorzeczną sytuację. Zbyt długa izolacja, odosobnienie i nieludzkie traktowanie już wpłynęły na moją psychikę. Miałam tylko nadzieję, że nie był to wpływ nieodwracalny!

Dopełzłam do kolejnej kratki. Wypchnęłam ją na zewnątrz i gruchnęłam porządnie na podłogę po drugiej stronie. Na tyłek. Jak Flaszka. Centralnie na kratkę. Potrzebowałam podobnego wstrząsu, i to bardzo. Zanim zdołałam się podnieść z zimnej i twardej podłogi, miałam chwilę, żeby się nad sobą zastanowić. Nad swoim położeniem, przeszłością, przyszłością, nad tym, jakich dokonuję wyborów i gdzie one mnie doprowadzają. Niestety, zbyt krótka to była chwila, żeby dojść do jakichś konstruktywnych wniosków, więc nie opłacało się nawet zaczynać.

\*\*\*

– Szczęść Boże, córko – powiedział ksiądz siedzący w konfesjonale, przecierając zaspane oczy. – Wyznaj swoje grzechy, a będą ci przebaczone.

Kusząca propozycja. Ostatnio moje życie stało się nieco niespokojne i na wszelki wypadek lepiej byłoby uregulować swoje sprawy ze Stwórcą. Pewnie już tęsknił za swoją owieczką i szykował jakieś miłe powitanie. Może niewielki słodki poczęstunek? Kto wie?

– Dziękuję, ale obawiam się, że nie mamy aż tyle czasu – stwierdziłam po namyśle. – Mam do księdza ważną sprawę.

– Nic nie jest ważniejsze od spraw dotyczących życia wiecznego – odpowiedział.

– Ale ksiądz uparty. Ja to nie grzeszę. Nie mam na to ani czasu, ani pieniędzy. Większość przykrych zdarzeń, których byłam uczestniczką, to tylko krzywdzące nieporozumienia oraz wypadki z udziałem ognia powstałe prawdopodobnie na skutek spięcia w obrębie wadliwej instalacji elektrycznej. To nudne technikalnia. Szkoda księdza czasu.

– Na pewno coś się znajdzie. Byłaś w niedzielę na mszy?

– Na mszy?

– A co cię tak dziwi? Nie wiesz, ilu przestępców, kryminalistów i zwyrodnialców uczestniczy w niedzielnej mszy? Żałuj. Było bardzo interesująco.

– Naprawdę?

– Rozmawialiśmy o bardzo ciekawych i ważnych grzechach. Zaczęliśmy o pospolitych przestępstwach: kradzieżach, pobiciach, morderstwach, ale potem dyskusja zeszła na zagadnienia związane

z przemocą seksualną, wykorzystywaniem, różnego rodzaju dewiacjami. Wszyscy byli bardzo aktywni, otwarci i zaangażowani. Ach, moglibyśmy tak dyskutować i dyskutować całą noc...

- Fascynujące, proszę księdza. Może jeszcze odegraliście scenki?
- Wyczuwam u ciebie, córko, sarkazm i brak wiary.
- No cóż, proszę księdza, przyznaję, że czasami się księdza obawiam.
- Dlaczegoż to? Nie masz powodu.
- A chociażby pedofilia?
- Ależ zapewniam, że nie masz się czego bać!

Uśmiechnął się przy tym szeroko.

– Dobrze więc – zaczęłam stanowczo. – Ksiądz powiedział swoje, ale ja też mam do księdza kilka pytań. Wiem o księdzu i o Flaszce.

- A więc to tak?!
- Kiedy ostatnio ksiądz ją widział?
- Rozumiem. Nagonka na Kościół! Bezpośredni atak w czułe miejsce?!
- Tak!
- Dobrze.
- Dobrze?!

– Dobrze! Nie sądziłem, że może być pani tak podła, ale zgoda! Widziałem ją dzisiaj! Zadowolona?!

- Co ksiądz z nią zrobił?!
- To co zwykle. Spędziliśmy upojne chwile.
- Proszę powiedzieć.

– Ależ to podłe! Każdy ma swoje problemy, z którymi żyje i się zмага. Nie wstyd pani wyciągać takie rzeczy i mnie atakować?!

– Niech ksiądz mówi, co z nią zrobił, bo się wścieknę, a konsekwencji mojej złości to się sama nawet boję!

– Dobrze więc, jeżeli jesteś taka dociekliwa, to opowiem ze szczegółami... Mam taki rytuał, nic wielkiego, ale chwile z flaszką są tymi, na które czekam cały dzień, myślę o niej bez przerwy, chyba to pani rozumie. Więc jak już ją chwytam w swoje spragnione ręce, to jej nie wypuszczę, choćby nie wiem co. Ściskam mocno za szyjkę, odkręcam i przechylam... napętnia mnie poczucie rozkoszy, ulgi, ale i wyrzutów sumienia.

- Jest moją przyjaciółką! – powiedziałam mu.
- Moją też – odpowiedział.
- Jedyną!

- Wiem, jakie to bolesne, jak człowiek sobie to uświadamia. Proszę mi wierzyć, że moją także!
- Potrzebuję jej, i to bardzo! Moje życie od niej zależy!
- To dokładnie tak jak w moim przypadku.
- Co ksiądz z nią zrobił?!
- Z tą konkretną? Wyrzuciłem.
- Gdzie?!
- Na śmietnik, ale mam następną. Nawet przy sobie. Napijesz się? Zaniemówiłam. A to mi się rzadko zdarzało.

\*\*\*

Wracałam zła. Naprawdę zła. Wiadomość otrzymał, ale z Flaszką się nie spotkał, więc nic tu po mnie. Nic nie wiedział. Nie mógł pomóc.

Dopełzałam do kraty w pralni. Tym razem było trudniej. Żyły na skroniach nabrzmiały mi i pulsowały ze złości. Myślałam, że głowa mi pięknie podczas przeciskania się.

Miałam ochotę rozwalić całe to miejsce na najdrobniejsze kawałki. Kto i komu dał prawo do tego, żeby niszczyć moje życie? Dlaczego inni mogli być wolni, swobodni, szczęśliwi? Spędzać ranki w przestronnym salonie własnego domu, popijając kawę z wielkiego kubka i patrząc przez ogromne okno na zielony ogród? A ja musiałam tarzać się w brudzie i brnąć przez jakiś cholerny kanał porodowy?!

Na szczęście byłam na tyle szybka, że pozostało mi jeszcze sporo czasu, zanim strażnik zorientowałby się, że chwilę mnie nie było. Otworzyłam plastikowy worek z jego brudnymi ubraniami. Uderzył mnie smród męskiego potu. Włożyłam rękę do środka, ale zawartość była obrzydliwie przepełniona i wilgotna, więc przesyłałam wszystko bezpośrednio do wielkiego bębna pralki.

– Gdzie pani była? – Usłyszałam za plecami męski głos.

Odwróciłam się. Podniesione brwi i otwarte szeroko oczy Flinstone'a oznaczały, że jest gotów powątpiewać w moje ewentualne tłumaczenia. Cóż, warto było spróbować.

– Byłam tu cały czas – odpowiedziałam w tak przekonujący sposób, że biskupa namówiłabym do życia w ascezie.

– Bzdura! – wrzasnął człowiek małej wiary.

Wyrafinowane metody wywierania wpływu nie działają na prymitywne umysły.

– Szukałem pani, nikogo tu nie było! – stwierdził.

O, to nowa sytuacja! Flinstone wykonał test empiryczny, z którego wynikami trudno polemizować, opierając się na ideach i argumentach teoretycznych. Heraklit z Efezu się znalazł!

– Wszędzie pan szukał? – spytałam.

– Oczywiście! – odpowiedział.

– Jest pan tego absolutnie pewien?

– Niech pani ze mną nie pogrywa. Zaufałem pani.

– A do pralki pan zaglądał?

Spojrzał zaskoczony.

– Nie – odpowiedział.

– I widzi pan, a mówił pan, że wszędzie pan szukał.

– Bo szukałem – tłumaczył się, spuszczać nieco z tonu. – Ale po co miałbym zaglądać do pralki?

– A ja musiałam. Wyciągnąć brakującą skarpetkę. Chciałby pan chodzić w jednej skarpetce? Może właśnie tego pan chce?

Przyglądał się pralce zafrasowany. Wsunął głowę do przepastnego bębna. Wyciągnął z niego zmemłaną koszulę. Skrzywił się. Musiał się zorientować, że nawet nie włączyłam pralki.

– Co taka wilgotna? – spytał.

– A robił pan kiedyś pranie? – odpowiedziałam.

Wzruszył ramionami.

– I wyjął pan kiedyś z pralki od razu suche rzeczy?

Rozłożył, popatrzył, powąchał.

– Co to za zapach? – spytał.

Niedobrze mi się zrobiło.

– Noo... jak by to określić... – zaczęłam. – Można chyba powiedzieć, że to taki lekki smrodek.

– To pewnie feromony – stwierdził.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– Pewnie! Dlaczego nie?! Casanova przeпоcony!

– Nie feromony?

– Feromony to pan już dawno udusił, ale jest na oddziale jedna kobieta, która nie kąpała się od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Może na nią pan podziała.

– Chodźmy już.

Dał mi chwilę na wyciągnięcie ubrań z pralki i spakowanie ich do worka. Miałam do siebie ogromny żal, że daremnie się napracowałam. Gdyby przyszedł odrobinę wcześniej, ubrania byłyby jeszcze w worku i nie musiałabym ich ani wkładać do pralki, ani chwilę później z powrotem ich pakować.

Wróciliśmy na oddział, gdzie Flinstone przekazał mnie Oddziałowej.

Otworzyła klapę. Znowu ta kuszетка. Nie mieściło mi się w głowie, że w naszym kraju było kilkadziesiąt tysięcy osób siedzących beczynnian na łózkach, pijących herbatę i palących papierosy.



## Rozdział 9

Gdy tylko wpadłam do celi, ruszyłam w kierunku Mariolki. Siedziała na łóżku, piła herbatę i paliła papierosa. Podniosła na mnie wzrok.

– To twoja wina! – krzyknęłam.

– Gdzie Flaszka? – spytała, odstawiając herbatę.

– Przez ciebie coś na pewno jej się stało! Wykorzystywałeś to biedne dziecko!

– Słuchaj, Grażynka...

– Zofia.

– Ja już mam cię powoli dosyć.

Wstała. Swoim zwyczajem zacisnęła pięści i spojrzała na mnie groźnie. Teraz nie robiło to już na mnie najmniejszego wrażenia. To jak kłócić się w schronisku, kto pozmywa, podczas gdy z gór schodzi lawina.

– Zaciśnij te swoje śmieszne pięści i walnij się nimi w łeb.

– Utknęła? Spadła? Szukałaś jej? – spytała.

– Myślisz, że nie próbowałam? Że nie rzuciłam na szalę własnej godności, proponując Flinstone'owi swoje usługi?

– Nie skorzystał? – Zaśmiała się szyderczo.

– Oczywiście, że skorzystał! Dlaczego miał nie skorzystać?! Był zachwycony tym, że zaproponowałam. Powiedziałam, że w zastępstwie koleżanki zrobię mu to, czego mężczyzna najbardziej potrzebuje od kobiety. Od razu się zgodził. Bardzo się ucieszył i zaraz przyniósł cały worek brudnych gaci do uprania!

Mariolka tak się śmiała, że całą herbatę, której nie zdążyła połknąć, wypłuła na Wielką Jolkę. Potem krztusiła się przez dłuższą chwilę, ale nikt jej nie pomógł.

Zbliżał się wieczór, a z nim pora wieczornego liczenia. Oddziałowa otworzyła klapę.

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery?! – przywitała się serdecznie.

– Zakrztusiła się. Może jej pani pomóc, jeżeli pani uważa to za konieczne – odpowiedziałam.

Wzięła się pod boki i przekrzywiała głowę to na jedną, to na drugą stronę, patrząc badawczo na Mariolkę.

– Nie ze mną te numery – oznajmiła po chwili. – Symuluje. Poznaję to od razu. Jeszcze nigdy nie dałam się oszukać.

– Naprawdę? – zdziwiłam się.

– Tak. Niech pani zobaczy – powiedziała, po czym podeszła do Mariolki i odezwała się do niej miłym głosem: – Miałaby pani ochotę pójść na pasy?

Mariolka spojrzała na nią przekrwionymi oczami, uderzyła się mocno w pierś, zakasłała kilka razy, wciągnęła świszczący oddech.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała, charcząc.

– Widzi pani?! – odpowiedziała Oddziałowa wyraźnie zadowolona. – Zdrowa!

Wyszliśmy na peronkę tak jak wszystkie inne dziewczyny z pozostałych cel. Oddziałowa wydała komendę, po której starsze celowe podały stan każdej celi. Zupełnie jak dzieci na koloniach.

Gdy Mariolka zgłosiła brak jednej osadzonej, wbiłyśmy wzrok w Oddziałową. Nawet jej powieka nie drgnęła. Wiedziała. Wiedziała, że Flaszka zniknęła.

– Pani Oddziałowa – zagadała Mariolka.

– Cisza, bo wzywam ochronę! – odpowiedziała.

Gdy kilkadziesiąt osadzonych staje twarzą w twarz z jednym tylko funkcjonariuszem służby więziennej, to on nie może pozwolić sobie na żaden błąd. Dlatego każde, nawet najmniejsze zakłócenie porządku gaszone było natychmiastowo. Mariolka o tym wiedziała. Odpuściła.

Wróciłyśmy do cel.

Leżałyśmy już na kojach, gdy zgaszono światło. Myślałam o tym biednym, niewinnym... lub prawie niewinnym dziecku. A może już nawet nie dziecku? Mniejsza o szczegóły. Nie mogłam zasnąć, i tyle!

– Opowiedz jakąś historię – zwróciłam się do Mariolki.

– Po co? – odpowiedziała.

– Dla zabicia czasu. Nie możemy oglądać telewizji ani poczytać. Mogłabyś coś opowiedzieć.

– Na dobranoc? – zaśmiała się.

– Tak, na dobranoc.

– Niby co?

– Cokolwiek. Nie obraż się, ale chyba rozumiesz, że nie liczę na wiele. Im będzie nudniej, tym szybciej zasnę.

Nastąpiła cisza. Ludzie tak łatwo się obrażają, że już nie wiadomo, jak z nimi rozmawiać.

– To może o jednej dziewczynie – odezwała się w końcu. – O jej dzieciństwie. Była wtedy szczęśliwa. Wakacje spędzała u babci na wsi...

– Tylko nie wieś i nie żadna babcia. Pewnie wścibska i wredna. Pomiń to. Może zacznij, jak była piękna, młoda, atrakcyjna. To ciekawsze.

– Niech ci będzie – zgodziła się. – Dla ciebie wszystko, jeżeli tylko szybciej zaśniesz.

– Opowiadaj.

– Cała Polska śledziła jej proces. Ludzie oczekiwali, a wręcz żądali najsurowszego wyroku. Niektórzy zastanawiali się, czy taki zapadnie w sprawie małolatów. Wolnościowa część społeczeństwa wygrała. Zapadło pierwsze w Polsce dożywocie. Pojechała do zakładu karnego o zaostrzonym rygorze. Nie było okna, z którego nie wyglądałaby zaciekawiona twarz, kiedy szła przez dziedziniec. Gdy pojawiła się przed dyżurką, życie całego oddziału przeniosło się na peronkę. Większość była jej po prostu ciekawa. Tej z wyrokiem. Dostała miejsce w ostatniej celi, więc musiała przejść trzy razy cały korytarz. Rzeczy miała tak przekipiszowane, że nie mogła ich już porządnie ułożyć. Trafiła do celi czteroosobowej, ale czekały na nią dwie. Małolatka i starsza, resocjalizująca, która miała kształtować młodocianych.

– Ale dlaczego opowiadasz jakieś więzienne historie? – przerwałam. – Mnie już wystarczy. Jeszcze nie zasnę.

– Taką miała młodość – odpowiedziała. – Sama chciałaś. Nic ci na to nie poradzę.

– Opowiedz o kimś innym.

– Wszystkich znam tylko z więzienia.

– To ile ty tu siedzisz?

– Długo. Bardzo długo... Jak ci się nie podoba, to mogę nie gadać.

– Jaka obraźliwa. Tak najłatwiej. Odwrócić się i zostawić człowieka samemu sobie. Opowiadaj dalej.

– Gdy znalazła się pod celą, zaskoczyły ją łóżka. Były drewniane. W nogach były szafki, w celi stała dodatkowo duża drewniana szafa, kącik był zamurowany, miał nawet światło, drzwi z klamką, dla niej to było zaskoczeniem, bo w tamtym czasie grochowski kącik to metalowy stelaż z kotarą. Gdy się rozpakowywała, ciągle przychodzili ludzie, niby o kogoś zapytać. Ale tak naprawdę to był pierwszy dzień, kiedy można

było ją zobaczyć. Z racji jej wyroku wprowadzono dodatkowe kipisze dla dużych wyroków: ćwiara, no i dla niej jako jedynej dożywotki.

W ciągu pierwszych dwóch dni dziewczyny miały do niej pretensje. Jedno się nie zmieniło przez dwadzieścia lat. Ani wtedy, ani teraz nie rzucało się pretensji prosto w twarz. Dużo prościej gada się za czyimiś plecami. Podobnie było, gdy zjechała ćwiara z Augustowa, co zamurowała męża razem z rowerem. Zgłosiła, że wyjechał do pracy i nie wrócił.

Na posiłki chodziła na stołówkę, czyli wyjście i wejście, śniadanie, obiad, kolacja. Za każdym razem osobista! Był jeszcze spacer, dwa razy osobista. Czyli z podstawowych wyjść poza oddział osiem przeszukań. No szło się wkurwić!

Ona z racji podgrupy M jako małolata miała jeszcze dodatkowy spacer, ale zostawała dłużej godzinę, poza tym trzy razy w tygodniu boisko, raz w tygodniu wyjście do magazynu, co środa obowiązkowe trzepanie koców chwilę po porannym apelu o siódmej piętnaście. Jeszcze była msza i organizowane przeróżne „imprezy”.

W końcu oddziałowe zaczęły się oswajać i pomału odpuszczają. Nie rozbierały jej za każdym razem do golasa, bo zwyczajnie za długo to trwało. Wchodziła na dyżurkę, łapami przejechały po kieszeniach, plecach i wychodziła.

Później wprowadzili opukiwanie krat o dwudziestej pierwszej. I ta jej resocjalizująca, która powinna całodobowo ją kształcić i mieć dobry wpływ, strasznie klęła na nich prosto w twarz. Zarzucała im, że się nudzą. Ta jej starsza przy kolacji brała czarodzieje, więc to wyjście z celi o dwudziestej pierwszej i stanie twarzą do ściany wzbudzało w niej agresję.

Był to minus siedzenia z dożywotką, ale były i plusy. Przynosiła jej dodatki, które otrzymywała do posiłku. Wtedy zamiast margaryny miała masełko, w takich małych plastikach dżem i miód. Nieraz szła na kuchenkę i robiła z tym dżemem bułeczki, były super!

– Zejdz z łóżka!

– Słucham? – spytałam.

– Wielka Jolka się obudziła – odpowiedziała Mariolka.

Ciężko było się ruszyć, ale jak tylko zobaczyłam, jak schodzi po drabince z poduszką w rękę, zrobiłam się znacznie bardziej żwawa.

– Wracaj do łóżka – powiedziała do niej. – Już dobrze. Idź spać. Twój mąż nie żyje.

Mariolka uspokoiła ją, odesłała na górę i po chwili, widząc jej wielkie białe stopy na drabince, mogłam wrócić do siebie.

– Mów dalej – westchnęłam, ziewając. – Fragment o jedzeniu bardzo ciekawy. Mów, już prawie zasypiam.

– Bywały imprezy – kontynuowała. – Dyskoteka czy wieczorek zapoznawczy o dziesiątej rano. Oddział męski zapraszał żeński lub na odwrót. Była kiedyś na takim wieczorku, przysiadł się do niej taki jeden prototyp faceta i po paru czerstwych zdaniach radził jej, by walczyła i pisała o apelację. Potwierdziła, że adwokat już to zrobił. Na co tamten: „Dobry i rok, jak zbiją”. Wyobrażasz sobie? No kurwa, rok z dożywocia?!

– Nie wrzeszcz – przerwałam. – Przecież ja próbuję zasnąć.

– Nie gadać już?

– Opowiadaj, opowiadaj...

– Imprezy odbywały się w kościele! Karny w Grudziądzu mieścił się w dawnym klasztorze. Miał swój kościół, który był legalnie użytkowany. Ściągało się wszystkie święte obrazy z bocznych ścian. Gruba kotara zasłaniała prezbiterium, wszystkie krzesła przesuwano i parkiet pusty na płasy. Łżej się siedziało...

Była większa jedność. Pamiętam, jak kiedyś słuchałyśmy głośno muzyki i postraszyli nas wnioskami o ukaranie, to moja wychowująca tak o nas walczyła, że młode, że ja po prochach, które zresztą dostaję od nich, ostro z nimi szła. Skończyło się wyłączeniem wcześniej „fazy”.

Fajne było to, że resocjalizująca, zamiast tępić pewne zachowania, podtrzymywała je. Czy na pewno te zasady można było nazwać subkulturą więzienną? Jak inaczej żyć w małym pomieszczeniu, które jest jednocześnie jadalnią, sypialnią, pralnią i sralnią? Trudno przekąsać obiadek w rytm bąków czy jak kto woli, „pod wiatr”. Po praniu gaciaków w umywalce położyć sobie talerzyki z kubeczkami do mycia. Po to powstały zasady, żeby sobie wszystko ułatwić. Mówisz „nie szamać” czy „nie pić”, jak idziesz skorzystać z „kącika”. Nie pierze się ani nie płucze w umywalce, nie siada się na blat dupskim.

– I co było dalej? – spytałam, poprawiając poduszkę.

– Myślałam, że już śpisz – odpowiedziała.

– No co ty? Nie przerywaj, bo się rozbudzę.

– Parę lat później zlikwidują dyskoteki, kuchenki, bezczasowe dzwonienie, „zamek” będzie już tylko otwarty po cztery godziny, paczki żywnościowe tylko raz w miesiącu, a można było, ile wlezie, tylko każda musiała ważyć pięć kilo. Może byś poszła spać? – spytała Mariolka.

– Opowiadaj.

– Później pojechała na operację, wykryto u niej guza żuchwy. Na szpitalce bardzo długo była jedyną kobietą, więc pucowali się z każdej strony kryminału. Na początku okłamywała, że ma na imię Marta z wyrokiem piętnastu lat, ale chłopak z depozytu powiedział kalefaktorom, że zjechała z Grudziądza dożywotka. Codziennie dostawała słodycze, siatkę pomarańczy, liściki. Adorowali ją na wszystkie sposoby, bo każdy widział w niej kobietę, a nie wyrokowca. Z każdej strony świata poznała historie samotnych, rozwiedzionych, zajętych, z dziećmi, z przeszłością, z planami. Każdy chciał po prostu z nią pogadać. Najczęściej przez okno. Na babińcu jest to karane wnioskiem. Tam zasady narzucali mężczyźni. Siedzieliśmy i gadaliśmy, a klawisz na zwyzce siedział i słuchał albo spał. Siatki w oknach były porozplątywane i chabetą jechały wszystkie potrzebne rzeczy lub prezenty.

Dostała kiedyś wyrzeźbioną w mydle własną podobiznę. Przepiękna rzecz. Innym razem był też słoń i statek. Tam się nauczyła pisać na witach, co bardzo się przydawało, gdy chłopaki byli na przykład na spacerze. Codziennie dostawała grypsiki – przede wszystkim by walczyła, trwała, dbała o siebie. Takie męskie podtrzymywanie na duchu. Oczywiście o sobie też pisali.

Nie szanowała facetów, którzy się źle wypowiadali o swoich byłych. Mężczyźni najczęściej mówili o nich, że poszły w ormo, a nie, że zwyczajnie nie dały rady czekać na nich przez tyle lat. A i tak przeważająca większość trwała przy swoich facetach niezależnie od wyroku. Zostawiani byli oprawcy. Więzienie dawało ich ofiarom szansę na spokojne życie

No i kobiety były porzucane. Musiały być naprawdę kochane albo mieć szczęście do superfaceta, który by przy niej latami trwał i wspierał.

Tragedia nie zmienia stereotypu. Kobieta szukająca bliskości to dziwka. Natomiast dla faceta to przecież naturalne.

Paru facetów do niej pisało, a później poznała męża...

\*\*\*

Nagle oślepiło mnie światło.

– Wstawać, drogie panie! – wrzasnęła Oddziałowa.

– Jak to? Co się dzieje? – spytałam zdezorientowana. – Alarm? Nocne manewry? Rosjanie idą?

– Pobudka! Pani Wilkońska!

– Jak to pobudka? W środku nocy? W takim momencie opowiadania?

– Jest siódma rano!

Niemożliwe. Jak to? Z trudem otworzyłam oczy, żeby spojrzeć na zegarek. Jakby mi ktoś nasypał piachu pod powieki. Ludzie nie mają pojęcia, jak podłym miejscem jest więzienie. Jak ci, którzy tu przebywają, są traktowani i z jakim bestialstwem się człowiek spotyka.

– Zagadałaś mnie przez całą noc?! – zwróciłam się do Mariolki. – Jak mogłaś?!

– Sama chciałaś! – protestowała Mariolka, przecierając spuchnięte oczy. – Przecież ja też przez ciebie nie spałam!

– Pani Oddziałowa – kontynuowałam. – Ja poproszę o zwolnienie z dzisiejszego dnia. Ja przez nią nawet oka nie zmrużyłam!

Niewzruszony, pozbawiony empatii oprawca w mundurze stał obok drzwi i czekał, aż udamy się na poranne liczenie. A ja byłam taka roztrzęsiona. Nawiedziła mnie nedorzeczna myśl, że i Henryk mógłby mnie porzucić tylko z tego powodu, że skończyłam w kryminale. A przecież to żadna wielka rzecz. Może powinnam w wolnej chwili napisać do niego list. Pewnie jest ciekaw, co u mnie słychać, czy wszystko dobrze, czy zwiedzam, poznaję ludzi, czy pokój mamy ładny, czy jedzenie dobre, czy są zabiegi i program kulturalny.

– Pani Oddziałowa – zwróciła się do niej Mariolka. – Gdzie jest Flaszka?

– A co cię to interesuje? – odpowiedziała.

Mogła wiedzieć, a mogła też udawać, żeby nie wyszło na jaw to, że nie wie, co dzieje się na jej oddziale. W czasie, który spędzała z nami, miałam wrażenie, że ona także jest skazana. Skazana na przebywanie z nami. Niektóre z nas były nie do zniesienia. Roszczeniowe, pyskate, a Oddziałowa musiała z nami się użerać. Tyle że potem ona wracała do domu. My nie. Za to ona wracała zapewne do rozdartych dzieciaków i naburmuszonego, wiecznie głodnego męża, który nie doceniał jej pracy i uważał, że po robocie powinna go obsługiwać. Po całym dniu z nami odpoczynek się jej należał. My go miałyśmy. Leżałyśmy na kojach,

piłyśmy czaj albo robiłyśmy coś innego, ale na pewno całkowicie bezsensownego i nieproduktywnego.

Może należała się jej chwila przyjemności.

– Zjrzy pani do nas po obchodzie, pani Oddziałowa? – spytała ją Mariolka spokojnym głosem.

Oddziałowa spojrzała na nią, jakby chciała wy badać jej intencje.

– Po co? – odpowiedziała. – Jak się pani nudzi, to mogę pani znaleźć zajęcie.

– Chciałam porozmawiać – podeszła i niemal chwyciła ją za rękę. W ostatniej chwili się wycofała.

– Niby o czym? Nie mamy o czym rozmawiać.

– Bardzo proszę.

Oddziałowa spojrzała niepewnie na Mariolkę.

– Zobaczą, co da się zrobić – powiedziała Oddziałowa i wycofała się na peronkę.

– Dziękuję – odpowiedziała Mariolka.

– Nic nie obiecuję.

Skoro nic nie obiecała, to nie powinnyśmy być zaskoczone tym, że słowa nie dotrzymała. A jednak byłyśmy.

Oddziałowa odprowadziła mnie pod celę. Tam ponownie zaczęła ją nagabywać Mariolka.

– Odejdź, ja się tym zajmę – powiedziałam szorstko do Mariolki, odpychając ją ręką.

„Odpychając” to złe słowo. Ręka by mi uschła, zanimbym jej dotknęła. Sama siebie przesunęłam, ale i tak byłam odważna i zdecydowana.

– Proszę, pani Oddziałowa – zwróciłam się uprzejmie do naszej strażniczki. – Proszę wejść, mamy pyszny poczęstunek.

Mariolka podniosła brwi, dziwiąc się w nieco teatralny sposób.

– No tak, tak, zapraszamy – potwierdziła Mariolka. – Czym chata bogata. Pełna lodówka.

Oddziałowa spojrzała na nas niepewnie.

– Nie wiem, co tam kombinujecie, drogie panie – stwierdziła, gładząc się po krągłych biodrach. – Ale ja nie mogę za dużo zjeść. Dbam o linię.

– Ależ niepotrzebnie! – powiedziała z serdecznym uśmiechem Mariolka.

– Oczywiście, że niepotrzebnie! – dołączyłam. – Z tymi krągłościami pani do twarzy!



Spojrzały na mnie dosyć krytycznie.

– Jakimi krągłościami?! – oburzyła się Mariolka. – Pani Oddziałowa jest tak chuda, że gdyby miała pani zagrać w filmie o obozie, to musiałaby do roli przytyć!

– Proszę wejść, zapraszamy!

Uśmiechnęła się skromnie.

Weszła.

Nie wiedziała, jak się zachować. Zrobiła kilka kroków w stronę łóżek, zrzucając niedbale nogami. Ukrywała skrępowanie tym, że przyjmując zaproszenie, pozbawiła się dystansu, wyższości i pozycji władzy. Stała między łóżkami niemal jak koleżanka. Nie wiedziała, jak się zachować. My też nie wiedziałyśmy.

– Niech pani Oddziałowa usiądzie – zaproponowałam.

– Dziękuję, postoję – odpowiedziała.

– Szkoda męczyć nogi.

– Co to za sprawa? O co chodzi?

– Chciałyśmy porozmawiać... pogadać... – zaczęłam rzeczowo i zdecydowanie. – Bliżej się poznać... nawiązać relację...

– Mówicie albo wychodzę. – Doskonale wyczuła moje dobre intencje.

Mariolka była niebezpiecznie spięta. Uśmiechnęła się, jakby dostała szczękościsku. Miałam wrażenie, że mnóstwo emocji w niej wzbiera i krew napływa jej do twarzy. Nieświadomie zacisnęła pięści i wodziła wzrokiem za Oddziałową, jakby chciała zaraz huknąć ją w czaszkę, powalić na ziemię, skopać. Nie wzięłam pod uwagę, że Mariolka mogła znać tylko takie metody rozmowy i pozyskiwania informacji.

– Chwileczkę – powiedziałam. – Gdzie się podziały moje maniery? Już podaję poczęstunek.

Widząc, że nie patrzą, sięgnęłam do skrytki.

– Mam! – krzyknęłam radośnie.

Wyciągnęłam nieco pomiętą papierową torebkę. Uśmiechnęłam się szeroko, pokazując chyba wszystkie zęby.

– Proszę się częstować – zwróciłam się do Oddziałowej. – Domowej roboty.

Otworzyłam torebkę i podsunęłam Oddziałowej.

– Jak to domowej roboty? – Zaśmiała się. – Chyba ich tu pani nie upiekła?

– Nie wyglądają zbyt apetycznie – zauważyłam – ale to, czym nas częstujecie, też nie wygląda, a jemy i nie wybrzydząmy.

– Dobrze, spróbuję – rzekła, sięgając po ciasteczko. – Ale zaraz potem wracam do pracy. Nie powinno mnie tu być.

Ugryzła. Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Niezłe – stwierdziła.

Mariolka podsunęła jej krzesło. Usiadła.

– Hmm – westchnęła. – Z ciekawym posmakiem. Chętnie się jeszcze poczęstuję. Są całkiem niezłe.

– Proszę bardzo. Na zdrowie – powiedziałam. – Bo widzi pani, chcieliśmy zapytać o naszą koleżankę, Flaszkę.

– Aha, aha – odpowiedziała, napychając usta ciastkami.

– To dla nas bardzo ważne – dodała Mariolka. – Martwimy się.

Jadła i jadła, potakując i chrząkając. Czekałyśmy cierpliwie, aż zwolni usta i będzie mogła coś powiedzieć.

– Nie mogę wam nic powiedzieć – stwierdziła w końcu, przełykając głośno. – Nie udzielam informacji na temat osadzonych.

– Jak to nic pani nie powie?! – krzyknęłam, odsuwając się. – Ale ciastka to zezreć pani mogła?! Popatrz, Mariolka, całą torebkę pani wpieprzyła! A żeby pani w tyłek poszło!

Mariolka zaniemówiła.

Zrobiło się trochę niezręcznie, bo ewidentnie popełniłam błąd. Niepotrzebnie zaproponowałam poczęstunek, skoro wyraźnie Mariolka miała zamiar ją po prostu stłuc.

Tymczasem Oddziałowa poczerwieniała na twarzy i dostała jakiejś osobliwej zadyszki. Przez chwilę nie mogła złapać oddechu. Wydymała policzki, wytrzeszczyła poczerwieniałe oczy i aż się zginała w pół. W napięciu czekałyśmy na kulminację jej reakcji.

– Buuuu... Ha, ha, ha! – Nagle Oddziałowa wybuchła śmiechem.

Spojrzałyśmy na siebie z Mariolką.

Czyżbym w końcu spotkała osobę, która nie obraża się od razu z byle powodu? Musiała mieć do siebie dystans. Zrozumiała zapewne, że moje uwagi były wyłącznie dla jej dobra.

– Pokaż tę torebkę – poprosiła Mariolka.

– Nie ma mowy – odpowiedziałam.

Sama zabrała, ale akurat nie miałam ochoty na konfrontację. Po nieprzespanej nocy czułam, że mogę nie mieć wystarczająco siły. Była ode

mnie nieco młodsza, uprawiała sport i regularnie się odżywiała, ale to nie oznaczało, że była ode mnie silniejsza. Dam jej popalić, ale nie dzisiaj.

– Skąd to wzięłaś? – spytała podejrzliwie.

– A ty to co? – odpowiedziałam. – Święta jesteś? Za dobre serce się tu znalazłaś?

Do czego to doszło, żebym musiała wysłuchiwać od kryminalistów? A patrzyła na mnie, jakbym to jej przyjaciółkę zjadała.

– Nie miałyby nic przeciwko temu – stwierdziłam. – A kto wie? Może nie żyje? Chciałam, żeby się nie zmarnowały.

– Chyba cię zaraz trzepnę – wycedziła przez zęby.

I pewnie by tak zrobiła, gdyby nie to, że Oddziałowa wstała, wzniosła ręce i buńczucznie zadeklarowała:

– Jestem Jezus!

Spojrzałyśmy na nią.

– O matko – zdziwiłam się. – Ale jej cukier skoczył!

– Nie wiedziałaś, że w ciastkach było zioło? – spytała Mariolka.

– Marihuana?

Spojrzała na mnie nieprzychylnie.

– Nie wiedziałam. Macie jeszcze trochę?

– O nie! Ty i bez tego jesteś wariat!

– He, he, he... – Oddziałowa cały czas się śmiała.

Mariolka westchnęła ciężko i powoli podeszła do okna. Pielęgnowała w sobie odruchy z wolności i mimo zamontowania w oknach półprzezroczystego pleksi udawała, że patrzy w dal. A mogła się wpatrywać co najwyżej w pajęczynę.

– No to mamy kłopot – stwierdziła.

– Że Flaszce ciastka wyjadłyśmy? – spytałam.

– Hi, hi, hi – włączyła się do rozmowy Oddziałowa. – Pewnie już nie wróci... Hi, hi, hi...

Po chwili opuściła głowę i za moment zaczęła głośno chrapać.

– Słyszałaś ją? – spytałam Mariolkę.

– Śmiała się cały czas – odpowiedziała.

– Powiedziała coś o Flaszce. Że już nie wróci.

– Co? – zdziwiła się Mariolka.

Podeszłyśmy do Oddziałowej.

– Halo, pani Oddziałowa – powiedziałam głośno.

Mariolka podniosła jej głowę. Spała jak bobas przy cycu.

– Halo, co pani Oddziałowa powiedziała o Flaszce? – spytałam.

Trzask! Mariolka chlasnęła Oddziałową w twarz.

– O Boże! – Przebudziła się nagle, łapiąc za policzek. – Co się stało?!  
Boli!

– Przewróciła się pani Oddziałowa i uderzyła w twarz – wytłumaczyła Mariolka.

– Nie dokończyła pani mówić o Flaszce – poinformowałam. – Dlaczego miałyby nie wrócić?

– Ale boli. – Oddziałowa pocierała zaczerwieniony policzek. – Hi, hi, hi...

– Co z Flaszka?

– Słyszałam o planach ucieczki – odpowiedziała.

– Szlag! – krzyknęła Mariolka. – Z zakładu?

– Hi, hi, hi...

– Niech się pani Oddziałowa skoncentruje, bo przyłożę pani z drugiej strony!

Spojrzałam znacząco na Mariolkę. Zrozumiała.

– Niech się pani tak nie śmieje, bo się pani znowu przewróci.

– Ucieczki z zakładu się nie zdarzają. Osadzone uciekają z pracy poza murami. Jeden wiceminister, oczywiście bez żadnego przygotowania, wymyślił, żeby więźniowie pracowali, ale za tym nie poszły żadne pieniądze na strażników. Nigdy w powojennej historii Polski nie było tylu ucieczek.

– Jaki to wiceminister? – spytała Mariolka.

– Jaki – odpowiedziała Oddziałowa.

– Jaki?

– Jaki.

– Nie jaki, tylko który – poprawiłam Oddziałową.

– Nie który, tylko Jaki – odpowiedziała.

– Odpuść jej – przerwałam. – Po prostu nie wie.

– Musimy ją przetrzymać, dopóki nie dojdzie do siebie – odpowiedziała Mariolka. – Nie może wyjść spod celi w takim stanie.

– Buuu... Ha, ha, ha... – Oddziałowa wybuchła śmiechem.

– Niedługo zaczną jej szukać. Jeżeli znajdą ją w takim stanie, to nie wyjdziemy z izolatki w tym stuleciu.

– No to kłopot.

– Mamy czas najwyżej do obiadu. Zastanówmy się, co zrobić.

Oddziałowa była w nie najlepszym stanie. Wstała, wyciągnęła ręce przed siebie i wbiła pełen obłędu wzrok w ścianę.

– Widzę przyszłość – stwierdziła. – Niemcy wypłacają reparacje, za które w końcu kupujemy Madagaskar. Polska staje się największym eksporterem ropy, gdy medialny magnat z Torunia dowierca się do złóż po drugiej stronie ziemi. Członkowie OPEC wymuszają na nim zmianę wiary i mianują sułtanem z racji największego haremu. Równie samotna brytyjska królowa przyjmuje oświadczyń znanego hodowcy kotów, wyprowadza się z pałacu i zamieszkuje razem na warszawskim Żoliborzu. Wygasają konflikty na świecie i nastaje pokój. *Klan* wyprzedza *Wiedźmina* na Netfliksie, a Rysiek dostaje Oscara.

Potem zaczęła bełkotać niedorzecznie i niezrozumiale, aż w końcu zachwiała się, opadła na taboret i zasnęła w tej pozycji.

– Jeżeli marihuana tak działa – zauważyłam niepewnie – to może nie powinno się jej legalizować.

– Coś musiało zostać w maszynie. Jakies śladowe ilości – odpowiedziała Mariolka. – Wiesz, jak się teraz produkuje. Taniość rządzi.

W tym momencie usłyszałyśmy kroki z peronki, zaraz potem otworzył się wizjerek. Nie zdążyłyśmy się nawet uśmiechnąć szeroko, żeby pokazać, jak bardzo u nas wszystko jest w porządku, gdy usłyszałyśmy klucz wkładany do zamka.

– Co teraz? – spytała Mariolka.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Trzeba ich jakoś zatrzymać.

– Nie ma na to sposobu.

– Powiedz, że jesteś nago – zaproponowałam.

– No co ty? – odpowiedziała. – To erotomani. Jeszcze szybciej się tu władują, i to całym szwadronem.

– Na pewno nie – stwierdziłam. – Proszę nie wchodzić! Jestem nago!

Chwilę jeszcze było słycać chrzęst zamków i trzaskanie przesuwanych skobli. Potem cisza i stłumiona rozmowa.

– Proszę się ubrać – zawołał męski głos zza drzwi.

– A nie mówiłam? – zwróciłam się do Mariolki. – W ogóle nie są zainteresowani kobietami!

– Wejdą tu prędzej czy później – odpowiedziała. – Wszystko przez ciebie. Już się pewnie nie zobaczymy. I dobrze.

– Przestań, wyjdziemy z tego. Nie wymiękaj. Coś wymyślę.

– Daj spokój. Są za drzwiami. Nie wywinimy się z tego.

Popatrzyłam na nią. Prawie całe życie w więzieniu. Nastoletniość, pierwsza, druga i trzecia młodość. Jeszcze była piękna, ale już zapewne nieraz myślała o tej części życia, która pozostała przed nią. Dla niej była to wielka niewiadoma. Dla mnie już nie.

Mariolka nie wiedziała, że życie zaczyna się po sześćdziesiątce. Świat już niczego od nas nie wymaga. Dzięki odrobinie upierdliwości uwalniamy się od dzieci i w końcu jesteśmy wolni. Możemy wszystko. Nie dotyczą nas żadne ograniczenia ani zasady.

Tego Mariolka nie wiedziała. Niepotrzebnie się martwiła.

– Panie strażniku – zawołałam do szpary w klapie.

– Na podłogę i ręce na głowę! – odezwał się mocny męski głos z tamtej strony. – Zaraz wchodzimy.

– Proszę zawiadomić oficera dyżurnego, że to jest bunt, mamy zakładnika i jeżeli wejdziecie do celi, Oddziałowej stanie się krzywda.

Nastąpiła chwila ciszy, która zapewne zwiastowała naszą wygraną. Oczami wyobraźni widziałam przestraszone gęby gamoni, którzy nie mieli żadnych szans w starciu ze specjalistą od porwań wielkiego formatu.

– Nie będzie żadnego buntu! – odezwał się strażnik zza drzwi.

– Jak to? – spytałam. – A to dlaczego?

– Za pięć minut kończę zmianę, a jak się spóźnię na pociąg, to zamkną budę z mięsem i żona łeb mi urwie. Wezwałem Antantę. Liczę do trzech. Odsunąć się od drzwi. Wchodzimy.

Spojrzałam na Mariolkę.

– Jeżeli wejdzie Antanta – zawołała Mariolka – to im jaja pourywamy! Przysięgam, że to zrobimy!

– Skrzywdzimy Oddziałową! – krzyknęłam do szpary w drzwiach. – Będzie wyc z bólu!

W odpowiedzi usłyszałam głucho dudnienie ciężkiego przedmiotu o stalowe drzwi. Najwyraźniej zamierzali je wyważyć.

– Wyślemy ostrzeżenie – stwierdziłam.

– To znaczy? – spytała Mariolka.

– Filmów nie oglądasz?

– Jakoś mi nie po drodze do wypożyczalni – zakpiła.

– Nie ma już wypożyczalni.

– Nie wiedziałam. Szkoda.

Posmutniała. Życie poza murami toczyło się bez niej. Świat, który pamiętała, powoli przestawał istnieć, a ona nawet o tym nie wiedziała.

– Żadna strata – podsumowałam. – Kto z tych wypożyczalni korzystał? Tarantino? Co to za kino? Przekleństwa, krew i flaki... Chociaż to niezły pomysł. Będziemy Oddziałową torturować.

– Świetna myśl! – zgodziła się Mariolka.

Spojrzałyśmy na Oddziałową z entuzjazmem. Ona go nie podzieliła. A nawet wprost przeciwnie. Zdawało się, że zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością, bo w momencie, gdy tylko Mariolka się do niej zbliżyła, zaraz dostała tików nerwowych, potem zerwała się i z wrzaskiem rzuciła na drzwi. Tam spędziła sporo czasu, tłukąc pięściami w stal, co przecież było całkowicie pozbawione sensu. A wiedziałyśmy to od niej. Mariolka podeszła, bo chciała poprosić, żeby przestała hałasować, ale wtedy rozpętało się piekło. Oddziałowa zaczęła piszczeć tak, że musiałyśmy zatkać uszy. Nie byłyśmy w stanie nawet zacząć tortur, bo Oddziałowa oszalała. Na szczęście wkrótce ponownie straciła przytomność, uwalniając nas od swojego przykrego i żenującego towarzystwa.

– Pani Wilkońska! – odezwał się głos zza drzwi.

– Tak? – odpowiedziałam.

– Proszę nic nie robić do przybycia negocjatora!

Mariolka spojrzała na mnie.

– Musimy sformułować postulaty – stwierdziłam.

– Okej – zgodziła się.

– Zajmij się tym, a ja się zdrzemnę.

– Teraz?

– Nikt nie krzyczy, nie szaleje, nie dobija się do drzwi. Czego chcieć więcej?

Położyłam się i poprawiłam twardą poduszkę. Wypełniali je chyba trocinami. Bardzo słusznie. Ekologicznie.

– Jakbyś mogła – zwróciłam się jeszcze do Mariolki – coś podpalić, zrobić trochę zamieszania, rozumiesz? Jakiś bałagan. Tak, żeby bunt wyglądał porządnie. Żeby wstydu nie było.

– W końcu zjaram to jebane pleksi – odpowiedziała.

– Dobrze. Jesteś bardzo uczynna.

Kładąc się na koi, widziałam jeszcze, jak Mariolka bierze kabel od suszarki używany wcześniej do gotowania wody i owija go wokół krat

stykających się bezpośrednio z pleksi.

Przymknęłam na chwilę oczy. Śniło mi się, że przyszła do mnie starość, ale nie było wcale tak źle. Dzięki sklerozie nie pamiętałam żadnych przykrych rzeczy. Dzięki słabemu wzrokowi i słuchowi nie widziałam i nie słyszałam chamstwa i brzydoty. A trzęsącą się ręką w końcu mogłam bezbłędnie wymieszać w herbacie całe pięć łyżeczek cukru!

To nie starość mnie dopadła. To ja się zatrzymałam. Zatrzymałam się i na nią poczekałam, więc mnie dogoniła. Straciłam pęd, energię i cel. Zakończyłam drogę. A życie to nic innego niż droga. Szczęście to dążenie i zbliżanie się do celu, a potem do kolejnego. Osiągnięcie czegokolwiek jest bardzo niebezpieczne. Najtwardsi tego nie wytrzymują. Rozpadają się na kawałki, szukają desperacko celu, ale go nie znajdują. I się kończą. W dramatycznych okolicznościach, a ich sponiewieranym ciałem karmi się tabletkowe robactwo.

Mnie śmierć jeszcze nie znalazła. To dlatego, że w więzieniu ciągle przemieszczają osadzone między celami. Trudno się zorientować, kto gdzie jest. Śmierć też tego nie ogarnia. Ale gdyby w końcu doczytała się w odpowiednim wykazie, to i tak mnie nie dosięgnie, bo właśnie wznieciłyśmy bunt i barykadujemy drzwi. Więc siedzi wściekła na peroncie, gapiąc się na funkcjonariuszy oddziału specjalnego zwanego Antantą. Kolejny raz, ulegając naciskowi przełożonych, wzięła nadgodziny, a mimo to nie udało się jej zdobyć ani jednego klienta. Inni szli na łatwiznę. Łamali zasady dla wyników. Brali, kogo popadnie, starych i młodych. Na przejściu dla pieszych. Gdziekolwiek. W izbie przyjęć. Ludzi, którzy jeszcze nawet u lekarza nie byli. Kiedyś to było nie do pomyślenia, ale świat się zmienił, przyśpieszył. Liczą się wyniki. Wszystkiego jest więcej i szybciej. Umierania też. Nikogo to nie powinno dziwić.

Obudziłam się jak zwykle. Bardziej zmęczona niż wtedy, gdy się kładłam. Odrętwiała, zlana potem, przerażona. Zza drzwi dobiegał kobiecy głos. Zimny, metaliczny, niezbyt przyjemny.

– Pani Wilkońska, żarty się skończyły – odezwał się tym razem kobiecy głos zza drzwi. – Pokazałyście, że macie coś do powiedzenia, że jesteście ważne. Zrozumieliśmy. Szanujemy wasze zdanie. Proszę, żebyście uszanowały pieniądze podatników i przerwały bunt.

Zbyt rzeczowo jak na śmierć. To znaczy nie wiedziałam, w jaki sposób przemawia śmierć, ale wydawało mi się, że ma gdzieś podatników.



Przecież każdy ma. Gdyby tak rząd musiał każdemu człowiekowi przysyłać rachunek, w którym wykazałby, że za jego pieniądze sfinansował ułamek etatu nauczyciela, lekarza, remont chodnika czy nawet mundur dla żołnierza, który strzeże nas przed nieistniejącym zagrożeniem, to taki podatnik czułby się szanowany. Ale co, jeżeli czyjś cały podatek idzie na zafundowanie lotu wojskowym samolotem dla syna marszałka Sejmu i jego znajomych? Nie ma się co dziwić, że nikt takiego podatnika nie szanuje, kiedy tak głupio wydaje pieniądze!

– Kim pani jest? – spytałam. – Skoro nie śmiercią.

– Więziennym psychologiem – odpowiedział głos. – Poznałyśmy się.

– Pamiętam. Młoda z małym biustem.

– Są tacy, którym taki się właśnie podoba.

– To prawda – przyznałam z rozrzewnieniem. – W tych krótkich chwilach, kiedy mężczyznom zależy na kobiecie, potrafią być wspaniałymi kłamcami.

– Będę z paniami rozmawiać, dopóki nie rozwiążemy sytuacji kryzysowej, która nikomu nie jest na rękę.

Mariolka spojrzała na mnie.

– Dobra jest – zauważyła – ta psycholka.

– Naprawdę? – powątpiewałam. – Niby w którym momencie?

– Ma rację z cyckami.

– Nieprawda.

– Duże są już niemodne.

– A co jest?

– Tyłki.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że tak. Chodzi o pieniądze. Powiększanie cycków jest kosztowne i wymaga operacji, a świetny okrągłutki tyłek możesz mieć za darmo. Wystarczy pięćdziesiąt, sto przysiadów dziennie. Spójrz na mój.

Mariolka lekko ugięła jedną nogę, wypinając zadek.

– Jak ci się podoba? – spytała rozpromieniona.

– Wybacz. Na pewno jest bardzo ładny i wartościowy, ale nie czuję się na miejscu, żeby to ocenić.

– Ale jesteś... Zazdrościsz, i tyle.

– A skąd. Dlaczego miałabym zazdrościć? Jak tylko z tego wyjdziemy, to ostro pociśniemy przysiady. Dlaczego nie miałabym też mieć takiego?!

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Lekki toksyczny smrodek tłętego się pleksi dodawał sytuacji znamion egzotyki i przygody. Poczułam coś bardzo dziwnego. Małe, całkiem przyjemne łechtanie i ciepło w okolicy serca, a Mariolka wydała mi się miłsza, szczuplejsza i ładniejsza. Wystraszyłam się. Zaczęło się! Tylko nie to! Więzienna miłość! Co sobie ludzie pomyślą?!

– Namyślacie się? – dobiegł zza drzwi głos więziennej psycholog.

– Tak – odpowiedziałyśmy.

– Masz postulaty? – spytałam konspiracyjnie Mariolkę.

Wzięła ze stolika zapisaną ołówkiem kartkę.

– Mam – powiedziała – ale nie wiem, czy to nie za dużo. Rozumiesz, żeby nie przesadzić.

– Najwyżej coś odejmiemy. Czytaj.

– To czytam. Nasze żądania to: dwa serki homogenizowane, krem waniliowy sztuk dwie, mascara do rzęs, szminka marki premium kolor marengo, puchowa kołdra, antyalergiczna poduszka... i jeszcze... ekspres do kawy... na kapsułki...

Spojrzała na Wielką Jolkę, która przez cały czas niestrudzenie dziergała majtki.

– Dopisałabym jeszcze ze dwa kłębki wełny – dodała, uśmiechając się niepewnie.

– Czyś ty na głowę upadła?! – krzyknęłam, bo już dawno takiej głupoty nie słyszałam.

– Za dużo? – spytała. – Przesadziłam?

– Przeciwnie! Przecież to nie są żadne żądania, tylko jakiś żaloszny list do Świętego Mikołaja, i to takiego, który przychodzi do domu dziecka. Przecież my robimy poważny bunt! Mamy zakładniczkę! Szanujmy się!

– Nie mam doświadczenia, a ty się ciągle tylko czepiasz.

– Pisz! – Podsunęłam jej kartkę. – Cztery! Serki homogenizowane. Cztery! Kremy waniliowe. Cztery mascary i szminki! Dla każdej po dwie kołdry i poduszki. I każdej po ekspresie do kawy!

Byłam jak natchniona. Mówiłam z taką energią i przekonaniem, że niemal widziałam już nasze zwycięstwo. Mariolce aż szczęka opadła.

– I nie żadne dwa łyse kłębki wełny, tylko całą owcę albo dwie. Na terenie zakładu jest mnóstwo trawy. Nie trzeba będzie kosić, a my będziemy samowystarczalne surowcowo. Tak się robi.

– Poradzimy sobie z tymi owcami?

– Jak będzie za trudno, to zrobimy jak dobry gospodarz. Do produkcji własnego surowca będziemy dopłacać, a cichcem na boku będziemy kupować taniej od wrogów. Powiedzmy, od strażników.

– Świetny pomysł!

– Niestety nie mój.

Wsunęłyśmy kartkę w szparę pod drzwiami i natychmiast przykleiłyśmy uszy do metalowej powierzchni.

– Słyszysz coś? – spytałam Mariolkę.

– Chyba coś szepczą? – odpowiedziała.

– Zgodzą się?

– W razie czego mogę zrezygnować z jednej poduszki.

– Jeszcze się z tym wstrzymaj.

Po chwili rozmowy na korytarzu ucichły i odezwała się więzienna psycholog.

– Chcę wejść! – krzyknęła.

– Wejść? A po co? – zapytałam. – Tu nikt nie chce wejść. Każdy chce tylko wyjść.

– Nie mogę rozczytać waszych bohomazów – odpowiedziała.

– Nabazgrałaś – zrugalam Mariolkę. – Musiałaś wszystko zepsuć.

– Napisałam wyraźnie – upierała się. – Przestań się mnie czepiać.

– Poproszę o kartkę. Napiszemy jeszcze raz – stwierdziłam.

– Chcę wejść. Porozmawiamy. Na pewno się dogadamy.

– A jeżeli nie?

– To zrywam negocjacje i bierzemy celę siłą.

– Nawet z Oddziałową w środku?

– Nie jest cywilem. Ryzyko ma wpisane w zawód.

– No to rzucam zastawkę, że weźmiemy ją na piśniczoty – truknęłam profesorską gadkę jak stary garuch. – I tak jej wrzucimy na garba, że siądzie na klapę, aż szkitami do przodu z komnaty wyjdzie!

– Wysłaliśmy już funkcjonariusza po pani męża i syna! – zawołała z za drzwi.

– Ha! Kiepska próba! – odpowiedziałam hardo. – Nie zmięknię z tego powodu! Nigdy nie otworzymy tych drzwi!

– Nie chcemy pani zmiękczyć. Pani najbliżsi zostaną obciążeni kosztami akcji służby więziennej, policji i pogotowia. To bardzo duże kwoty. Trzeba wziąć kredyt, którego spłata dotknie nawet pani wnuki. Proszę mi wierzyć, że kredyt zniewala bardziej niż więzienie.

Westchnęłam ciężko.

– Musimy natychmiast otworzyć te drzwi! – zwróciłam się do Mariolki.

– Nie ma mowy! – odpowiedziała Mariolka jeszcze nie całkiem przekonana. – Zamęczą nas! Dołożą do wyroków! Pozamykają nas do izolatek! Nie wiadomo, co jeszcze z nami zrobią!

Nasza dobrze zapowiadająca się rebelia po krótkim wzlocie niespodziewanie szybko weszła w fazę schyłkową. Przez to całe nudne gadanie zniknął romantyzm i dobra zabawa. Straciłyśmy entuzjazm i miałyśmy wręcz ochotę rzucić w cholere cały ten bunt.

– Wejść, porozmawiamy i się dogadamy – mówiła zza drzwi psycholog.

– To wasza jedyna szansa.

– Z nimi wszystkimi za drzwiami jesteśmy jeszcze bardziej uwięzione – zauważyłam. – Sprawdźmy, co proponuje. Nie musimy się na nic zgadzać.

Zdemontowałyśmy barykadę. To znaczy odstawiłam krzesło, na którym siedziałam, zastawiając drzwi, i dałam znać, że można otworzyć.

– Niech pani wchodzi – zawołałam.

– Tylko sama! – dodała Mariolka.

Natychmiast zachrzęściły zamki, trzasnęły zasuwki i drzwi się otworzyły. Drobną blondyneczką wpadła z impetem. Nie dlatego, że jej się aż tak do nas śpieszyło, ale dlatego, że wepchnęło ją dwóch antyterrorystów, którzy wskoczyli za nią.

Chwyciłyśmy drzwi, żeby je jak najszybciej zamknąć, ale było za późno. Wpadli do celi zaraz za więzienną psycholog. Wyglądali jak wolontariusze przychodzący do szpitali dziecięcych w przebraniach bohaterów z *Gwiezdných Wojen*. Jeden był całkiem postawny, drugi sporo niższy i chudszy. Mieli na sobie ze sto kilo żelastwa i sprzętu. Nawet oczu im nie było widać zza masek.

– Miała pani być sama! – krzyknęłam.

– Nic takiego nie mówiłam – odpowiedziała.

– Ale tak wynikało z kontekstu.

– Są dla mojego bezpieczeństwa.

– A co niby miałyby się pani stać?

– Przecież torturowałyście Oddziałową. Wyła z bólu.

Antyterrorysty ze specjalnej jednostki zwanej Antantą stanęli tymczasem naprzeciwko nas i się przyglądali. Zrobiło się jakoś niezręcznie. Choćby kawałka sernika nie miałyśmy, żeby ich poczęstować.

– No to jesteśmy – zakpił wyższy. – I co? Jaja nam pourywacie?

– To ten bunt? – spytał niższy. – Dwie laski i staruszka?

Mariolka uśmiechnęła się, ugięła nogę i wypięła tyłek dokładnie tak jak wtedy, gdy prezentowała go mnie.

– Tylko dwie laski – odpowiedziałam. – Bo Oddziałowa przecież nie bierze udziału w buncie. Poza tym nie jest wcale taka stara. Zmęczona po prostu, a światło niekorzystne.

Spojrzeli po sobie.

– Co tacy zdziwieni? Niedługo zaczynamy z koleżanką program na pośladki. Jak on się nazywał? Brazylijska pupa.

Zaśmiali się.

– Skąd ty znasz takie nazwy? – spytała Mariolka.

– Był w klubie seniora, ale zapisali się sami panowie, więc nie ćwiczyłam.

– Dobrze, drogie panie, kończymy to zamieszanie – powiedziała psycholog chowająca się za plecami uzbrojonych olbrzymów.

– Wszyscy grzecznie opuszczamy celę – powiedział ten wyższy. – Żebyśmy nie musieli użyć siły.

Przychodzą takie chwile w życiu, kiedy bardzo by się chciało roztrzaskać jeden lub dwa zakute łby. Nawet gdy nie jest to łatwe, bo znajdują się w stalowych hełmach. Nie powinno się wtedy poddawać i rezygnować w obliczu trudności.

– A skoro mowa o sile, to może byście się panowie do czegoś przydali? – spytałam. – Nie wyglądacie wprawdzie na zbyt silnych, ale może we dwóch dalibyście radę.

Spojrzeli po sobie.

– A o co konkretnie chodzi? – spytał niższy.

– Szydełkowałyśmy... – zaczęłam, ale obaj się zaśmiali. – Szydełkowałyśmy i jakoś tak się dziwnie stało, że jedno szydełko się wymysknęło i wbiło niefortunnie w pleksi między kratami.

– Że jak?! Gdzie?! – Śmiali się obaj, patrząc na drut zaklinowany pomiędzy kratami.

– Dobra, nie było tematu – powiedziałam obrażona. – Same sobie poradzimy.

– Z niczym sobie same nie poradzicie, bo za wzniesienie buntu pójdziecie do izolatki – stwierdził większy. – Wyjmiemy drut, bo nie może

tak sterczeć w kratkach. To nieprzepisowe. I kończymy ten cyrk. Szkoda czasu.

Machnął niedbale ręką na drugiego, co oznaczało, że tamten ma wykonać zadanie. Zwolniłyśmy alejkę, bo przy sześciu osobach w dwuosobowej celi, w której i tak na co dzień mieszkają cztery, to już w ogóle nie ma się gdzie ruszyć. Po kolei musiałyśmy się wycofać w kierunku drzwi, żeby tamten mógł dojść do okna, a i tak szedł bokiem, boby się w barach nie zmieścił. Chwycił drut, odwrócił się i już miał całą sytuację złośliwie skomentować, gdy nagle zaczął się fatalnie jękać.

– To... to... to... ła... ła... ła... – dukał jak minister finansów na obronie licencjatu.

– Krzysztof, co się dzieje? – spytał wyższy.

– To... to... ło... ło...

– Co ty pierdolisz?

– To z przeciążenia – stwierdziłam. – Za ciężko.

– Za ciężko?! – burknął. – Dawaj to, bo mi się śpieszy.

Najwyraźniej nie uważał w szkole, gdy nauczyciel tłumaczył, że nie należy dotykać człowieka porażonego prądem. Trzeba odciągnąć go, używając przedmiotów niebędących przewodnikami, lub odłączyć źródło zasilania. Idiota.

Popatrzyłyśmy jeszcze chwilę na ich taniec, bo tak pięknie przebierali nogami jak prezydent na dożynkach.

Natomiast gdy tylko zaczęło się dymić spod metalowych hełmów, to natychmiast, ale to natychmiast wyłączyłyśmy kabel z gniazdka. Trzeba było przecież ludzi ratować. Jako jedyna myśląca osoba chwyciłam i pociągnęłam za wtyczkę. Zwalili się nieprzytomni na podłogę jak parlamentarzyści w hotelu poselskim.

– No to teraz mamy już kompletnie przejebane – podsumowała Mariolka.

## Rozdział 10

Cóż tu wiele mówić, atmosfera pod całą faktycznie stała się nie do zniesienia. Zrobiło się bardzo ciasno i nieprzyjemnie. Przestałam się czuć komfortowo i bezpiecznie. Nie dało się ani usiąść, ani nawet przez chwilę zebrać myśli. Co jednak najważniejsze, musiałyśmy działać w sprawie Flaszki. Niestety, wolności zabrakło dla nas obu. Wolna mogłam być albo ja, albo ona. Musiałyśmy po nią iść.

– Zdemontujemy barykadę! – krzyknęłam przez szparę w drzwiach. – A wy otwórzcie drzwi. Wypuścimy waszych kolegów. Odeślijcie ich do szpitala, bo nieźle im się oberwało. Jeżeli spróbujecie wejść, to ucierpi Oddziałowa, a jeżeli już wam jej nie szkoda, to ucierpi również pani psycholog! Zrozumiano?!

– Nie wykonujemy poleceń osadzonych – odpowiedział głos z drugiej strony.

– Pani psycholog, niech pani coś powie – zwróciłam się do niej. – Przecież widzi pani, że koledzy są w złym stanie.

– Zróbcie, co powiedziała! – krzyknęła. – Mówi prawdę. Dwóch funkcjonariuszy doznało obrażeń. Muszą trafić do lekarza.

– Tak jest! – odpowiedział głos z drugiej strony. – Otwieramy!

– Nie, zaraz, chwila! – zawołałam. – Teraz jestem naga!

– Znowu?!

Psycholog więzienny zakończyła reanimację swoich komandosów i spojrzała pytająco.

– O co chodzi? – spytała.

– Nie wiem, jak to ująć, ale gdy od pewnego czasu zaczęłam miewać rozmaite niebezpieczne przygody, towarzyszyły im zazwyczaj okazje do różnego rodzaju przebieranek. Pani tak nigdy nie miała? Jako psycholog może się pani z tym zetknęła?

Nachyliłam się nad leżącymi funkcjonariuszami i zaczęłam szybko i sprawnie rozpinać te ich pancerne kubraczki.

– Co robisz? – zaprotestowała Mariolka. – Zostaw ich. Zwariowałaś? Już im wystarczy.

Nie słuchałam jej, żeby się nie zarazić tym dekadentyzmem. Trzeba było działać, i to szybko. Dopiero gdy zaczęłam rozpinać im spodnie,

Mariolka poczuła, że jednak należy mi się pomoc. Zdjęliśmy im kamizelki, bluzy, spodnie, buty, hełmy i maski.

Psycholog rzuciła się do drzwi, ale zanim zaczęła krzyczeć, Mariolka wydała krótkie polecenie:

– Łap!

I niczym golem Wielka Jolka wybudzona z letargu podążyła za drobną blondynką i pochwyciła ją.

– Chyba lepiej nie krzyczeć? – spytała przestraszona psycholog ściśnięta w ogromnych ramionach Wielkiej Jolki.

– Zdecydowanie lepiej nie – potwierdziła Mariolka.

Wszystko, co im zdjęliśmy, musiałyśmy szybko same założyć. Ciekawe przygody często mają to do siebie, że zapowiadają się znacznie bardziej atrakcyjnie, niż później przebiegają. Podobnie było w tym przypadku. Buty śmierdziały starymi skarpetkami, w kamizelce nie dało się oddychać, w masce było gorąco, a hełm był okropnie ciężki.

– Otwierać! – krzyknęłam do strażników po tamtej stronie.

Odpowiedział ten sam co zawsze szczek zamków i zasuw. Wsparliśmy się na sobie niczym posłowie wracający z nocnego głosowania i precyzyjnie się przez uchylone drzwi.

Na peroncie spodziewałam się może kilku strażników, ale tutaj była ich cała dywizja pancerna. Korytarz był szczelnie wypełniony ludźmi i sprzętem. Nawet bufet sobie rozstawili. Tacy to tylko o żarciu myślą. To dzięki nam mieli całą tę atrakcję, a nam żadnego poczęstunku nie zaproponowali.

– Jak tam było w środku? – zapytał jeden z komandosów.

– Przejebane – odpowiedziała Mariolka swoim damskim głosem.

Spojrzała na mnie. Ja na nią. Zdekonspirowała nas i zawałiła cały plan.

Wszyscy zamilkli. Na całej peroncie nastała taka cisza, że słyszeć było, jak Mariolce z przerażenia waliło serce, a mnie bulgotało w pustym brzuchu.

Stało się coś zupełnie nieoczekiwanego, bo nie stało się nic. Jedni opuścili wzrok, inni patrzyli na nas z żalem i litością. Mężczyzna, który zadał wcześniej pytanie, poklepał Mariolkę po ramieniu.

Szarpnęłam ją.

Ruszyliśmy.

Przeczysnęliśmy się między komandosami i zgromadzonym personelem więzienia. Ludzie rozstąpili się, robiąc dla nas przejście. Gdy



zmierzaliśmy w stronę dyżurki, mundurowi zasalutowali. Dopiero gdy byliśmy już dalej, dobiegły nas wypowiedane szeptem komentarze:

- Zrobiły to!
- Nie do wiary.
- Barbarzyństwo.
- Zezwierzęcenie.
- I tak nieźle się trzymają jak na takie okaleczenie.
- Nieźle?! Jak dla mnie to się od razu skurczyli.

Było to najdłuższe kilkanaście metrów w moim życiu, a przecież zdarzało mi się nieraz pokonywać podobne odcinki nawet w bardzo trudnych warunkach. Na przykład wtedy, gdy Henryk zabrał mnie i naszego syna w góry. A były to czasy, gdy nie było jeszcze pasaży handlowych czy deptaków i urlop trzeba było spędzać na szlaku.

Nie było też SPA, ale zamiast nich jeszcze wygodniejsze schroniska. W SPA chyba nikt się nie cieszy, że dostał łóżko. A w schronisku owszem!

Tuż obok dyżurki natknęliśmy się na czarnoskórą kobietę w granatowej garsonce i wysokiego jasnowłosego brodacza z unijnej delegacji. Któryś z wysokich oficerów straży więziennej tłumaczył im, co się dzieje, próbując, jak się zdaje, zbagatelizować całe zajście.

Mariolka chciała zapewne, podobnie jak ja, jak najszybciej opuścić peronkę. Niestety, nie udało nam się. Popełniła trudny do wytłumaczenia błąd. Przechodząc obok jasnowłosego brodacza, klepnęła go w tyłek.

– *Oh Good!* – zawołał.

Widocznie nie spodziewał się takiego zachowania ze strony interweniującego podczas buntu komandosa. Trochę mi się zrobiło wstyd, a trochę przykro. Pomyślałam, że nie może być tak, żeby ktoś inny tak dobrze się bawił, a ja miałabym tylko obserwować i zazdrościć.

Spojrzałam na jasnowłosego brodacza, uśmiechając się enigmatycznie. Rzecz jasna czarna kominiarka i maska zakamuflowały skutecznie moje szelmowskie spojrzenie. Zawróciłam i szybkimi, drobnymi kroczkami podbiegłam do niego.

Wzięłam zamach i klepnęłam go w ten jego chudy zachodnioeuropejski tyłek.

Klap!

Aż się huk po korytarzu rozszedł.

– *Jesus Christ!* – krzyknął. – *What's the metter with You?!*

Pozostali komandos i oraz zgromadzony personel zakładu zareagowali bardzo różnie. Jedni łapali się za głowy, inni zakrywali twarze, komentując między sobą:

- O kurwa.
- Dlaczego?
- Nie mogę patrzeć.

Ale żaden już nie zdecydował się pójść w nasze ślady. A szkoda. Na pewno w ten sposób ociepliliby wizerunek swojej formacji.

– Idźcie prosto do lekarza, chłopaki – polecił nam najwyższy rangą oficer straży.

Już miałyśmy się puścić biegiem schodami, gdy usłyszałyśmy znajomy głos.

- Zaczekajcie! – zawołał Mojżesz. – Odprowadzę was.

Chwycił nas mocno pod pachami, tak jak trzyma się rannych kolegów. Mariolkę przy tym bezwiednie złapał za cycki. Westchnęła cicho i natychmiast odruchowo wczepiła się palcami w jego kark. Musiał poczuć się nieco skrępowany tym, że przytula się do niego kolega.

– Krzysztof... – zwrócił się w końcu do Mariolki, gdy ta zaczęła przeczesać palcami jego włosy. – To dziwne. Przestań.

Patrzyłam zaniepokojona na rozwój sytuacji. Nie pomyślałam o tym, że być może niektórych więźniów nie należało wypuszczać na wolność. Mariolka była właśnie taką osobą. Nieprzystosowaną społecznie, groźną. Wypuściłam z klatki wygłodniałą lwicę, która już upatrzyła sobie ofiarę.

To się nie mogło dobrze skończyć.

I dobrze się nie skończyło.

Mojżesz otwierał sprawnie kratę za kratą. Wiedział już wtedy, że należało nas jak najszybciej odstawić do punktu medycznego. Niestety, nie pomogło mu to. Natury ludzkiej nie sposób oszukać. Zabranie Mariolki na ucieczkę okazało się wielkim błędem. Za długo siedziała w celi. Była skazą na genialnym planie. Pęknięciem, które z czasem miało doprowadzić do zatopienia całego przedsięwzięcia.

Gdy byliśmy już niedaleko gabinetu Mojżesza, Mariolka zaplotła ramiona na jego szyi w taki sposób, że nie mógł oddychać, i pociągnęła go do środka. Podduszony nie był w stanie wezwać pomocy. Zdążyłam tylko wyszeptać chrapliwym głosem:

- Nie zdejmuj maski.

Skinęła porozumiewawczo.

Stało się to, co być może nie powinno, a jednocześnie musiało się stać. Nie byłam do końca pewna, bo prawdopodobnie i ja zbyt wiele czasu spędziłam w zamknięciu.

Mariolka na tyle skutecznie poddusiła Mojżesza, że ten nie mógł się bronić. Próbowałam naśladować jej ruchy, żeby może też w przyszłości w razie nagłej potrzeby umieć sobie poradzić, ale ona chyba miała ręce z gumy. Moje oczywiście także były jak z gumy, ale najwyraźniej w PRL-u nie było jeszcze tak dobrych materiałów.

Mojżesz padł na ziemię, trzymając się za krtań. Nie dała mu odetchnąć. Rzuciła się na niego, a ja poczułam w sobie niezdrową ciekawość. Chwilę z tym walczyłam, ale ileż człowiek może walczyć? Przerwa się w końcu należy. Niestety, Mariolka doskonale sobie radziła i nie dawała najmniejszego pretekstu, żeby jej pomóc lub do niej dołączyć.

Znalazło się też zastosowanie dla jej talentu szybkiego ściągania spodni!

Generalnie byłam bardzo wyczulona na kwestie przemocy seksualnej i dlatego bacznie obserwowałam, czy do niej nie dochodzi.

Mojżesz nie zaprotestował! Specjalnie się wsłuchiwałam, ale on nic nie powiedział. Charczał, chrząkał, chrobotał, syczał, wił się...

Ale nie powiedział: „Nie”.

Nie powiedział: „Nie chcę”.

Nie zrobił tego, widocznie mu pasowało.

A najważniejsze w tym zdarzeniu było to, że to on był winny. Ubierał się prowokująco. W obcisłe koszule z rozpiętym kołnierzykiem. Musiał? Nie musiał. Wypinał, kiedy tylko mógł, te swoje mięśnie. Uśmiechał się do wszystkich prowokująco. Po co? Lgnie, zagubi się sam i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga.

– Krzysztof – wydusił w końcu z siebie Mojżesz. – Co ty robisz?

Mariolka nie odpowiedziała, tylko pchnęła drzwi. I tak nie miałam zamiaru tego oglądać. Ja oczywiście nawet w najmniejszym stopniu nie byłam zainteresowana, ale przykro mi się zrobiło, że Mariolka w ogóle nie pomyślała o mnie. I nawet nie zaproponowała. Tak z czystej uprzejmości. Oczywiście odmówiłabym, ale jak się dzielić, to wszystkim. Tak jak ja się dzieliłam.

Ach, trudno. Machnęłam na to ręką. Może jeszcze znajdziemy jakiegoś strażnika dla mnie.

\*\*\*

Mariolka, jak każdy facet, uwinęła się dosyć szybko. Gdy otworzyła drzwi, Mojżesz był już bardzo rozmowny.

– Krzysztof – mówił cały w emocjach. – Nie zauważyłem cię. Odejdę dla ciebie od żony...

Tego nie pochwalam i bardzo mi się to nie podobało, ale trochę go Mariolka sponiewierała po tym wszystkim.

– Tak się robi – powiedziała, widząc mój wzrok. – Gazet nie czytasz?

Faktycznie, gwałtowi przeważnie towarzyszyło pobicie. Mariolka szanowała zasady. Wpisała się zatem w ogólnie przyjętą i powszechnie akceptowaną tradycję.

Pozapinała się, podciągnęła spodnie, jęknęła i podrapała się w kroku. Mogłyśmy ruszać dalej.

Gabinet lekarski, do którego prowadził nas Mojżesz, znajdował się w budynku administracyjnym, w którym znajdowało się też wyjście z zakładu. Bliskość wolności przyciągała nas. Nogi same ruszyły i nic nie potrafiłyśmy na to poradzić. Przeszkłone drzwi za potrójną kratą na końcu korytarza lśniły naturalnym światłem. Niemal czułyśmy zapach świeżego powietrza, przestrzeń, ciepło na twarzach. Nie mogłyśmy i nie chciałyśmy z tym walczyć, choćby to miała być ostatnia i jedyna chwila, kiedy czułyśmy zbliżającą się wolność.

Nie było w naszym nieroztropnym działaniu nic dziwnego. Niejednemu bohaterowi filmowemu zdarzyło się popełnić oczywisty błąd, za który musiał płacić aż do końca swojej historii. My jednak nie byłyśmy takie głupie. Ruszyłyśmy prosto w paszczę lwa, bo nikt nie spodziewałby się, że będziemy aż tak głupie.

Podeszłyśmy do potrójnej kraty i stanęłyśmy jak te... po prostu stanęłyśmy przy kracie. Młoda i urocza strażniczka wyszła z dyżurki i uśmiechając się, otworzyła pierwszą, po czym wpuściła nas do przedsionka. Szczerzyła się, kołysała z boku na bok. Nie miałam pojęcia, czy nas przepuści. Milczałyśmy, żeby nie ryzykować dekonspiracji. Mariolka ruszyła w stronę wyjścia, ale urocza strażniczka położyła rękę na kracie, uniemożliwiając przejście. Uśmiechnęła się przy tym jakoś dziwnie. Tego nie uczyli w szkole ani w domu, ale trzeba było działać szybko. Zrobiłam krok do przodu, wzięłam zamach i zdecydowanym ruchem klepnęłam otwartą dłonią uroczą strażniczkę w zadek.

To był klucz.

– Co robisz?! Wariacie! – krzyknęła, po czym zwolniła zamki w kracie.

Mariolka położyła rękę na klamce. Spojrzała na mnie. Skinęłam głową. Nacisnęła. Drzwi naprawdę się otworzyły.

Światło. Pierwszy krok. Taki trudny. Potem ja. Stałyśmy obie na progu, zasłaniając oczy przed rażącym słońcem. To był wielki krok dla nas i w ogóle bez znaczenia dla ludzkości.

Wyszłyśmy za bramę i przez chwilę nie wiedziałyśmy, co ze sobą zrobić. Targały nami sprzeczne emocje. Z jednej strony cieszyłyśmy się, że w końcu pełną piersią możemy wdychać warszawskie, pełne toksyn powietrze, lokalnie wzmocnione wyziewami ze spalarni śmieci. Z drugiej jednak pojawiało się pytanie.

– Co dalej? – wypowiedziała te trudne słowa Mariolka.

– Idźmy – stwierdziłam. – Od ciągłego myślenia zrobią ci się zmarszczki.

Minęłyśmy ogromne zbiorowisko hałasujących i wymachujących pięściami chuliganów i ruszyłyśmy poboczem w kierunku miasta. Przynajmniej tak się nam zdawało. Nie miałyśmy planu. Ja na pewno nie miałam, a nie podejrzewałam również o to Mariolki.

– Masz jakiś plan? – spytała nagle.

– Oczywiście, że mam – odpowiedziałam. – Ja miałabym nie mieć planu? Za kogo ty mnie masz?

– Ja też mam. Pytam tylko dla pewności, czy ty też masz.

Może i był to dobry moment, żebyśmy uskoczyły z drogi niezauważone, ale gdy spojrzałam na zasypane śmieciami, porośnięte chwastami i krzakami pobocze, to jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, żebym miała się przez taki syf przedzierać. Z przyrodą już jakiś czas temu przestałam się dobrze rozumieć i nie łączyły nas żadne wspólne tematy.

Szłyśmy zatem poboczem niezbyt szybko, bo miałyśmy na sobie masę sprzętu, ciężkie hełmy i wielkie buciory. Mimo to drogę zatarasowała nam babina taszcząca siaty z zakupami. Wlokła się niemiłosiernie, kołysząc się na boki i stękając co kilka metrów.

– Przepraszam – powiedziałam do niej kulturalnie. – Śpieszymy się.

Obejrzała się zaskoczona i odsunęła nieco na bok, umożliwiając nam przejście.

– O, jak się cieszę! – zawołała, nieco zaciągając. – O, jak się cieszę, że panów widzę!

– Też się cieszymy, że panią widzimy – odpowiedziała Mariolka. – Miłego dnia.

– Takie mam zakupy ciężkie – kontynuowała. – A panowie tacy silni. Mieszkam na końcu ulicy. Pomoglibyście zanieść do domu?

Spojrzałam na Mariolkę. No czegoś takiego to jeszcze w życiu nie słyszałam!

– Że co proszę? – spytałam, bo może ja się przesłyszałam. – My mamy pani pomóc?! Młoda jesteś, kobieto, to noś!

Mariolka pociągnęła mnie za rękaw.

– Zostaw mnie – szarpnęłam się. – Ta kobieta jest bezczelna!

– Ja bezczelna? – oburzyła się babina z siatami. – Co za chamstwo?! Takie wielkie chłopy, a nie mogą starej zakupów ponieść?

– Pani stara?! – fuknęłam. – Co za bzdura?! Ja w pani wieku to na pewno nie byłam stara, a jestem przecież od pani sporo starsza!

– Zostaw. – Ciągnęła mnie za rękę Mariolka. – Chodźmy.

– Takie wielkie chłopy! – wrzeszczała babina z siatami. – Komandosi w hełmach i mundurach!

– Zwariowałaś, babo! – odpowiedziałam. – I przestań jazgotać, bo cię w końcu walnę!

– O, patrzcie go! Do bicia kobiety to siłę ma! Ale jak zakupy trzeba ponieść, to nagle inwalida! Typowy chłop!

Postawiła siaty na ziemi i zaczęła mi się odgrażać pięścią.

– Jakbym miała więcej siły – wykrzykiwała, zaciągając – tobym ci nieźle przyfasoliła! Ty Robocopie kulawy!

– Kulawy?! – Tego nie mogłam wybaczyć. – Czekać no! Gdzieś tu mam pałkę przytroczoną! Zaraz cię nauczę, głupia babo!

– Zostaw. – Próbowała mnie odciągnąć Mariolka. – Uciekajmy.

Chwyciłam pałkę, która wisiała mi u pasa, i zaczęłam się z nią szarpać.

– Mariolka! – krzyknęłam, nie mogąc sobie poradzić. – Jak to się odpina, do ciężkiej cholery?!

Wtedy to właśnie nadjechał policyjny samochód. A za nim kolorowy konwój migających światełek. Zupełnie jak na świątecznej reklamie Coca-Coli.

– To o mój plan już nie pytaj – westchnęłam do Mariolki. – Dobry był, ale chyba właśnie się zdezaktualizował.

– Mój był równie dobry – odpowiedziała. – Ale też już nieaktualny.

– Plan to podstawa.

– Wiadomo.

Policjant siedzący na miejscu pasażera otworzył szybę i spojrzał na nas.

– Co tu robicie? – spytał. – Poza więzieniem.

– Szukamy zbiegów – odpowiedziałam.

– A to ktoś uciekł? Mamy zawiadomienie o możliwym buncie. Ale ucieczka?

– Ucieczka? Jaka tam ucieczka? Od razu ucieczka. Porządne z nas chłopaki, więc pomagamy wrednym i leniwym babom zakupy nosić!

Policjant spojrzał na swojego kolegę, po czym otworzył drzwi i wyszedł z radiowozu.

– Po co to powiedziałaś? – wycedziła przez zaciśnięte zęby Mariolka.

– Nazwiska i stopnie – powiedział policjant, stając naprzeciwko nas.

Rozkraczył się jak John Wayne w tandetnym westernie z lat sześćdziesiątych. Z jakichś przyczyn w hollywoodzkich filmach z tamtych lat obsadzano aktorów po czterdziestce w roli nastolatków. W *Żądle* na już niemłodego Roberta Redforda wołali chłopak. W polskim kinie tak samo. W życiu bym się nie domyśliła, że w *Młodych wilkach* ci trzydziestoletni faceci grali licealistów!

– To my już pójdziemy – stwierdziła Mariolka, ciągnąc mnie za ubranie.

– No właśnie – zgodziłam się. – Co tak stoicie? Macie przecież wezwanie. Bunt! Uuu, la, la... to się narobiło. Poważna sprawa. Nie będziemy przeszkadzać. Chyba nie chcecie, żeby się tam zaczęli strzelać bez was!

– Pod kim służycie? – spytał policjant. – Nazwiska przełożonych. Z jakiej jesteście jednostki?

– Mnie przelewy podpisuje prezes Zakładu Ubezpieczeń Społecznych – odpowiedziałam.

Mariolka pociągnęła mnie mocno i ruszyliśmy poboczem.

Policjant skrzywił się, splunął na bok.

– Poinformuję waszych przełożonych – zawołał za nami. – Jaja wam urwą.

– Nie sądzę – odpowiedziałam z daleka.

– Raz już urwali – dodała Mariolka.

Odjechali. Konwój ruszył za nimi. My natomiast wzbogaciłyśmy się o nową wiedzę, że ucieczka z więzienia poboczem jedynej drogi

dojazdowej jest możliwa, ale może ją udaremnić jedynie upierdliwa i wredna stara zrzęda z niewyparzonym językiem.

Musiałyśmy bardziej wczuć się w sytuację, wejść w nią głębiej i się zaangażować, a nie iść po linii najmniejszego oporu. Niedaleko był mały rozpadający się mostek nad zarośniętym kanałem. Tam należało zboczyć z drogi.

Zrozumiałyśmy się bez słów. Zeszłyśmy ostrożnie. Kanał przecinający ulicę był doskonałym szlakiem. Dla postronnych osób, które mogły nas jeszcze przez chwilę zobaczyć z szosy, byłyśmy tylko dwójką oszołomów łązących po zaroślach w strojach komandosów. Współcześnie to popularna przypadłość.

Na szczęście kanał był całkowicie wysuszony. Klimat nam sprzyjał. Jeszcze dziesięć lat temu pewnie spływała nim woda, ale teraz, gdy w końcu prawie nam się udało ugotować planetę, to w takim kanale nawet chwasty zmarniały. Dobre zmiany się szykują. Nasze dzieci i wnuki już są nam wdzięczne. Tyle problemów zostanie rozwiązanych. Mało miejsca na plaży we Władysławowie? Nie ma problemu. Trwają zaawansowane prace nad tym, żebyśmy wszyscy, całym narodem, zmieścili się na plaży, jako że zarówno Polska, jak i większa część globu zamienia się w jedną wielką plażę!

– Wiemy, dokąd idziemy? – zapytała Mariolka.

– Nie reaguję na zaczepki – stwierdziłam.

Po obu stronach kanału znajdowała się niewielka, porośnięta chwastami polana, dalej zagajnik. Tam mogłyśmy na chwilę się zatrzymać i spokojnie pomyśleć. Miałam właśnie zaproponować, że powinnyśmy zabezpieczyć jakiś telefon, żebym mogła zadzwonić do syna lub Henryka, gdy nagle Mariolka zniknęła.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby to zniknięcie wydarzyło się w więzieniu. Tam rzeczy niespotykane lub wręcz niemożliwe działały się dosyć często i nikogo nie zaskakiwały. Ale teraz byłyśmy na wolności, gdzie zjawiska niespotykane oraz niemożliwe nie działały się aż tak często i z tego powodu wciąż pozostawały zaskakujące i dziwne. Takie właśnie było zniknięcie Mariolki, która jeszcze przed chwilą szła obok, wsłuchując się z zainteresowaniem w moje skomplikowane rozważania, żeby teraz po prostu przestać istnieć, nie pozostawiając najmniejszego śladu. Rozejrzałam się wokół. Nic. Tylko ten dziwny las.

Zawołałam. Odpowiedział jedynie harmider okolicznego ptactwa.



Zastanowiłam się wtedy nad jedną rzeczą. Kolejny raz, bo już kiedyś przyszło mi to do głowy, ale bałam się tej myśli i nie dopuszczałam jej do siebie. Zastanowiłam się, czy to możliwe, że Mariolka nigdy nie istniała i była tylko wytworem mojego zmęczonego umysłu. Stworzyłam ją piękną i silną, taką, jaką sama chciałam być, po to żeby przetrwać. Żeby miała z kim rozmawiać i z kim polemizować, żebym w tej więziennej samotności nie zwariowała. A mimo to zwariowałam, bo jak inaczej wyjaśnić przyjaźń z wytworem własnej wyobraźni? Szkoda, że zniknęła, bo właśnie zaczynałam ją lubić. Pewnie tylko dlatego, że tak naprawdę była mną. Jedno tylko mnie pocieszało. Skoro Mariolka istniała tylko w mojej głowie, wszystko, co zrobiła, zrobiłam tak naprawdę sama. Czyli to ja zgwałciłam Mojżesza! I trzeba przyznać, że całkiem nieźle sobie poradziłam!

– Ruszysz się w końcu? – usłyszałam w głowie głos Mariolki. – Czy będziesz tak stać jak kołek?

Nie był to już ten sam głos co wcześniej. Zduszony, bolesny, cierpiący. Zapadł się gdzieś w mojej świadomości i stamtąd wołał. Mariolka odchodziła, gasła w mojej głowie. Słyszałam ją jakby z daleka, z czeluści, z piekła. Mroczna część mojej duszy szła do piekła.

– Tu jestem – powtarzała. – Na dole!

– Tak, wiem. Pozwalam ci odejść. Uwalniam cię! Możesz odejść!

– O czym ty gadasz? Czyś ty do reszty zgłupiała?! Rusz tę suchą dupę i mnie stąd wyciągnij!

– Z piekła? Nie ma mowy. Tam nie pójde. Za gorąco. Przykro mi. Myślę, że piekło to przesada i niesprawiedliwość, ale jestem pewna, że sobie poradzisz. Początek będzie trudny, ale z czasem się przyzwyczaisz i jakoś się urządzisz. Rozstania są bolesne, wiem o tym, ale konieczne. Muszę cię w końcu zostawić. Jesteś dla mnie ciężarem.

– Grażynka! – wrzasnęła.

– Zofia...

– Spójrz pod nogi, wredna cholero!

Spojrzałam.

O co tyle krzyku? Mariolka wpadła do starej studzienki kanalizacyjnej i o to tylko narobiła tyle rabanu. Popatrzyłam na nią przez chwilę. Kiedyś silna i przywódcza, pociągała innych za sobą. Teraz była mała brudna i bardzo zagubiona. We współczesnym, brutalnym świecie nie ma miejsca dla takich ludzi. Nikt nie lubił przegranych. Historie o pokrzywdzonych

nie były atrakcyjne, męczyły, zasmucały, wzmagaly poczucie bezradności. Lepiej było odwrócić wzrok, udać, że ktoś taki nie istnieje, że jest z innego świata i nas jego problemy nie dotyczą.

Takie myśli przeszłyby przez głowę każdemu, ale nie mnie.

– Rusz się i mi pomóż! – krzyknęła. – Beze mnie sobie nie poradzisz!

Ja bylam pełna empatii i zrozumienia.

– Przynies jakiś konar i wrzuc na dół! – dodała.

No masz. Skąd niby miałam wziąć jakiś konar. Rozejrzałam się. Z każdej strony otaczał mnie las, ale wszystkie drzewa wydawały się mocno osadzone w ziemi. Co za świat. Gdy człowiek pójdzie na grzyby, to co chwila mało sobie głowy nie rozbije, potykając się bez przerwy o leżące kłody. Ale gdy potrzebuje wyciągnąć koleżankę z przepastnej kanalizacyjnej czeluści, to nagle cały las wysprzątany! Wykałaczkę nie znajdziesz!

– Nic nie ma. Nawet patyka – odpowiedziałam oburzona. – Jacyś chuligani pseudoekolodzy musieli się tu szwendać. Co za ludzie. No żeby tak las posprzątać? Jakich to czasów człowiek dożył?

– Rusz w końcu to swoje chude dupsko i zrób coś, bo jak nas znajdą, to do końca życia nie wyjdziemy z izolátky!

Jak mogła się tak do mnie odezwać? Okoliczności to jedno, ale kultura osobista powinna nadal obowiązywać. W moim przypadku nie byłaby to zapewne wieczność, potrzebowałam silnego bodźca, żeby się zmobilizować, więc potraktowałam groźbę poważnie. Hen daleko, dobrych kilka metrów ode mnie, był niewielki nasyp. Ruszyłam w tamtą stronę. Zateśniłam za dziurawymi, nierównymi warszawskimi chodnikami. Fatalnie się po nich chodziło, ale przynajmniej ktoś był temu winny i za stan chodników odpowiedzialny. Można było się pod adresem tej osoby wyzaliczyć i wyładować. Tymczasem nikt chyba nie odpowiadał za doły w lesie. Mogłam krzyczeć wniebogłosy i nikt, dosłownie nikt by nie usłyszał, nie pomógł, nie wysłuchałby uwag, żali i bluźnierstw.

– No żeż cholera jasna! Dlaczego zawsze mnie to wszystko spotyka! – krzyknęłam.

– A czego się drzesz, kobieto? – odezwał się stary, zachrypnięty męski głos.

Zwariować można było w tym lesie. Nic dziwnego, że na całym świecie wycina się go tysiące hektarów. Minister środowiska nie był taki głupi, tnąc puszcze. Widocznie też był kiedyś w lesie.

– Kto to, u licha? – spytałam, nie wiedząc, w którym kierunku się obrócić. – Co to za straszenie?

– Przepraszam – odpowiedział ten ktoś, wyłaząc zza krzaka. – Nie chciałem przestraszyć.

Niemożliwe, żeby nie chciał przestraszyć, skoro wyglądał tak upiornie. Oczy miał wielkie, wytrzeszczone i skierowane w dwie różne strony. Wielki garb ukryty pod starą znoszoną kapotą. Był tak garbaty, że wyglądał, jakby siedł na czworaka. Miał pewnie ze sto lat, choć wyglądał na mniej.

– Nie chciał mnie pan przestraszyć? – zapytałam oburzona. – Nie zdaje pan sobie sprawy, jak pan wygląda?

– Nie – odpowiedział zdziwiony. – Co konkretnie ma pani na myśli?

– Nieważne.

Miałam ochotę wziąć kij i go przegonić, ale wiadomo, że nie mogłam tego zrobić. Nigdzie nie było żadnego kija.

– Zabłądziła pani? – spytał. – Wskazać drogę? Jakoś pani pomóc?

– Nie, nie zabłądziłam. Doskonale orientuję się w terenie. Jestem tu z rodziną i znajomymi. Czekają na mnie. Zaraz tu będą. Mój syn jest mistrzem Europy w podnoszeniu ciężarów i najbardziej na świecie nie cierpi zaczepiania starszych osób w lesie.

– Rozumiem. To ja już sobie pójdę – stwierdził.

– Oczywiście – odpowiedziałam. – Tak najłatwiej. Odwrócić się i zostawić starszą osobę na pastwę losu, a jej koleżankę w jakiejś cholernej jaskini. To mężczyźni potrafią najlepiej. Niech pan już idzie i sobie nie przeszkadza. Pewnie pan strasznie zajęty.

Dlaczego zza krzaka nie wyszedł wysoki młodzieniec w garniturze, płaszczu, eleganckich wypastowanych butach, ogolony i ładnie uczesany na bok? Taki od razu wiedziałby, co robić. Chociaż może dla własnego bezpieczeństwa lepiej, że był to taki stary pokraka. Mariolka musiała przyzwyczać się do wolności. Nabrać trochę ogłady i delikatności w kontaktach damsko-męskich. Na razie była jeszcze zbyt zwierzęca.

– Rusz pan w końcu to swoje chude dupsko i zrób coś, bo jak nas znajdą, to do końca życia nie wyjdziemy z izolatki! – krzyknęłam do niego.

– Robi się – odpowiedział.

Pokuśtykał w stronę nasypu, niezgrabnie kołysząc się i utykając. Tragedia.

Popatrzyłam za nim, żeby dopilnować roboty. Wdrapał się na nasyp. Chyba coś znalazł.

– Mam! – zawołał. – Stary podkład. Doskonale się nada.

– No to dawaj pan go tutaj – odpowiedziałam.

Z wielogodzinnych obserwacji robotników przy różnych budowach i remontach doskonale wiedziałam, jak należało się zabierać do takiej pracy. Trzeba było stanąć, popatrzeć, obejść z każdej strony, podumać, pocmokać, zjeść kanapkę, napić się herbaty i dopiero jak już nie będzie żadnego innego wyjścia, znaleźć młodego, który w końcu zrobi całą robotę.

Quasimodo okazał się totalnym amatorem. Pomiął wszystkie te przygotowania i bez choćby najmniejszego zastanowienia chwycił kłodę i wyrwał do góry.

– Matko jedyna! – krzyknęłam zaskoczona.

– Co się stało? – spytał.

– Nic, nic, wszystko dobrze. W życiu nie widziałam, żeby ktoś z taką lekkością podniósł taki ciężar!

– A syn?

– No co pan? Na głowę pan upadł? Ten wymoczek? Ten leń patentowany? Jedyne ciężar, jaki podnosi, to samego siebie, gdy wstaje z kanapy!

– Ale mówiła pani, że jest mistrzem Europy w podnoszeniu ciężarów.

Spojrzałam na niego, mrużąc oczy ze złości.

– Trzeba było od razu powiedzieć, że się panu nie chce nosić, a nie robić uszczypliwe uwagi.

– Przepraszam, nie miałem zamiaru.

Nie dosyć, że nie przyłożyłam mu kijem, gdy tylko wylazł z tych krzaków, ale okazałam łagodność i przychylność, dałam zajęcie, a on tak mi się odwdzieczył? Oskarżeniami!

– Ma pan szczęście, że trafił na kulturalną osobę – powiedziałam spokojnie. – Bo mógłby pan się natknąć na kogoś, kto by panu wygarnął. Zaczepia pan samotne kobiety w środku pustkowia i oczekuje rodzinnych zwierzeń.

– Nie miałem nic złego na myśli.

– To niech pan patrzy mi w oczy, gdy do mnie mówi.

– Przecież patrzę.

– Zostawmy to – odpowiedziałam. – Nie potrafię z panem rozmawiać. Głowa mnie boli.

Podszedł do dziury, w której utknęła moja współpracownica. Była poirytowana, jeszcze zanim zobaczyła Quasimoda. Potem to już nie byłam w stanie znaleźć w słowniku kulturalnego człowieka przymiotnika, który mógłby choć zbliżyć się do określenia jej stanu emocjonalnego. Wyglądała jak minister kultury podczas transmisji wręczenia Literackiej Nagrody Nobla.

– Kto to, kurwa, jest?! – wrzasnęła.

– Jej, brzydkie słowo – stwierdziłam zaskoczona wulgaryzmem. – Niech pan będzie wyrozumiały. Koleżanka dopiero co wyrwała się z ciasnoty i jest trochę zawiedziona utratą ledwie odzyskanej przestrzeni. Rozumie pan?

– Nie – odpowiedział. – Tędy biegnie kolektor ściekowy odprowadzający ścieki do oczyszczalni...

– Daj pan spokój – przerwałam. – Nie przynudzaj pan. O fekaliach będziesz pan opowiadał? To miałyby być zabawne? To obrzydliwe i żenujące.

– Grażynko! – odezwała się Mariolka.

– Zofio... – poprawiłam ją.

– Kto to, kurwa, jest, ja się ciebie pytam?

Tak się nieładnie wyrażała, gdy była zdenerwowana. To normalne. Ale obcy człowiek gotów był pomyśleć, że my to jakiś element.

– Nie denerwuj się – zwróciłam się do niej. – To jest przecież pan... z lasu. Jest trochę tajemniczy, ale za to miły i silny. Zaczepia czasami samotne kobiety. To przecież normalne. Nie ma się czym denerwować, prawda?

Dla podkreślenia wzajemnej życzliwości klepnęłam go mocno w ramię. Miało być przyjacielskie klepienie, ale wyszło tak, że huknęłam go w ten jego garb, aż się kurz podniósł ze starej marynarki. Quasimodo nie był na to przygotowany. Zachwiał się i wypuścił kłodę z rąk.

– O matko! – krzyknęłam, widząc, jak solidny kawał drewna spada do dołu. – Co pan zrobił?

Belka minęła Mariolkę o centymetry, przebiła dno dołu z hukiem i spadła jeszcze niżej. Po chwili pod nogami Mariolki wybiło małe źródółko. Wyglądało cudownie. Nie sztuką było dąsać się i krytykować. Trudniej było szukać pozytywów i cieszyć się małymi rzeczami.

Mariolka zaczęła wrzeszczeć i rzucać się na ściany, jakby sądziła, że nagle będzie mogła wydostać się o własnych siłach, gdy wcześniej okazało się to przecież niemożliwe.

– Ale cuchnie – zauważyłam. – Mariolka, jak ty możesz w tym wytrzymać? Obrzydliwość.

Chwilę później stała po kostki w mętnej, pieniącej się, śmierdzącej cieczy.

– Co to jest? – spytałam. – Śmierdząca podziemna rzeka? Jakiś warszawski Styks?

– To chyba większa sprawa – zaczął Quasimodo. – Widzi pani, tędy biegnie kolektor ściekowy z lewobrzeżnej Warszawy do oczyszczalni Czajka. Ogromna wielomiliardowa inwestycja.

– Nie wygląda na swoją cenę. To jakaś śmierdząca sprawa.

– Żeby pani wiedziała. Obawiam się, że może dojść do większej awarii systemu, która obejmie sporą część miasta. Tam, gdzie w budowę mieszają się politycy, tam zawsze dochodzi do katastrofalnych w skutkach nadużyć i zaniedbań.

– Ale o czym pan mówi?! Co to za bezpodstawne oskarżanie porządnych ludzi?! Każdy polityk to porządny człowiek. Ma swój burdel w kamienicy w centrum miasta i w żadne szambo rąk nie wkłada.

– Zabierzcie mnie stąd! – krzyczała Mariolka, rozpaczliwie próbując wdrapać się na górę.

Zastanawiałam się, dlaczego ludzie zakładają, że absolutnie każdego należy za wszelką cenę ratować? Co, jeżeli umiera skurwysyn? Czy to jest nadal tragedia i powód do smutku? Czy może należałoby się cieszyć? Zdarza się, że niewprawne osoby podejmujące akcje ratunkowe same płacą życiem. Rodzic zawsze skoczy za dzieckiem. Często ginie w ten sposób kilka osób, cała rodzina. Ale skoczyć do wody dla obcej osoby? Może warto się zastanowić, kim jest ta osoba.

– Mariolka – zaczęłam spokojnym głosem. – Wybacz, że w takim momencie, ale za co ty właściwie siedziałaś?

– Ratuj mnie! – odpowiedziała.

– Jak miałabym to zrobić?

Ścieki sięgały Mariolce po pas.

– Mariolka, niczego nie żałuj. Miałaś dobre życie, a jeżeli nie, to z pewnością mogłaś mieć gorsze.

– Ale ja nie chcę... – nie dokończyła, bo głos jej się załamał.

Quasimodo odwrócił się w moją stronę.

– Złapię panią za nogi – stwierdził. – A pani chwyci przyjaciółkę.

– Do mnie pan mówi? – spytałam zaskoczona, bo jednym okiem patrzył w niebo, a drugim w trawę. – Od razu przyjaciółkę... Dopiero co się poznałyśmy...

Napluł na dłonie, otrzepał i chwycił mnie za nogi. Nie zdążyłam wyratować się przed upadkiem, gdy podniósł moje nogi do góry. Świat zawirował i znalazłam się nad wypełnioną brunatną pianą dziurą. Chciałam zaprotestować, ale byłam bez szans. Miotalam się bezskutecznie. Jak mogłam zaufać zaczepiającemu samotne kobiety człowiekowi z lasu?!

Dosyć późno dotarła do mnie bolesna prawda o tym, że właśnie obcy mężczyzna o manierach orangutana topił nas w studni ze ściekami.

– Grażynka! – krzyczała Mariolka.

Wyciągała rękę, jak najwyżej mogła.

– Nie sięgam jej! – krzyknęłam. – Dawaj mnie pan niżej!

Osunął się i do studni posypała się ziemia. Musiał stracić oparcie, ale nic nie powiedział.

– Więcej nie dam rady! – odpowiedział.

– Niech pan puści jedną nogę! – zawołałam.

– Wymsknie mi się pani!

– Rób pan, co mówię!

Puścił lewą kostkę, dzięki czemu moje ciało ułożyło się tak, że prawą ręką sięgnęłam dodatkowe kilkanaście centymetrów.

Chwyciłam dłoń Mariolki, gdy woda zalewała już jej usta.

– Nie puszczaj mnie – wypowiedziała ostatnie słowa.

– Nie puszczę, kochana – odpowiedziałam, choć czułam już wtedy, że moja noga powoli wysmykuje się z uścisku Quasimoda.

– Góra! – wrzasnęłam. – Ciągnij pan!

– Próbuję! – odpowiedział.

Oczy zaszyły mi łzami, gdy widziałam twarz Mariolki znikającą pod powierzchnią, a jednocześnie czułam, że nie posunęłyśmy się ani o centymetr ku górze.

– Nie puszczę cię, kochanie – powtórzyłam.

Quasimodo ryczał jak zarzynany wół, ziemia sypała się do dołu. Wył i złorzeczył. Nie wiedziałam, czy przesuwamy się do góry, czy nie. Miałam wrażenie, że spadamy. Zmiażdżył mi ścięgna w stopie.

Śmierdząca ciecz sięgnęła i mnie. Wzięłam wdech, ale trudno było liczyć w moim wykonaniu na rekord świata w nurkowaniu na bezdechu. Szybko zabrakło mi tlenu i opadłam z sił.

Nawiedziły mnie myśli ostateczne. Czy kiedyś człowiek i kot będą mogli być powiązani świętym węzłem? Czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę mój wózeczek? Wyobraziłam sobie, że trzymam go w ręku. Zacisnęłam dłoń resztką sił. Nie puścić. Trzymałam ją... moją przyjaciółkę... Prawdziwą... jedyną... Koniec tlenu... Nie puścić... tylko nie puścić...

\*\*\*

Nie wiedziałam, gdzie jestem i ile czasu minęło. Poczułam na twarzy chłodne powietrze i zimną wodę w płucach. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, jak Quasimodo z wściekłością rzuca się na mnie i miażdży mi klatkę piersiową. Ścieki z własnego gardła wylały mi się na twarz. Zauważył to. Rozchylił usta i zmierzał prosto do moich! Skurwysyn! Powinien zaczekać, aż umrę!

Thukł mnie bez przerwy i pompował w usta powietrze, drapiąc swoją zarośniętą gębą. Nagle targnęły mną konwulsje. Kaszel. Wypląnęła ze mnie woda. Nie wiem skąd. Dusiłam się. Wszystko mnie bolało. Myślałam, że umrę. Świst. Kaszel. Świst. Kaszel...

W końcu jeden krótki oddech... Potem drugi...

Przekreślił mnie na bok i zostawił.

Spojrzałam na Mariolkę. Leżała obok. Była przytomna. Szkoda. Dlaczego miała mieć lepiej niż ja? Lepiej zniosła bezdech. Nic w tym dziwnego, skoro tyle czasu mieszkała w pokoju bez oddzielnego pomieszczenia na ubikację.

Patrzyła na mnie. Po policzku płynęła jej łza. Szeptala coś ledwo słyszalnie. Wsłuchiwałam się, ale nie mogłam zrozumieć.

Zadziwiająco, jakie ludzie mają bezsensowne problemy zaraz po tym, jak otrą się o śmierć. Uśmiechnęłam się do niej, żeby ją uspokoić. Nie doceniała tego. Wciąż powtarzała te swoje niezrozumiałe słowa.

Faktycznie jej dłoń była fioletowa.

Rozpląkała się, gdy Quasimodo nachylił się nad nami i rozprostował moje palce, które zakleszczyły się na nadgarstku Mariolki.

– Mówi, że może pani już puścić – zwrócił się do mnie.



Podniósł najpierw mnie, potem Mariolkę. Przerzucił nas przez barki. Czułam się tak, jakbym ważyła tonę, gdy woda lała się strumieniami z wojskowego ubrania. Mariolka była w nie lepszym stanie. Ostatnimi czasy zdołałam się nauczyć o ludziach jednego. Pozory mylą. Uratował nas, czyli pozornie był dobrym człowiekiem. Można się było zatem po nim spodziewać najgorszego.

– Dokąd pan nas niesie? – spytałam słabym głosem.

– Jesteście przemoczone – odpowiedział. – Musicie zdjąć te ubrania.

Wszystko jasne. Zapowiadało się ciekawie. Niósł nas nie wiadomo gdzie i mógł z nami zrobić wszystko. Zanosilo się na marny koniec. A miałyśmy takie plany. Brazylijskie pupy, cholera jasna!

Byłam zbyt wycieńczona, żeby się bać. Przyszła mi do głowy myśl, że powinnam się zacząć oszczędzać. Momentami miałam wrażenie, że zachowuję się jak niedojrzała i lekkomyślna sześćdziesięciolatka.

Quasimodo szedł powoli. Grząż w podmokłym terenie, bo szambo wylało już na całą polanę. Mógłby się pośpieszyć, bo w oddali już słycać było sygnały wozów policyjnych lub służby więziennej. Wkrótce przez drzewa przebiły się kolorowe światła kogutów. Z takim powolnym człowiekiem nie miałyśmy szans na ucieczkę, zwłaszcza że po chwili dobiegło nas szczekanie psów.

Przyśpieszył, ale tylko w swoim wyidealizowanym wyobrażeniu o sobie. Podrzucało nas jeszcze bardziej, ale nie posuwaliśmy się do przodu ani trochę szybciej. Gdy tylko policyjne psy odezwały się nieco głośniejsze, bohaterski Quasimodo bez zastanowienia rzucił nas na ziemię. Mariolka w ogóle się nie zainteresowała naszą sytuacją. Po prostu przewróciła oczami i straciła przytomność, jakby jej to nie dotyczyło. Ja natomiast byłam oburzona.

Podniosłam dyskretnie głowę i spojrzałam w kierunku drogi. Psy z nosami przy ziemi kręciły się na poboczu. Policjanci zachęcali je do podjęcia tropu.

Nagle jeden z psów pociągnął swojego policjanta w naszym kierunku.

– Coś tam jest! – zawołał jego opiekun.

Quasimodo nie zwlekał ani chwili, żeby się poddać.

– To ja! – zawołał, ruszając w kierunku drogi z podniesionymi rękami.

– Trzymajcie psy!

– Co pan tu robi? – pytali policjanci.

– Mieszkam niedaleko – odpowiedział.

Psy rwały się do niego, a on szedł, nie oglądając się nawet na nas.

– Trzymajcie psy! – powtarzał tchórz. – Nie puszczajcie psów!

– Szukamy dwóch kobiet – odezwał się policjant.

– Jak wyglądały?

– Dwie wysokie blondynki.

– Nie, nie widziałem.

– Dziękujemy. Niech się pan tu lepiej nie kręci. Proszę wracać do domu.

– Ale widziałem inne – przerwał policjantowi Quasimodo.

– Może je pan opisać? – zainteresował się tamten.

– Jedna wysoka, całkiem ładna.

Jak mógł? Zdrady się spodziewałam, ale tego, że powiedział „wysoka i ładna” o Mariolce?! Tego się nie spodziewałam!

– Druga stara, wredna i pyskata – kontynuował.

A to kanalia! Chciałam wstać, ale nie miałam siły. A to bydlę. Tyle mu serca i wyrozumiałości okazałam.

– Dokąd poszły?! – dopytywał policjant. – Widział pan?!

– Pewnie, że widziałem – odpowiedział Quasimodo. – Kwadrans temu zatrzymały duży czarny samochód. Wielki łysy facet prowadził. Wsiadły i pojechały.

– Zatrzymamy na blokadzie. Bardzo panu dziękujemy – podsumował policjant. – Jeżeli jeszcze się coś panu przypomni, proszę dzwonić. Mogą być niebezpieczne.

Wszystko zakończyłoby się nie najgorzej, bo tylko śmiertelną obrazą mojej osoby przez tego niechlujnego typu, ale tak się nie stało. Niesforne bydlę, w tym wypadku pies, nie chciało się pogodzić z tym, że nie ma czego szukać na polanie, i wyrwało się opiekunowi.

– Maciuś! – zawołał w kierunku psa. – Maciuś wróć!

Szczerzący kły i toczący pianę potwór wabiący się Maciuś pędził przez polanę. Wiedział, co robić, nie węszył, nie szukał. Biegł prosto na mnie. Ani się schować, ani uciec, ani bronić. Kilka sekund dzieliło mnie od amputacji którejś z kończyn. Oby tej chorej nogi.

Po chwili był przy mnie. Spojrzał demonicznym wzrokiem, po czym bez żadnego zawahania ani ostrzeżenia odwrócił się i wbił ogromne zębiska w łydkę nieprzytomnej Mariolki. Nie wiem, dlaczego mnie pomiął. Pewnie miał już dosyć suchych kości.

Cholera jasna! Chamstwa to ja nie toleruję! A zwłaszcza u zwierząt! Co to miało znaczyć?! Żeby bez słowa atakować i kaleczyć kogoś, kto ani nie ucieka, ani nie stawia oporu?! Mógł zaszczekać do swojego pana, pomerdać ogonem na znak, że znalazł, usłyszałyby, że dobry pies, dostałby kiełbasy i miałyby piękny dzień!

– Coś tam znalazł! – Usłyszałam głos policjanta.

– Na pewno szczura – odpowiedział mu Quasimodo.

Tak się nie godzi! Ruszyłam Mariolce na ratunek.

Cap!

Pies zaskowyczał i odskoczył. Chwilę machał łbem, wierzgał, potem ruszył pędem w stronę drogi. Zaskoczony policjant zdążył tylko uchylić mu drzwi do klatki. Wskoczył jednym susem i tyle go było widać.

– Coś ugryzło go w ucho! – Oburzył się policjant, widząc obrażenia swojego pupila.

– Szczur – odpowiedział Quasimodo. – Trzeba zdezynfekować, bo będzie infekcja. Niech pan się tym zajmie. Zwierzę cierpi.

– Myśli pan, że szczur mógł mieć wściekliznę? – spytał policjant.

Quasimodo spojrzał w naszą stronę i podrapał się po brodzie.

– Specjalistą nie jestem, ale jak dla mnie to wściekły był, panie, jak cholera! – stwierdził po zastanowieniu.

Chwilę się jeszcze kręcili, coś zanotowali i poszli dalej wzdłuż drogi. Quasimodo ruszył w przeciwną stronę.

Myślałam, że nas porzucił, ale nadszedł po kilku minutach od strony lasu. Miałam właśnie zacząć tłumaczyć Mariolce, że nawet z jedną nogą będzie nadal atrakcyjną kobietą dla pewnego odsetka mężczyzn. Okazało się, że bestia nie przegryzła się nawet przez wysoki wojskowy but, a co dopiero mówić o urwaniu nogi. Tyle paniki o nic!

Quasimodo przypominający karykaturalnie małego osiłka wrzucił nas na plecy i poniósł przed siebie. Byłam zmęczona, przez co podróż mnie nie znudziła. Wręcz przeciwnie. Ukoilo mnie miarowe kołysanie i poczułam, że jest to dobry moment na króciuteńką drzemkę.

Śniło mi się, że leżałam w świeżej pościeli w przytulnym drewnianym domku, w którym unosił się zapach świeżo palonej kawy i smażonych jajek. Z rozświetlającego pomieszczenie kominka dochodziło przyjemne ciepło, uszu dobiegała cicha muzyka, a obok siedziała moja przyjaciółka.

\*\*\*

Gdy się obudziłam, spostrzegłam, że leżę w świeżej pościeli w niewielkim, przytulnym drewnianym domku, w którym unosił się zapach świeżo palonej kawy i smażonych jajek. Z rozświetlającego pomieszczenie kominka dochodziło przyjemne ciepło, uszu dobiegało trzaskanie palącego się drewna. Obok siedziała Mariolka.

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery? – spytałam. – Co to za ciasna śmierdząca rudera?

– Obudziłaś się – odpowiedziała.

– A dlaczego miałam się nie obudzić?

Rozejrzałam się jeszcze raz. Mariolka ubrana w niebieskie, za ciasne dresy ze śmiesznymi białymi paskami siedziała przykryta kocem w wielkim fotelu, tuląc w rękach kubek kawy, i patrzyła w płomień tańczące w kominku. Za nią drewniane regały z książkami. A jeszcze dalej stara węglowa kuchnia, na której drań smażył omlet. Obracał go z sadystyczną satysfakcją, rozpylając smakowite zapachy.

Odkryłam kołdrę i spostrzegłam, że nie byłam już w stroju Rambo, tylko w jakimś żalonym przebraniu prząsnej wieśniaczki.

Spojrzałam pytająco na Mariolkę.

– Nie znalazłam nic innego – powiedziała, uśmiechając się. – Bez obaw, to ja cię przebrałam.

– Bez obaw? Ciebie właśnie się obawiałam.

Zrzuciłam nogi na podłogę. Chciałam wstać, ale zakręciło mi się w głowie.

– Powoli – odezwał się Quasimodo. – Zaraz będzie śniadanie.

Podzielił omlet na pół i rozłożył na dwa talerze. Zaczął opowiadać o okolicy i o starych kolejowych budynkach, z których jeden właśnie zajmowaliśmy. Żeby dotrzeć tu od strony miasta, trzeba było pokonać kilkanaście linii torów kolejowych przy grochowskiej lokomotywni. Jakiś czas temu głośno było w mediach o tej zamkniętej enklawie, gdy stanęły tu bloki socjalne dla rodzin z eksmisji. Niedawno dołączyli do nich frankowicze z bogatych osiedli, którzy nie byli w stanie spłacać kredytów. Podobno nadal wozili dzieci na drugi koniec miasta do szkół i przedszkoli, nie przyznając się nikomu do mieszkania na Osiedlu Dudziarska. Szemrana okolica. Opuszczone budynki lokomotywni, zaniedbany i zarośnięty staw Kozia Górka, zakład karny zwany Kamczatką oraz dzikie działki, których sezonowi mieszkańcy zasypywali okolicę tonami śmieci. Pięknie wpasowujące się w krajobraz, prowadzone

nad ziemią ogromne rury ciepłownicze. Z każdej strony huk przejeżdżających pociągów oraz unoszący się nad tym wszystkim zapach ze spalarni śmieci przy ulicy Zabranieckiej.

Opowiadał niezbyt interesująco i monotonie. Historia nie porywała. On – stereotypowy bohater, człowiek po przejściach, znikąd, wadliwy, poraniony, alkoholik, seksoholik próbujący poradzić sobie w życiu. Nie miał nawet atrakcyjnej dziewczyny jako partnerki. Czym on nas chciał zainteresować? Wzloty, upadki, żadnych mocnych zwrotów akcji czy dreszczyku emocji. Historia, jakich wiele. Mógłby się bardziej postarać.

Miała ta jego opowieść jedną tylko zaletę, której nie sposób było przecenić. Gdy mówił, tracił kontakt z rzeczywistością i nie całkiem kontrolował to, co robił. W ten sposób zapomniał, że już przed chwilą usmażył omleta, więc przystąpił do sporządzania drugiego. Ubijał, opowiadając, wlał na patelnię, usmażył i ponownie przekroił na pół.

Niekulturalnie byłoby mu przerywać, skoro mówił z takim zaangażowaniem i pasją. Pojadłyśmy solidnie i dopiero gdy chciał przygotować czwarty, z przerażeniem dostrzegł:

- Przepraszam, ale nie mam jajek!
- Nic nie szkodzi – odpowiedziałam.
- Ale chciałem usmażyć omlet.
- Bardzo pan miły, ale nie trzeba.
- Nie jesteśmy głodne.

Zafrasaował się, gdy odbierał od nas stertę brudnych talerzy.

- Może kawy? – zaproponował.
- Chętnie – zgodziłyśmy się niemal jednocześnie.

Wyszłyśmy na taras. Wschodzące słońce ogrzewało nasze twarze. Ułożyłyśmy się wygodnie na leżakach stojących na zbudowanej ze starych desek werandzie. W oddali przejeżdżały pociągi, przecinając przestrzeń rozpedzonymi rzędami małych okienek. A my zastanawiałyśmy się, dokąd ci wszyscy ludzie jadą i skąd wzięli pieniądze na tak drogie bilety.

Mariolka sięgnęła po gazetę leżącą obok na stoliku i przejrzała z zainteresowaniem.

– Ty – zwróciła się po chwili do mnie. – A wiedziałaś, że ludzie zwalniają za poglądy, aresztują protestujących, jest cenzura, a telewizja jest partyjna?

– Matko, jaka ty głupia jesteś – stwierdziłam, sądząc, że czyta gazetę z czasów mojej młodości. – Patrz na daty! To pewnie gazeta sprzed

czterdziestu lat!

Spojrzała na mnie gniewnie. Była jak skorpion z afrykańskiej przypowieści. Głupia.

Odwróciła gazetę i przeczytała nagłówek.

– O, to ciekawe – stwierdziła, wracając do czytania. – Pożary, bunty, zamieszki, ucieczki... Osadzone w nieludzkich warunkach walczą o jedzenie jak dzikie zwierzęta. Wyrzucenie osobistej bielizny za mur więzienia to krzyk rozpaczki kobiet trzymany bez wyroku. Mówi najwyższy delegat Europejskiego Trybunału Praw Człowieka z siedzibą w Strasburgu. Europejska praworządność otrzymała niespodziewany policzek. Majtkami. W wielu krajach zawrzało, po tym jak świat obiegiło zdjęcie urzędnika z kobiecą bielizną na twarzy. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zostało zasypane notami dyplomatycznymi. Delegacje kolejnych państw zapowiadają wizyty. Inne proszą o przedstawienie szczegółów zajścia.

– To w Polsce? – spytałam. – Ten skandal?

– Chyba tak – odpowiedziała.

– Wstyd.

Quasimodo przyniósł kawę i siedzieliśmy we trójkę w milczeniu, patrząc na festiwal barw wywołany przez pierwsze promienie słońca załamujące się w ziemskiej atmosferze. Lekki wiaterek dodawał porankowi rzeźkości. Kawa smakowała nawet lepiej niż w więzieniu. Niepoprawny optymista powiedziałaby pewnie, że było przyjemnie i miło. Szukałam słów, żeby nazwać to, co czułam.

– Cholernie nudno! – stwierdziłam w końcu.

– To co robimy? – spytała Mariolka.

– Jesteście wolne – odpowiedział Quasimodo. – Możecie wszystko.

– To znaczy co? – spytałam.

– No wszystko.

– To co pan? Mieszkać w zatęchłej norze i żebrać o jedzenie?

– Chociażby, ale jestem wolny.

– Jaki tam wolny, panie? Pan jest bardziej uwięziony niż my w więzieniu. Pan nic nie może. Podczas deszczu leje się panu na głowę, zimą pan przymarza, a bywają dni, kiedy nie ma pan co do ust włożyć, zgadza się?

– Nawet jeżeli tak jest, to przecież panie nie muszą tak żyć. Macie pewnie rodziny...

– Panie... – Machnęłam ręką. – Daj pan spokój. Tę moją rodzinę to jak mi się uda kiedyś poskładać... A jak jeszcze mieliby mnie ukrywać przed policją? Matko jedyna, co to za życie by było. Jeszcze ich posadzą za ukrywanie zbiega. Dopiero bym się im przysłużyła. A za co ja miałabym żyć, jak mi emeryturę zawieszają?

– Ja mam rodziców – powiedziała spokojnym głosem Mariolka. – Tylko ich. Kochają mnie. Wspierają. Wszyscy się od nich odwrócili, a oni się mnie nie wyparli.

– To jedź do nich.

– No nie wiem...

– Czego znowu nie wiesz?

– Tam będą mnie szukać. Przyjedzie policja. Będą moich rodziców przepytywać, wozić na komendę. Znowu ludzie zaczną ich wytykać palcami. Mówić, że wychowali kryminalistkę.

– Wolność jest w tobie, człowieku. Co z tego, że możesz się przemieszczać, jak i tak jesteś zniewolony. Wewnętrznie. Bo sam sobie narzucasz ograniczenia albo pozwalasz je narzucać innym. Tam nie pójdziesz, tego nie zrobisz, co to za wolność? To ja już wolałam być w więzieniu ze świadomością, że to sąd założył mi kajdany, a nie ja sobie sama. O wolność trzeba walczyć. Tylko jak się ją wywalczy, odzyska, to ona istnieje naprawdę. Nie można udawać, że się jest wolnym, ukrywając się gdzieś po norach. Mam rację, Mariolka?

– Przepraszam, nie słuchałam – odpowiedziała. – Powiedz jeszcze raz.

– Nie powtórzę już tego. To było spontaniczne. Szkoda, że nie słyszałaś, bo bardzo dobrze mi wyszło.

– Spróbuj powtórzyć.

– Wolność jest... – zastanowiłam się – ...jest, jaka jest. Trzeba było słuchać!

– Odczep się ode mnie!

Zmierzyłyśmy się wzrokiem. Byłyśmy jak to dalekowschodnie małżeństwo pracoholików, którzy w zgodzie trwają ze sobą całe życie po to, żeby po przejściu na emeryturę natychmiast się rozstać. Bo wtedy dopiero spędzają ze sobą czas i się poznają.

– Możecie zostać u mnie, ile chcecie – wtrącił się Quasimodo.

– Bardzo pan miły – odpowiedziałam. – Ale czego oczekuje pan w zamian?

– Niczego. Mam wszystko, czego nam trzeba.

– Ale czy nie zabraknie nam choć jedzenia?

– Mogłyby panie przecież pracować.

– Pracować?! – Nagle sielanka zgasła.

Słońce schowało się za chmurą, było zimno, wietrznie, niewygodnie, a deski werandy śmierdziały starymi podkładami kolejowymi.

– Jak to pracować? – powtórzyłyśmy, spoglądając na siebie z Mariolką.

– O co chodzi? – spytał. – Powiedziałem coś niewłaściwego?

– Ja nigdy nie pracowałam – oznajmiła Mariolka.

– Ja niedawno próbowałam wrócić do pracy – stwierdziłam. – Szkoda gadać...

Słusznie mu nie ufałam. Przynajmniej raz się nie pomyliłam. Musiało do tego dojść. Nikt nie robi tyle dla innych bezinteresownie. Od początku chciał nas wykorzystać. Dobrze, że dowiedziałyśmy się o tym, póki jeszcze nie było za późno.

– Wie pan... – zaczęłam. – To, co kiedyś nazywało się pracą, miało wartość i szacunek, ale teraz to jest zwykły wyzysk. Rozumie pan, współczesne niewolnictwo. I pan właśnie to nam proponuje? Typowo męskie. Pewnie chciałby pan, żeby mu prac, gotować i kawę przynosić!

Mariolka spojrzała na mnie jakoś dziwnie.

– Fakt, że w więzieniu miałyśmy dach nad głową. – Zamyśliła się Mariolka. – Karmili nas, ale niczego od nas w zamian nie żądali.

– Ja niczego nie żądam – zafrasował się. – Jeżeli nie chciałbyście pracować, to może mogłyby panie zająć się domem podczas mojej nieobecności?

– Zobacz go – oburzyłam się. – Jaki bezczelny. Sprzątaczkę sobie znalazł.

– A dokąd pan się wybiera? – spytała Mariolka.

– Raz na kilka tygodni jadę z transportem kur z farmy. Nie będzie mnie cztery dni. Nic nie muszą panie robić. Dorzucić do pieca co jakiś czas, żeby mury nie zawilgły.

– Nie do wiary – irytowałam się w dalszym ciągu.

Co się stało z tymi mężczyznami? Teraz to już nawet kobiety seksualnie nie ma zamiaru wykorzystać, tylko do roboty zagoni albo sprzeda!

– Od tego się zaczyna – stwierdziłam. – Zaraz będziemy musiały prac jego brudne gacie albo jeszcze coś gorszego robić.

– Nie bądź obrzydliwa – odpowiedziała, krzywiąc się.

– Dlaczego obrzydliwa?



- A o czym myślałaś?
- O noszeniu wody ze studni. A ty o czym?
- Też o noszeniu wody. Mokra ręce na mrozie. Obrzydliwość.
- A dokąd pan te kury wozi?
- Do Włoch.

– Do Włoch?! – oburzyłam się. – Kury zawiezie, a nam nie zaproponuje?!

Teraz to już nawet Mariolka musiała zrozumieć, w jakim się znalazłyśmy podłym położeniu.

- Myślisz, Grażynka...
- Zofia.
- Myślisz, że Włochy to dobre miejsce na ucieczkę?
- Oczywiście!
- Aż za dobre – stwierdziła. – Na tej farmie pracują więźniowie?

Podniosłam brwi, spoglądając na Mariolkę. Jej to nawet do głowy nie przyszło, ale ja miałam pewne podejrzenie. Szturchnęłam ją łokciem.

- Musimy się tej farmie przyjrzeć – zaproponowałam.
- Mam już naprawdę dosyć twojego wymądrzania się i rozkazywania – odpowiedziała. – Mówił ci ktoś kiedyś, że jesteś irytująca?
- Już nie chcesz ratować swojej przyjaciółki?
- Tobie się wydaje, że jestem ci coś winna?
- Lojalności starcza tylko do bramy zakładu?
- Nie pogrywaj sobie ze mną, Grażynka...
- Zofia.
- Przejmuję dowodzenie i to ja powiem ci, co robimy – stwierdziła.
- Słucham w takim razie. Na pewno masz świetny plan. Zobaczymy, jaki z ciebie strateg.
- Najpierw przyjrzymy się tej farmie.
- Niezła myśl. – Pokiwałam głową z uznaniem.
- Tam się lepiej nie kręcić – wtrącił się nieoczekiwanie Quasimodo. Nie mogłam go rozgryźć.

– Czy pan mógłby może – zwróciłam się do niego – jednoznacznie i w prosty sposób określić, jakim pan jest człowiekiem? Bo jest pan jakiś niespójny. Zrobił pan dla nas jedną, może dwie rzeczy, które z pewnością można nazwać frajerstwem. Ale ja się do pana ciągle nie mogę przekonać. Ma pan może białą koszulę?

- Białą koszulę? – spytał. – A co to ma do rzeczy?

– Jak to co? W jakim pan świecie żyje? Biała koszula plus kilka frazesów wypowiedzianych z uśmiechem na ustach anonimowego bezkregowca wyniesie na sam szczyt.

## Rozdział 11

Nie zatrzymywał nas, gdy zdecydowałyśmy się odejść. I dobrze, bo nie zniósłabym widoku kolejnego gwałtu, jeżeli miałyby do niego dojść. Co innego piękny mężczyzna, co innego pokurcz i niechluj.

Wskazał nam drogę i życzył powodzenia. Stał na tarasie z kubkiem gorącej kawy, gdy zmierzałyśmy zarośniętą ścieżką do przekrzywionej furtki. Coś jeszcze powiedział, ale przejeżdżający pociąg skutecznie go zagłuszył. Pewnie to nic ważnego. Ckliwe dyrdymały dla takich małałat jak Mariolka.

Niedorzeczne wydało mi się, żebym choć przez chwilę mogła się zastanawiać nad mieszkaniem tu z nimi. Dałam się zauroczyć, wciągnąć, ponieść emocjom. Wspólny czas razem, ucieczka, przeżycia. Przecież to byli kryminaliści, a ja miałam faceta. Nie do wiary, z jaką łatwością człowiek przyzwyczajał się do nowych warunków, adaptował, wsiąkał.

Farma mieściła się na drugim końcu błotnistej drogi. Nie przypominała tej z amerykańskich filmów z wielkim wiejskim domem, wiatrakiem, silosem i wesołym farmerem w ogrodniczkach i kapeluszu. Była za to zniszczona brama, tonący w błocie podjazd i ciągnący się aż do wielkiej parującej góry gnoju długi, zniszczony, szary budynek z małymi okienkami. Nad wszystkim unosił się trudny do wytrzymania smród. Więzienny spaceriak to przy tym Pola Elizejskie.

Podeszłyśmy do stojącej po osie w bagnie furgonetki aresztu śledczego. Zapukałam w budę.

– Flaszka – szepnęłam. – Jesteś tam?

Nikt nie odpowiedział.

– Stać! – wrzasnął strażnik, który nagle się zjawił w drzwiach budynku.

– Co tam robicie?!

Zdążyłam jeszcze tylko zobaczyć, jak ściąga z ramienia karabin, i zaraz potem oślepił nas światłem latarki. Odruchowo wyprostowałam się i podniosłam ręce do góry.

– Nie strzelać! – zawołałam.

Dały o sobie znać pewne różnice kulturowe i pokoleniowe. Mariolka nie wychowywała się najwidoczniej na przygodach Hansa Klossa

i czterech pancernych. Nie podniosła rąk do góry, tylko ściągnęła w dół spodnie. Błyskawicznie kucnęła przy furgonetce.

– Cholera jasna! – wrzasnął strażnik. – Ile razy trzeba powtarzać, że jest od tego łazienka.

– Była kolejka – odpowiedziała Mariolka łamiącym się głosem.

– Była... była kolejka... – powtórzyłam jej słowa, jękając się. – Dlaczego by miało kolejki nie być?

– Wracać natychmiast do roboty!

Mariolka błyskawicznie podciągnęła spodnie i pomknęłyśmy szybciotko do budyneczku. Chwilowo nie przeszkadzały ani błoto, ani smród. Przeszłyśmy po kamieniach i deskach. Nieważne jak. W każdym razie nie utonęłyśmy.

Przepuścił nas.

– Mało was nie zastrzeliłem – burknął.

– Też miałby pan powód do chwały – odpowiedziałam.

– Nie przypominam was sobie.

– Polecam witaminy!

Hala była brudna, ciasna, śmierdząca i niedoświetlona, czyli takim niczym niewyróżniającym się przedsiębiorstwem produkcyjnym.

Przy długich blaszanych stołach ciągnęły się nieskończone szeregi identycznych ludzi. Mieli na sobie poszarzałe fartuchy, na poszarzałych twarzach maseczki, a na głowach idiotyczne siateczki. W półmroku wyglądali jak surrealistyczna armia psychopatów znęcających się nad poćwiartowanymi zwłokami kurczaków.

Każdy był bez życia, poruszał się powoli i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Z wyjątkiem jednego człowieka. I to on na tle pozostałych wyglądał na najbardziej szalonego. Uwijał się przy taśmie kilka razy szybciej niż inni. W oczach miał entuzjazm dalece przekraczający granicę obłądzenia. Sprawdzał dokładnie każdą partię pakowanego mięsa, a nawet udzielał rad i poprawiał pracę sąsiadów. Po prostu lubił pracę! Odrażające!

Nawet nie musiałam mu się przyglądać. Znałam tylko jednego takiego degenerata. To mógł być tylko Golum!

Wyglądał, jakby brał udział w kulinarnym programie telewizyjnym i gotował rarytasy dla milionowej publiczności.

Zajęłyśmy wolne miejsca. Mięso wydawało się zbyt agrarne, zwierzęce, dzikie. Otaczały nas tysiące kurczaków. Gapiły się na nas i gdakały. Nie

wiadomo o czym. Mogły planować krwawą rebelię.

Odruchowo walnęłam pięścią w leżącą przede mną tuszę. Oczy wszystkich osób skierowały się w moją stronę.

– Co robisz? – spytała Mariolka.

– Przypomniał mi się Folwark zwierzęcy – odpowiedziałam.

– Pani tutaj? – Golum wybałuszył wielkie oczy. – Co pani tu robi?

– Przybywam, żeby pana uwolnić – odpowiedziałam sarkastycznie.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że nie, bałwanie jeden! Zabiłeś człowieka, to musisz ponieść karę!

– A pani za co tu się znalazła? Jeżeli można wiedzieć.

Więzienie mogło każdego zmienić na gorsze, choć wydawało się, że z pewnego poziomu nie da się już spaść.

– Mariolka, ty musisz pracować za siebie i za mnie – zwróciłam się do niej.

– Jak to sobie wyobrażasz? – oburzyła się.

– Ja tego nie dotknę.

– A ja to co?

– To jest zbyt żywe. A ty już gorszych rzeczy dotykałaś.

– O czym ty mówisz?! Niby jakich?!

– Daj spokój, nie będziemy tutaj o tym dyskutować.

Zdenerwowała się, ponieważ przerwałam jej obserwację.

– On ci się podoba? – spytałam.

– Komu by się nie spodobał? – odpowiedziała. – Męski, silny, wspaniały...

– W dodatku wolny. To mój sąsiad. Mogę cię zapoznać.

– Nie mówię o nim! Zwariowałaś do reszty?!

– Okej, skąd miałam wiedzieć? Mówiłaś, że długo już odsiadujesz...

Podczas naszej niedługiej znajomości zaobserwowałam u Mariolki spore skłonności autodestrukcyjne. Jeżeli czegoś z tym nie zrobi, to ciężko jej będzie dożyć choćby do emerytury. Ze wszystkich ludzi zatrudnionych przy kurczakach ona wypatrzyła sobie akurat Małego Stopę. Przecież to musiało zakończyć się katastrofą.

Na szczęście odpowiednio wcześniej pojawiła się właściwa osoba i zapobiegła najgorszemu. Oto nachyliła się nade mną przemiała staruszka. Miała na sobie fartuch, ale także nakrycie głowy przypominające to zakonnicy. Przemówiła ciepłym, kojącym głosem.

– Jesteś grzeszna? – spytała.  
– Grzeczna? – dopytałam, bo chyba niedosłyszałam.  
– Grzeszna.  
– Ale pytanie! – fuknęłam. – Święta się znalazła.  
– Nie obawiaj się – rzekła. – Jeżeli obiecasz poprawę i odpokutujesz, to nasz pasterz nie pozwoli ci dłużej cierpieć.  
– Ciężka ta pokuta? – spytałam.  
– Dostyc ciężka – odpowiedziała. – I bolesna.  
– To ja nie jestem zainteresowana. Nie skorzystam.  
– Dobrze się składa, bo liczyłam bardziej na twoją koleżankę.  
– Dlaczego?  
– Jak to dlaczego? Młodsza.  
– Tylko młodsza i młodsza... Ja też wytrzymam pokutę. O co konkretnie chodzi i jak skontaktować się z tym pasterzem?  
– Miałam na myśli naszego Pana!  
– Ach, Pana. No tak. Oczywiście. Farma i te kurczaki mnie zmyliły.  
Zakonnica uśmiechnęła się demonicznie, po czym nachyliła się do mojego ucha.  
– Mogę umożliwić wam ucieczkę – wyszeptała konspiracyjnie.  
– Ucieczkę?! – skrzywiłam się. – Nie... chyba nie... Ucieczkę...? Nie, dziękujemy...  
Trąciłam łokciem Mariolkę.  
– Miła pani proponuje ucieczkę – poinformowałam koleżankę.  
Na jej twarzy pojawił się grymas.  
– Ucieczkę? – odpowiedziała. – Znowu? Wolność jest przereklamowana. Spytaj, czy ma kupony rabatowe albo jakieś zniżki.  
– Dziękujemy za propozycję – zwróciłam się do staruszki. – Doceniamy, to niezwykle atrakcyjna oferta, ale jesteśmy bardzo zajęte i mamy już swoje plany.  
Siostra patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Zmarszczyła nos i wyszczerzyła krzywe zęby.  
– Głupie jesteście czy jak?! – odpowiedziała już nie takim ciepłym i kojącym głosem.  
Mariolka przyjrzała się jej.  
– Przecież to Bernadetta – stwierdziła. – Nie rozmawiaj z nią. To, co zrobiła, jest tak złe i okrutne, że odebrałoby ci wiarę w ludzi.  
– Naprawdę? – spytałam.

– Uwierz mi na słowo. A wiesz, co jest najgorsze? Że ona nie poniosła za to żadnej kary. Żyje spokojnie w więzieniu bez żadnych konsekwencji. Wyobrażasz sobie? Ale już za dojechanie jej to kara jest! Izolatka!

– Trudno uwierzyć – stwierdziłam – że takie osoby przebywają między nami.

Bernadetta zdenerwowała się.

– Jak sobie chcecie – powiedziała z wściekłością. – Ale jeszcze żadna nie była tak głupia, żeby nie skorzystać z ucieczki! Zwłaszcza że zagraniczna, z gwarancją zatrudnienia! Dożywotnią!

Odeszła.

Była zeschnięta, pochylona, a fartuch ułożył jej się, jakby miała ogon. Gdy spojrzała na mnie spode łba, to aż mi się zimno zrobiło.

– Słyszałaś? – spytałam Mariolkę. – Z pracą.

– Dobrze, już dobrze – odpowiedziała, posyłając jeszcze jeden uśmiech Małemu Stopie. – Idziemy.

Bernadetta ruszyła w głąb hali. Strasznie nam się nie chciało wstawać, ale zrobiliśmy to. Zakonnica zatrzymała się na chwilę obok strażnika i coś mu powiedziała, spoglądając na nas. Potem zniknęła za drzwiami.

Ruszyliśmy jej śladem.

– Znowu? – spytał strażnik.

– W moim wieku to nawet co pół godziny – odpowiedziałam.

– A koleżanka?

– Do towarzystwa.

Dołączyliśmy do niej za drzwiami.

Szła wąskim skrawkiem ziemi wzdłuż budynku. Tylko w ten sposób dało się przejść, nie grzęznąc w błocie po kostki. Podążyliśmy jej śladem.

Minęliśmy górę gnoju, za którą stała wielka biała ciężarówka z nieudolnie namalowanym kurczakiem. Przypominał nieco smoka z polskiej adaptacji Wiedźmina.

Siostra z godną podziwu wprawą zwolniła rygle i otworzyła tylne drzwi ładowni.

– Właźcie – powiedziała do nas.

– Ja mam zniżkę na drugą klasę – odpowiedziałam. – Może ty, Mariolka, wejdź tutaj, a ja usiądę z przodu.

– Do środka, obie.

Chwyciłam się niewielkiej poręczy i spróbowałam wciągnąć na niewielki schodek. Sporo mi pomogły we dwie, ale że ja o żadną pomoc

nie prosiłam, to czułam się, jakbym sama weszła, a było całkiem wysoko. Gdy spojrzałam na nie z góry, stwierdziłam, że nie jest tak źle z moją sprawnością.

Mariolka też się szybko wdrapała i po chwili obie wpatrywałyśmy się w rzędy klatek pełne drobiu. Zapachu nie dało się po prostu opisać, co nie znaczy, że nie warto spróbować. Paralizujący, gęsty, lepki smród wydobywający się z kilkunastocentymetrowej warstwy ptasich odchodów zalegającej w każdej klatce. Kilka minut w takiej atmosferze nawet z dzikich kanibali zrobiliby wegetarian.

– Dalej, dalej – nakazała Bernadetta.

Nie było to zbyt przyjemne, ale z jednej strony istniało wąskie przejście, którym można było przedostać się w głąb ładowni.

Klatki, kurczaki... klatki, kurczaki... i klatki, i kurczaki...

– Zdejmij kłódkę i pchnij – zawołała Bernadetta, gdy dotarliśmy do stalowej ściany, która wyglądała jak koniec ładowni.

Kłódka była otwarta, ale zapewne uniemożliwiała otworzenie drzwi z przeciwnej strony.

Zdjęłam, pchnęłam i otworzyłam.

Małe pomieszczenie pokryte blachą. Półmrok. Kilkanaście osób skulonych pod ścianą. Przykute łańcuchem do podłogi.

Trąciłam Mariolkę łokciem.

Fłaszka.

– Zobacz, jaka jest zniszczona, zapuszczona, brudna, śmierdząca – powiedziałam do swojej towarzyszki.

Fłaszka podniosła głowę.

– Pieprz się! – krzyknęła na mnie. – To przecież te kurczaki tak śmierdzą!

– Chyba nic jej nie jest – zauważyłam z ulgą. – Kim są ci ludzie?

– Syryjki, nasze osadzone i jeden kurier DPD.

Popatrzyłam jeszcze chwilę na tych ludzi, których już prawie zupełnie odczłowieczono. Nie byłam głupia, żeby nie wiedzieć, że wszystko jest na sprzedaż, ale wszystko miało też swoje granice.

– Kurier DPD? – spytałam.

– A przetrzucał ciągle paczki przez płot, skurwysyn jeden. Nie dało mu się przetłumaczyć. Jedną w nocy pies rozerwał i wszystko zniszczył.

– Tak czy inaczej – zwróciłam się do Bernadetty oficjalnym tonem – ja i koleżanka odstępujemy od umowy. Prosimy się więcej z nami nie



kontaktować i usunąć nasze dane z bazy. Żegnam.

Ukloniłam się. I już miałam zmierzać do wyjścia, gdy przed nami stanęli Golum i Mała Stopa. Nigdy wcześniej nie ucieszyłam się tak na ich widok. I to się akurat nie zmieniło.

– Uwolnijcie tych ludzi – powiedziałam z przejęciem.

Nie zareagowali.

– Co tak stoicie? – spytałam zbita z tropu.

Przyjrzałam się im. Nie mieli zamiaru pomóc. Golum trzymał dwa łańcuchy, a Mała Stopa kłódki i pęk kluczy.

– Nie wierzę – stwierdziłam.

– Inaczej nie dostałbym pracy poza murami – odezwał się w końcu Golum.

– Ja nie będę się tłumaczył. Od kiedy cię spotkałem, mam same kłopoty – dodał Mała Stopa.

– Z kobietami? – spytałam.

– Siadać na podłogę i ręce przed siebie – powiedział.

Po co na świecie są mężczyźni? Od tysięcy lat rozpieprzają świat. Zbudowali cywilizację chciwości, rywalizacji i samozagłady. Ogromnie zawyżona cena za tych kilka plemników.

– Dobrze – stwierdziłam. – Sama sobie poradzę.

Stanęłam w rozkroku, przekrzywiłam buńczucznie głowę i podwinęłam rękawy.

– Chodź tu, sucharze! – zawołałam siostrę. – Czas, żeby ogłosiło bankructwo to twoje biuro podróży!

Zakonnica wystawiła połamane pazury i wyszczerzyła krzywe zęby. W jej oczach było szaleństwo. Zacisnęłam pięści i czekałam na to, co się stanie. Miałam niewielkie doświadczenie w sportach walki, w dodatku ze znacznie większymi zawodnikami wagi ciężkiej i płci męskiej. Jako lżejsza, a przez to szybsza i sprytniejsza, miałam swoje atuty. Było to głównie zaskoczenie, jakie powodował u przeciwnika desperacki atak staruszki.

W tej konfrontacji byłam jednak pozbawiona tej przewagi. Bernadetta wydawała się szalona. Choć trudno było to sobie wyobrazić, ja przy niej byłam uosobieniem spokoju, wcieleniem cierpliwości, powściągliwości, wstrzemięźliwości i wzorem opanowania. Byłam tak spokojna, że przy mnie nawet Bronisław Komorowski wydawał się mieć ADHD.

Nagle szybkim ruchem chudej jak patyk ręki sięgnęła pod fartuch. Nie dobytej jednak miecza, bo pewnie by go nawet nie uniosła, ale drewniany krzyż. Wyciągnęła go przed siebie i zaczęła niewyraźnie bełkotać.

– W imię Jezusa... – Zdążyła tylko tyle powiedzieć, gdy nagle krzyż pękł.

– To znak! – krzyknęłam i spojrzałam na pozostałych.

Mariolka uśmiechnęła się kwaśno, Golum wbił wzrok w podłogę, a Mała Stopa pokręcił głową.

– Gównno, nie znak! – krzyknęła siostra. – Chińska tandeta!

Chwilę potem jej fartuch załopotał niczym diabelska peleryna, uwalniając przy tym stado moli. Bernadetta wzbiła się w powietrze, a potem spadła na mnie niczym szczerbata harpia wpijająca się w kark. Próbowałam ją zrzucić, ale uczepiła się jak prezes Najwyższej Izby Kontroli stanowiska.

Nie byłam przekonana, czy sobie z nią poradzę. Było w niej coś demonicznego i drapieżnego. Czułam się jak łania skazana na pożarcie.

Runęłyśmy na ziemię, a ona wczepiła pazury w moją delikatną szyję. Wtedy usłyszałam głos Mariolki.

– Rozumiem, że mogłabym przejąć twoje rzeczy z więziennego depozytu? – spytała.

– Nie ma mowy – odpowiedziałam resztką sił. – Po moim trupie!

– Właśnie o tym mówię.

– Pomóż...

– Nie no, sorry, ale to jest demon, wcielone zło... nikt normalny z nią nie zadziera. Poza tym wydaje się, że to jest sprawa między wami. Lokalny spór. Nie chcę przeszkadzać. Dobrze ci idzie. Wszyscy, jak tu stoimy, jesteśmy głęboko oburzeni tym, jak ona z tobą postępuje. Emocje się w nas gotują. Będziemy to długo komentować. Zapewniam cię.

Niestety, mój apel o pomoc okazał się zupełnie chybiony. Zareagował na niego zawsze chętny do sąsiedzkiej pomocy Golum. Rozejrzał się gorączkowo swoimi wyłupiastymi oczami, chwycił stojącą niedaleko miotłę i wziął potężny zamach.

– Puść ją, ty cholero! – krzyknął.

Zaraz potem potężnie uderzył miotłą, ale ostrzeżona w porę Bernadetta uchyliła się. Niestety, przyciśnięta przez nią do ziemi i zasłonięta nie zdążyłam pójść w jej ślady. Oberwałam wierzbowym wiechciem prosto w twarz.

– Przepraszam! – zawołał Golum, biorąc kolejny zamach.

Tym razem nie ostrzegł zakonnicy wprost, ale ta i tak spojrzała na niego.

– Nie szkodzi, chłopcze – odpowiedziała. – Dobrze ci idzie.

– Dziękuję. Staram się.

Trach!

Bernadetta odsunęła się, ja też chciałam, ale mnie przytrzymała.

– Przestań pan, do cholery, mi pomagać! – krzyknęłam. – Bo mnie pan w końcu zatłucze!

Spojrzałam na Mariolkę. Od początku wiedziałam, że nie powinnam się z nią zadawać. Życie nauczyło mnie, żeby nie ufać ludziom bez tyłka.

– No dobra – stwierdziła Mariolka. – To powiem ci coś...

Kobieta, którą jeden raz w chwili słabości nazwałam, ale tylko w myślach, przyjaciółką, mogła mi zaoferować jedynie kolejną nudną więzienną opowieść. A ja nie miałam już raczej całej nocy na słuchanie.

Opowiedziała mi, za co siedziała Bernadetta...

Czegoś tak odrażającego jeszcze nie słyszałam. Wszystko, co mnie do tej pory spotkało, wydało się śmiesznie małe i banalne w porównaniu z tym, co przeżyły skrzywdzone za jej sprawą dzieci.

– Złaż ze mnie, kanalio! – wrzasnęłam święcie oburzona tym, że coś tak obrzydliwego mogło mnie dotyczyć i mieć ze mną styczność. – Brzydzę się ciebie!

Tfu! Naplułam jej w twarz, a było to tylko preludium tego, co miało ją spotkać.

Krew się we mnie zagotowała. Jeżeli tak rozgrzana dostałaby się do mózgu, ten zwarzyłby się jak twaróg. Więc się nie dostała. Niedotleniony nie mógł myśleć. Byłam zdana tylko na najprymitywniejsze instynkty. Chciałam, żeby była to ucieczka, ale przygniotło mnie to zeschnięte babsko. Poczułam coś dziwnego i obawiałam się, że właśnie stało się najgorsze, bo swoim kościstym dupskiem wraz z całym ciężarem usadowiła się wprost na moim pęcherzu. Ale to nie to! Cóż by to było za marne zakończenie. Chodziło o coś innego.

Niczym stara, nieużywana garkuchnia powoli odpaliły gruczoły dokrewne. Ciśnienie niemal gwizdało mi w uszach. Czerwony alarm świecił mi się przed oczami z każdym uderzeniem serca. Cały mój organizm zebrał się w sobie do ostatecznego wysiłku, złotego strzału... do wyprodukowania ostatniej kropli adrenaliny!

Łokieć zemsty będący w skromnym arsenale emerytki odpowiednikiem miecza był już w gotowości. Niszcząca, twarda, nieunerwiona powierzchnia, którą toruje się drogę przez życie staruszki. Łokieć sprawiedliwości. Krótkie, szybkie, niesygnalizowane uderzenie.

Czekałam. Powoli przysła. Organiczny związek chemiczny, hormon zwierzęcy, neuroprzekaźnik katecholaminowy. Wypełniła tętnice i rozpała mięśnie. Napięłam się niczym walijski łuk Mariolki i...

Bam! Walnęłam ją prosto w łeb!

Daję słowo, że zakonnica wystrzeliła w powietrze i uderzyła w sufit ciężarówka. Jak znalazłam się na nogach, nie wiem. Ale co za cyrk odstawiła tamta, tego się nie dało opisać. Miotła się bez koordynacji po całej ładowni. Totalny chaos. Nie oszczędzała się. Tłukła głową i co chwila padała na ziemię.

– Grażynka!

– Zofia...

– Dość... bo ją zabijesz...

Zrobiło mi się ciemno przed oczami i duszno. Coś ścisnęło mi głowę.

– Tak, tak – dodał Golum. – Spoci się pani i przeziębienie gotowe.

Przyklękałam.

– Zmęczyłam się – oznajmiłam.

– Nic dziwnego.

– Nie będzie drugiej? – spytał Mała Stopa. – Mnie się podobało.

Poczułam czyjeś ręce na plecach. Potem chyba niewiele się działo. Jakbym zasypiała. Zapadała się w ciemność, ale bez strachu. Bez oddechu, który wydawał się niepotrzebny. Po chwili ocknęłam się i przez moment nie wiedziałam, co się dzieje. Jak komputer, na którym ciągle robi się te same rzeczy, a on po włączeniu zawsze udaje, że nie wie, o co człowiekowi tym razem chodzi.

Mała Stopa niósł mnie na rękach. Golum dreptał za nim, wspierając Flaszkę. Reszta ludzi uciekła. Mariolka była już wtedy niemal nieobecna. Uwiesiła się już na Małej Stopie i obmacywała. Co jakiś czas czułam jej ręce na sobie. Przepraszała wtedy za pomyłkę.

– Jesteś taki męski – mówiła do niego. – Uratowałeś nas.

– Daj spokój, nic nie zrobiłem – odpowiedział.

– Tylko bohater może tak powiedzieć. Chyba cię kocham, wiesz?

– Wiem.

– Co z Bernadettą? – spytałam.

– A niech jedzie. Skoro lubi, to będzie miała przemoc, gwałtu i seksu bez przyzwolenia pod dostatkiem.

– To dobrze, bo nie ma się co mścić.

Mała Stopa zamknął drzwi ciężarówki i trzy razy uderzył w budę. Po chwili zaterkotał silnik, a z okna szoferki wychylił się Quasimodo. Pomachał do nas, jednym okiem patrząc w niebo, drugim w ziemię.

Odjeżdżając, wyrzucił spod tylnych kół tyle błota, że nazarzyliśmy się go jak świąteczne karpie w stawach hodowlanych.

Staliśmy tak przez chwilę, gdy nie wiadomo skąd wyrosło dwóch strażników. Od razu byli wkurzeni, zdjęli karabiny, przeładowali i jeszcze chwila, a nafaszerowaliby nas ołowiem.

– Na ziemię! – wrzasnął pierwszy. – Wszyscy na ziemię!

Zamurowało nas.

– Daj pan spokój – odezwałam się oczywiście. – Nie widzisz pan, jakie błoto?

– Gleba! Kurwa mać! – zapienił się drugi.

– I do tego cham! – dodałam.

Golum poddał się od razu, chociaż z pewnością jego życie było najmniej warte. Przykląkł najpierw na jednym, potem na drugim kolanie.

– Bardzo ciekawe, kto to panu upierze – stwierdziłam. – Może panowie strażnicy.

Pierwszy z nich wzniosł lufę do góry i wystrzelił w powietrze.

Jak nie huknęło!

Natychmiast wszyscy padli gębami w błoto.

Oprócz mnie rzecz jasna. Byłam z nich najodważniejsza, przy moim słuchu hałas nie był też aż tak uciążliwy.

– Może się lepiej położyć – zaproponowała cicho Flaszka, unosząc nieznacznie głowę znad błota.

– Z moim chorym biodrem nie położę się bez pomocy.

– Na ziemię! – wrzasnął. – Bo strzelam!

– Nie pokrzykuj na mnie, gówniarzu – odpowiedziałam.

Był zdenerwowany i możliwe, że nie był pewien, jak postąpić w tej sytuacji, ale wiedział dobrze, że nie może ustąpić i że ma swój regulamin, który zwalnia go z myślenia w przypadku zaistnienia kryzysowej sytuacji.

– Kładź się, bo strzelam! – ryknął.

W tym momencie poruszył się Golum. Podniósł twarz z błota i spojrzał na mnie tymi swoimi wielkimi, wyłupiastymi niebieskimi oczami.

– Nie kładzie się pani? – spytał.

– Nie.

– To ja wstanę.

Jak powiedział, tak zrobił. Gramolił się chwilę w brunatnej mazi, a potem na oczach zaskoczonych strażników podniósł się i stanął obok mnie.

– Co robisz, człowieku?! – wrzasnął strażnik. – Chcesz zginać?!

– Zimno tak leżeć w błocie, panie strażniku – odpowiedział Golum. – A ja się nie chcę przeziębic.

Ręce mu się trzęsły i wyraz twarzy miał niepewny.

– Jeżeli nas zastrzelą – zwróciłam się do Goluma – to wrócimy ich straszyć.

Wziął mnie za rękę. O matko. Ckliwie się zrobiło.

– No wal pan z tej armaty – zawołałam do strażnika – bo ludzie marzną.

Po chwili z ziemi podniosła się Flaszka. Telepało ją jak starego paralityka. Nic nie powiedziała, cała się trzęsła. Chwyciła mnie za ramię i schowała się za mną, wychylając tylko głowę, żeby zobaczyć, co robią strażnicy.

– Kurwa mać! – odezwał się Mała Stopa, podnosząc z błota. – Wykończy mnie to babsko! Ja pierdolę!

Strażnicy spojrzeli na siebie.

– Dogadajmy się jakoś – zaproponował Mała Stopa.

– Wróćcie spokojnie do zakładu – odpowiedział strażnik.

– Pewnie, że wrócimy – zgodziła się Mała Stopa.

– Kolega podejdzie i was skuje – kontynuował strażnik z karabinem przy oku. – Jeżeli któreś choćby drgnie, strzelam bez ostrzeżenia!

Drugi strażnik powiesił karabin na ramieniu, wziął kajdanki i powoli ruszył w naszą stronę.

– Już można wstać? – spytała Mariolka, podnosząc głowę.

– Nie teraz! – krzyknęłam. – Głupia jesteś? Pozabijają nas!

– Leż! – zawołał Mała Stopa.

Zrobiło się zamieszanie. Kilkoro z nas poruszyło się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Strażnikowi z karabinem puściły nerwy.

Padł strzał!

Nie wiedziałam, co się dzieje. Golum rzucił się na mnie i powalił na ziemię. Mała Stopa oberwał kolbą od drugiego strażnika i runął w błoto.

Po chwili wszystko się uspokoiło.

– Ktoś jest ranny? – spytał Golum.

– Chyba nie – odpowiedział zdezorientowany strażnik, trzymając w rękach dymiący karabin. – Chybiłem.

– Coś ty najlepszego zrobił, człowieku?

– Leżcie. Skujemy was i przewieziemy do zakładu.

Tak się stało. Zanim to jednak nastąpiło, wróciliśmy na halę, gdzie musieliśmy zaczekać, aż zmiana skończy pracę i będziemy mieli transport.

– Gdzie Bernadetta? – spytał jeden ze strażników.

– Jak to gdzie? – odpowiedziałam, wskazując na Flaszkę. – Tutaj.

– Coś młodo wygląda – odpowiedział.

– To cud! – stwierdziłam.

Spojrzałam na resztę.

– Tak, to cud! – zaśmiała się Mariolka.

Wróciliśmy.

Mimo wszystko czułyśmy się zwycięsko. Uratowałyśmy Flaszkę. Mogłyśmy osiągnąć tak wiele. Myślałyśmy tak przez pierwsze kilkadziesiąt minut. Po godzinie czułyśmy się po prostu zwyczajnie. Dzień jak co dzień. Po dwóch godzinach siedzenia pod ścianą z rękami skutymi za plecami uważałyśmy, że dzień był wyjątkowo gówniany. A tuż przed końcem zmiany żałowałyśmy, że nie pojechałyśmy ciężarówką do Włoch.

## Rozdział 12

Gdy przyszła pora powrotu do zakładu, ustawiliśmy się w kolejce do więziennego busa. Czułam się niczym pies ze schroniska wyprowadzony w weekend na spacer po lesie. Chwilę taki pobiega jak oszalały, a zaraz potem ciągnie ile sił z powrotem do swojej klatki. Głupi pies przyzwyczajał się do tego ścisku, hałasu, zimna, podłego jedzenia i zniewolenia. Myślał, że to jego dom, a inne porzucone zwierzęta to jego rodzina i przyjaciele.

Podróż była krótka. Mała Stopa i Golum byli od nas oddzieleni kratką. Oryginalnie służyła ochronie kobiet. Obecnie zdawała się służyć bezpieczeństwu Małej Stopy. Usiedli z Mariolką na samym końcu busa jak najbliżej siebie po dwóch stronach kratki.

Ja siedziałam obok Flaszki.

– Dziękuję, że po mnie przyszłyście – powiedziała.

– Jak ty się w to, dziecko, wmieszałaś? – spytałam. – Bank, defraudacja, Ewa Nowak, prokurator, zeznania... Co cię łączy z tymi ludźmi?

– Połowę życia spędziłam na melinie.

– To lepiej niż w banku.

– Pewnego dnia bardzo źle się czułam, nie było co pić, myślałam, że umrę. Przyjechali drogim samochodem, mężczyzna i kobieta, elegancy, wzbudzający zaufanie. Zgarnęli nas do busa. Zamroczonych. Byliśmy tylko w stanie odnaleźć dowód osobisty i przypominać sobie ze zdjęcia. Doprowadzili nas do porządku i zawieźli do banku na podpisanie dokumentów. Zapłacili po parę tysięcy złotych. Piliśmy za to przez kilka miesięcy.

Nagle szarpnęło nami gwałtowne hamowanie. Przejazd był zablokowany przez nieszanujących prawa chuliganów. Co krok człowiek takich napotykał. Chodzili w kółko, krzyczeli i wymachiwali transparentami. Nie było na takich siły. Kierowca, zamiast dodać gazu, zatrzymał się i dyskutował.

Gdy ruszył i przedarł się na drugą stronę barykady, nie mogłam uwierzyć w to, że na czele żalosnej bandy stali mój syn i Henryk. Co za poniżenie. Nawet w więzieniu musiałam się za nich wstydzić.



Dawno tak mnie nie zawiedli. Nie wymagałam od nich wiele, ale mogli chociaż spróbować coś zrobić w mojej sprawie. Zamiast tego woleli wszczynać burdy na mieście! Jeszcze ludzi w to wciągnęli. Ze sto osób albo i więcej. Trawnik deptali. Starzy i młodzi. Niektórzy nawet porządnie ubrani. Stała tam z nimi czarnoskóra kobieta w granatowej garsonce i wysoki jasnowłosey brodac z unijnej delegacji. Reporterka ich przepytywała, a silny facet z wielką kamerą na ramieniu filmował. Matko! Zakryłam ręką twarz, żeby nikt mnie nie poznał i nie pomyślał, że ci dwaj najbardziej awanturujący się to moja rodzina!

Uspokoiliam się dopiero za bramą. Nie mogłam też oprzeć się przyjemnemu wrażeniu powrotu do domu. Smakowite zapachy z kuchni. Na kolację pewnie będzie mielonka. Dalej pralnia i kaplica. Korytarz skromny, niezbyt tłoczny, rześki, bogato zdobiony kolejnymi warstwami farby, pachnący domem. Sympatyczna kobieta o lekko asymetrycznych ustach zaprosiła grzecznie do siebie:

– Rozebrać się, kucnąć, zakasać! – krzyknęła głośno.

Niektóre to się przy tym awanturują, ale jaki to kłopot się rozebrać? Żaden! Jeżeli ktoś się wstydzi własnego ciała, to jego problem. Ja byłam ze swojego dumna. W dodatku rozumiałam doskonale, że owa kobieta taką miała pracę i musiała te swoje rutynowe czynności wykonywać. Nawet gumowe rękawiczki założyła, żeby nas nie pobrudzić, mimo że i tak byłyśmy już ubłocone.

Rozebrałyśmy się i kucnęłyśmy.

– Kratki się pani odbiły – powiedziała strażniczka.

– Mnie? – spytałam.

– Koleżance.

Przemilczałyśmy. Różne rzeczy w więzieniu się działy i nikogo to nie dziwiło.

Po rewizji miły człowiek, Kloc, poprowadził nas na oddział. Wszystko takie przytulne i znajome. Jakby się wracało do rodzinnego domu. Niezbyt wystawnego, mniejszego, niż się pamiętało, ale naszego.

Nawet Mariolce łza się zakręciła w oku. Ja też czułam przyjemne ciepło w sercu, będąc coraz bliżej domu. W końcu u siebie. Zmęczone, ale zadowolone.

Cela także wydała mi się czystsza i wygodniejsza. Telewizor większy i bardziej płaski, łóżka bardziej drewniane niż metalowe, materace

pachnące i bardziej miękkie, pleksi w oknie przezroczyste, a grzałka z kabla i sprężyny zamieniła się w elektryczny czajnik.

– O ja pierdołę – zachłysnęła się Mariolka. – Telewizor LCD! Widziałaś?

– Pewnie, że widziałam – odpowiedziałam. – A niby dlaczego miałam nie widzieć?

– Ktoś się chyba wprowadził – stwierdziła Mariolka.

– Zabrać przybory toaletowe i idziemy – powiedział stanowczo Kloc.

– Dokąd?! – spytała Flaszka.

– Do izolatki – odpowiedział. – Posiadanie środków odurzających, podanie ich funkcjonariuszce służby więziennej, bunt, dewastacja wyposażenia zakładu karnego, spowodowanie uszkodzenia ciała, ucieczka...

– Dobrze, już dobrze. – Machnęłam ręką. – Ależ to nudno brzmi z pana ust. Z pewnością dałoby się to atrakcyjniej opisać.

Zamknął klapę i poprowadził nas dalej. Mariolce nie spodobała się oferta. Zaczęła się wyrywać, skutkiem czego Kloc musiał ciągnąć ją po podłodze.

– Ja nie chcę – powtarzała. – Ona to wszystko wymyśliła.

Nawet jeżeli miała rację, nie zmieniało to faktu, że podróż do izolatki dłużyła się niesamowicie, ponieważ co chwila przystawaliśmy, żeby Kloc mógł w inny sposób chwycić rzucającą się bez przerwy Mariolkę. Strasznie się z nią namęczył. Jeszcze chwila i byłby się spocił. Ostatecznie, przechodząc obok dyżurki, poprosił kolegę o pomoc. Podzielili się nami i zamknęli każdą na innym oddziale.

Jeszcze długo słyszałam wrzaski Mariolki. Ależ to była ulga, gdy w końcu zamknęły się za mną szczelnie wyciszone drzwi izolatki.

– Uff – stwierdziłam głośno. – W końcu cisza.

Wreszcie święty spokój. Nikt niczego ode mnie nie chce. Nie mówi, kiedy ja nie chcę słuchać, nie zabiera mi przestrzeni, nie działa na nerwy i nie męczy swoim towarzystwem. Niespodziewanie osiągnęłam to, do czego wielu mędrców dążyło przez całe życie – całkowite wyciszenie. Wcale nie musiałam włączyć na żadną górę ani siedzieć latami w lesie. Ha! Tacy mądrzy, Budda, dalajlama i cała reszta, a jakoś na to nie wpadli, że wystarczyło pójść do więzienia i dać się zamknąć w izolatce!

Chciałam jedynekę i dostałam!

W sanatorium trzeba przyjechać nawet dzień wcześniej, żeby się zapisać na pojedynczy pokój, a i tak nie zawsze się uda. Prawdę

powiedziawszy, to już chyba nie chcę tego turnusu w Busku-Zdroju. Po co mi? Krioterapię mam, bicze wodne mam, śmierzącą wodę do picia też dostaję. Nawet do pijalni nie muszę chodzić. Co więcej mogliby mi zaoferować?

Jeszcze tylu starych ludzi tam przyjeżdża. A ja tu mam młodzież. Energiczne osoby. Niektóre aż za bardzo.

W końcu tylko we własnym towarzystwie. Czego chcieć więcej? Świat skurczył się do rozmiarów niewielkiego, ale oczywiście wygodnego pomieszczenia. Reszta mnie już najprawdopodobniej nie dotyczyła. Z tego, co mi mówiono, rzadko kto wychodził z izolatki przy zdrowych zmysłach. Przy moim słabym stanie zdrowia oceniałam, że szanse na przeżycie izolatki są jak postrzelenie ministra w środek głowy i trafienie w mózg – znikome.

To nie byłaby zła śmierć – w izolatce. Lepiej niż w poczekalni szpitala lub na ulicy wbita w chłodnicę drogiego niemieckiego samochodu, którego kierowca nie wie, że człowiek chciałby raz na jakiś czas wyjść z domu i się przejść. Nie taka zła śmierć. W łóżku, w ciszy, w spokoju i w jednym kawałku.

No ale zanim ta śmierć nadejdzie, to będzie musiało być trochę nudno. Na pewno. Oj tak. I to ta nuda była karą. Najgorszą torturą.

Mnie na szczęście to nie dotyczyło. Inteligentni ludzie się nie nudzą. Dla mnie przebywanie z własnymi myślami było wielką przyjemnością, cenną nagrodą. W moim umyśle istniał przecież mój cały świat, ludzie, miejsca, zdarzenia. We mnie to wszystko było. Poza przestrzenią, czasem, niezależnie od przemijania. Nikt mi tego nie mógł zabrać.

Tylko z kim miałam się tym wszystkim podzielić?

– Wypuście mnie stąd! – krzyknęłam. – Barbarzyńcy! Podli sadyści!

Od razu mi się zrobiło lepiej. Zaczęłam też w ramach relaksu i utrzymywania dobrej formy walić pięściami w ciężkie stalowe drzwi. Nikomu to najwyraźniej nie przeszkadzało, bo żaden się nie odezwał. Pewnie wszyscy byli akurat zajęci.

Dopiero po wielu godzinach bluzgania i łomotania coś usłyszałam.

Ktoś się odezwał, ale nie zza drzwi. Był to miły cichy kobiecy głos. Nie wiedziałam, skąd dochodzi.

– Nie krzycz – powiedziała. – To ci nie pomoże. Spokojnie, uspokój się. Rozejrzałam się. Wokół ściany. Przecież nawet nie miałam okna.

– Wszystko będzie dobrze – kontynuowała. – Razem przez to przejdziemy. Damy radę.

Kratka wentylacyjna znajdowała się w trochę nietypowym miejscu – pod zlewem. Nie zwróciłam na nią wcześniej uwagi. Może strażnicy także. Chcąc nas odizolować, nie pomyśleli, że w tanim budownictwie dźwięki niosą się kanałami wentylacyjnymi.

– Kim jesteś? – spytałam, siadając na podłodze obok zlewu.

– A co to za różnica? – odpowiedziała.

– Faktycznie.

– Twoją przyjaciółką.

– Za co tu jesteś? – spytałam.

– Za nic. Tak jak ty.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

Jakiż ten świat jest zdeformowany i wypaczony, że człowiek musi znaleźć się w najpodlejszej życiowo sytuacji, żeby w końcu spotkać mądrą i życzliwą osobę. Nawet najbliżsi nie przyniosą ukojenia, nie przyjdą, nie porozmawiają, awanturują się tylko za bramą, a wsparcie trzeba uzyskać od obcych.

– Tęsknisz za bliskimi? – spytała.

– Skąd wiesz? – odpowiedziałam.

– Każdy tęskni. Nawet jeżeli tamci na to nie zasługują, to człowiek za nimi tęskni. A ty jesteś dobrym człowiekiem. Wiem to.

– Wiadomo, że jestem dobrym człowiekiem. To żadne odkrycie.

– Nie zasługujesz na to, żeby tu być. Żadna z nas nie zasługuje. Tyle jest podłych ludzi na świecie, którzy nic sobie nie robią z prawa, uczciwości czy nawet zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

– Dobrze pani mówi – zauważyłam.

Oparłam głowę o zimną ścianę i słuchałam jej. Nie pamiętam, kiedy rozmowa z kimś sprawiła mi podobną przyjemność, ale nie powiedziałam jej tego, boby się od razu zaczęła nadymać i wymądrzać.

– Wiem, że taka rozmowa była pani potrzebna – stwierdziła. – Nie musi pani dziękować.

Uświadomiłam sobie wtedy, że byłyby to pierwsze od bardzo dawna życzliwe słowa, jakie padłyby z moich ust. Miałam niekiedy wrażenie, że mogłabym być jeszcze miłsza, łagodniejsza, ale akurat nikt, z kim miałam styczność, na to nie zasługiwał. Prawie zapomniałam, jak brzmią takie

słowa. Ona jedna zasługiwała na to, żeby jej podziękować. Tylko ona jedyna na całym świecie. Ale mogła na to jeszcze trochę poczekać.

– Pani nie zabiła tego człowieka – oznajmiła. – Ja to wiem.

– Też chciałabym być tego taka pewna.

– Nie zrobiła pani tego. Pani jest niewinna.

– Jestem niewinna.

– Nie musi pani za to odpokutowywać.

– Nie muszę odpokutowywać.

– Niech pani walczy i wyrwie się stąd.

– Ja pani tu samej nie zostawię.

– Zabierze mnie pani ze sobą.

– Tak zrobię.

Szczęk zamków przerwał naszą rozmowę w ważnym momencie.

– Jest pani tam? – spytałam. – Jak się pani nazywa? Pani jest tym małym strażakiem?

Drzwi zaskrzypiały i stanął w nich strażnik.

– Pani coś mówiła? – spytał.

– Zdawało się panu – odpowiedziałam.

– Słyszałem wyraźnie.

– Ach tak, krzyczałam, żebyście mnie uwolnili.

– Później.

– Że jesteście barbarzyńcami i sadystami.

– Jeszcze później.

– I zboczeńcami. Zadowolony pan?

– Zdawało mi się, że pani z kimś rozmawia.

– Z nikim nie rozmawiałam – zapewniłam oburzona. – Chyba pan widzi, że jestem tu sama.

– Wezwę psychologa.

– Bardzo słusznie.

– Zgadza się pani?

– Oczywiście, to bardzo miła osoba. Ulży panu, gdy opowie jej pan o swoich problemach.

Spojrzał na mnie jakby zawiedziony.

– Proszę wyjść – oznajmił.

– Nigdzie nie pójde.

– Idziemy. Prokurator na panią czeka.

– Jeszcze tylko jedną chwilę.

– Niech pani wyjdzie, bo inaczej będę musiał użyć siły.  
– Wyjdę, jeżeli powie mi pan, jak się nazywa kobieta z celi obok.  
– Obok nie ma celi.  
– No to piętro wyżej, niżej... z innej celi.  
– Wszystkie izolatki są puste. Jest pani sama na oddziale. Koleżanki odsiedziały na innym bloku.

Spojrzałam na niego gniewnie.

– Jak pan może tak kłamać?! – zapytałam z wściekłością.  
– Mówię prawdę – zapewnił.  
– Przecież ja z nią rozmawiałam.  
– Myli się pani.  
– Przez tę kratkę wentylacyjną.  
– Tu nie ma kratki wentylacyjnej.  
– Co pan opowiada? – Wskazałam na kratkę pod zlewem. – A co to niby jest?

– Atrapa. Skazani próbowali ukrywać w wentylacji zabronione przedmioty. Kanały się zapychały. Dyrektor kazał zamurować.

– Nieprawda! – krzyknęłam.

– Zademonstruję – oznajmił.

Podszedł do zlewu, schylił się i wyjął kratkę ze ściany. Za nią nic nie było. Tylko mur.

Potem mnie chwycił, twierdząc, że zasłabłam i że ratuje mnie przed upadkiem. Kłamał jak zwykle. Chciał po prostu usunąć mnie siłą z izolatki i mieć problem z głowy.

\*\*\*

Pierwsze, co uderzyło mnie po opuszczeniu miejsca odosobnienia, to przestrzeń. W izolatce nie sposób było się przewrócić, bo ściany były tak blisko siebie, że zawsze o którąś się oparłam. Tu na korytarzu musiałabym wyciągnąć ręce na boki, żeby sięgnąć ścian. Grubo ponad metr szerokości. Dwie osoby mogły się minąć. Przestałam już nawet marzyć o spaniu z wyprostowanymi nogami.

Strażnik zaprowadził mnie prosto na spotkanie z prokuratorem. Ten z kolei już nawet na samym początku nie był miły czy choćby spokojny. Od razu wkurzony.

– Co pani wyprawia?! – spytał prokurator poirytowany. – Czy pani chce się do reszty zatracić? Przetrzywanie, bunt, ucieczka? Co to, do cholery jasnej, ma znaczyć?

– Mam ją. Pańskiego świadka – odpowiedziałam.

Spojrzał na mnie. Wyglądał jak puszczający bokami, rozbuchany parowóz.

– Jest pani pewna? – spytał. – Bo już mam serdecznie dosyć pani numerów.

– Byli funkcjonariusze służb do spółki z wysoko postawionymi finansistami, zapewne nie bez wsparcia przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości oraz świata polityki, stworzyli sobie elegancką maszynkę do wyłudzenia milionów z jednego z banków. Na pokrycie tych kwot będziemy składać się przez lata w ramach Bankowego Funduszu Gwarancyjnego. Przestępcy w białych kołnierzykach nie przewidzieli jednak, że wszystko to może runąć przez zeznania któregoś ze słupów.

– To kompletnie zrujnowani alkoholicy, zupełnie nieprzytomni. Żaden nie byłby w stanie odtworzyć nawet najbardziej ogólnego przebiegu wydarzeń. Poza tym wzięli pieniądze. Kredyty były lipne. Za to też są zarzuty i więzienie.

– Chyba że ktoś już siedzi i mu wszystko jedno.

– Kończmy to – stwierdził. – Gdzie ona jest? W zakładzie? Proszę się postarać, by do mnie trafiła.

– Co z nią potem będzie? – spytałam.

Stanął naprzeciwko mnie z rękami pod boki. Spojrzał na mnie i nadał policzki.

– Pani Wilkońska – zaczął. – Prokuratura dołoży wszelkich starań, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Postawi pan zarzuty ludziom, którzy defraudowali pieniądze?

– Dlaczego panią to interesuje?

– Pociągnie pan przestępców do odpowiedzialności?

– Ja pani dobrze radzę nie mieszać się w nie swoje sprawy.

– Brał pan w tym udział?

Spojrzeliliśmy sobie w oczy. Pewne siebie bydlę. Odwrócił się, dając do zrozumienia, że zakończyliśmy spotkanie.

– Dla pani dobra nie odpowiem na to pytanie – powiedział. – I jeszcze jedno: pani były obrońca chciał pani coś powiedzieć.

Prokurator otworzył drzwi. Za nimi stał piękny, wymuskany i pachnący pieniędzmi adwokat.

– Niestety dla pani, udało nam się wraz z panem prokuratorem ustalić, kto i w jaki sposób uciszył świadka oskarżenia w sprawie wielomilionowych wyłudzeń – stwierdził adwokat. – Pan prokurator już wszystko wie. Zupełnie się pani pogubiła, pani Wilkońska.

– Matko, jeszcze tego tu brakowało – westchnęłam.

– Inaczej się umawialiśmy – kontynuował. – W dodatku umożliwiła pani ucieczkę innej mojej klientce. Proszę mi wierzyć, że nam to nie przeszkodzi. Poradzimy sobie bez niej. Z tego też się rozliczymy.

– Chcę wyjść. Niech się pan przesunie.

– Rezygnuję z funkcji obrońcy w pani sprawie. Nikt już pani nie pomoże. Reprezentuję inną osobę. Ona mnie nie zawiedzie. Znacnie się. Podobno jesteście rodziną.

Uśmiechnął się szyderczo, wyciągając do mnie rękę. Nie podałam swojej. Rozegrali mnie po to, żeby się dowiedzieć, kto jeszcze coś wie o sprawie i może im zaszkodzić.

– Powiedział pan kiedyś, że najważniejsze to trzymać się z porządnymi ludźmi – stwierdziłam na koniec.

– Możliwe – odpowiedział.

– Dlatego się trzymam, proszę pana.

Wyszłam z pokoju, a czekający na korytarzu strażnik zaprowadził mnie z powrotem na oddział.

Chciałam znowu znaleźć się w celi. Żeby było jak dawniej. Usiadłybyśmy na łózkach i porozmawiały. Pośmiałybyśmy się z tego, jakie one są głupie, one pośmiałyby się z tego, jaka ja jestem mądra. Napiłybyśmy się herbaty, zjadły po ciastku z ziółkiem. Mariolka opowiedziałyby jedną ze swoich więziennych historii, Flaszka przeczytałaby kilka stron swojej grafomańskiej powieści. Chciałabym, żeby to wszystko jeszcze istniało. Byłoby cudownie.



## Rozdział 13

Cudownie jednak nie było. Oddziałowa otworzyła drzwi i od razu usłyszałam piskliwy głos, który mógł należeć tylko do jednej osoby. Weszłam do celi.

Tak, to ona. Moja pasierbica.

Była ubrana w biały szeleszczący dres, w którym przy swoim niewysokim wzroście i okrągłych kształtach wyglądała jak śnieżny bałwanek w klapkach. Ale nie to było najdziwniejsze. W naszej celi znajdowała się co najmniej połowa stanu osobowego całego oddziału. Na obu górnych kolbach siedziało po sześć osób, na dolnych to samo. Na taborecie Wytatuowana i Wygolona. Ludzie stali, że przejść nie można było.

– Zostaw, kochana, kurde uchylone! – zawołała do Oddziałowej, gdy ta chciała zamknąć klapę. – Czujesz chyba, jaka tu duchota? Niech się trochę przewietrzy.

Oddziałowa, zamiast zrugać i przecołgać przykładowie jak władza suwerena, przychyliła się do jej prośby! Otwarte drzwi celi były widokiem niecodziennym, nierzeczywistym i łamiącym wszelkie prawa fizyki. Nie dało się wręcz na nie patrzeć, bo miało się wrażenie, że znajdująca się na zewnątrz przestrzeń wyssie nas i wypadniemy na korytarz.

Kulka stała z rękami założonymi pod boki naprzeciwko siedzących najbliżej niej Mariolki i nieobecnej duchem Wielkiej Jolki. Wpatrywała się w odrapaną zieloną lamperię, szukając zapewne natchnienia.

– Nam, kurde, skazanym – zaświszczała, zadzierając wysoko głowę, wymachując ręką i pomlaskując obrzydliwie rozdziawioną gębą – należy się, kurde, życie w dobrobycie! Jesteśmy wybrańcami! Pseudoelity nie dbają o nas, szydzą i oskarżają o nie wiadomo jakie rzeczy, a my mamy misję. Jesteśmy pomazańcami. Pierwsi chrześcijanie też byli więzieni!

Mariolka popatrzyła na Kulkę podejrzliwie, ale gdy ich spojrzenia się spotkały, pokiwała głową z uznaniem.

– Jesteśmy, kurde, ostatnią ostoją – kontynuowała Kulka, defilując po celi z założonymi za pasek rękami – tradycji i wartości! I takowe, kurde, wartości zamierzamy przywrócić! Bo to właśnie my jesteśmy bijącym

sercem świata. I ochronimy go przed... kurde... przed... cholera... jak to było? Ochronimy go przed GMO! Nie... kurde... LGBT!

Rozejrzała się, oczekując aplauzu. Ku mojemu zdziwieniu otrzymała go.

– Czego chcesz od LGBT? – spytałam.

– Nic nie mam! Głupia, kurde, jesteś czy co? Przecież sama jestem lesbijką! – Zdenerwowała się Kulka. – Ale potrzebujemy wroga! A uchodźcy nie dotarli! Im ludzie głupszy, tym bardziej muszą żyć w strachu, żeby się dało nimi sterować! Żeby takie podstawy musiała tłumaczyć!

– To może dzieci? – zaproponowałam. – Dzieci się wszyscy boją.

– Tak, to, kurde, dobre, ale za późno. Lepsi ode mnie zwyrole i popierdoleńcy już się za to wzięli. Już zaczęli poradniki wydawać. Ale dobrze, kurde, kombinujesz. Byłby z ciebie jeszcze Mussolini albo Goebbels. Ale zbyt chaotyczna, kurde, jesteś i nie masz, kurde, odpowiedniej wytrwałości. Bo ludzi trzeba za mordy...

– Że niby nas? – spytała Mariolka.

– Nie przerywaj, bo się, kurde, nie mogę skoncentrować! – zapiszczała Kulka. – Nie chcecie słuchać, to nie! Chciałam dać wam szansę, żebyście dobrowolnie mnie, kurde, wybrały na swoją przywódczynię, ale jak nie, to, kurde, nie. Sama się wybiorę.

– A gdybyśmy cię nie wybrały? – drążyła Mariolka.

– Nie ma znaczenia, kurde. Podburzyłabym przeciwko wam strażników. Tak by wam wpierdolili, że z płaczem, kurde, byście przybiegły do mnie, żebym wam pomogła.

– I pomogłabyś?

– Oczywiście.

Kulka rozpostarła ręce i spojrzała z matczyną czułością na gawieź.

– Oczywiście, że tak – powiedziała, rozpościerając ramiona. – Bo jesteście jak moje, kurde, głupie dzieci.

Nie podeszły, ale to jej nie zraziło. Ona się pofatygowała i przytuliła siedzące najbliżej Mariolkę i Wielką Jolkę do piersi.

– Dzięki – powiedziała Mariolka.

– Nie ma sprawy. To wszystko i tak za wasze pieniądze. – Uśmiechnęła się pobłaźliwie. – No to sprawę przywództwa w celi mamy, kurde, załatwioną. A teraz spierdalać, bo muszę pogadać z macochą!

Obróciła je przeciwko mnie. Wszystko stracone. Tak długo powtarzała nieprawdę, że w końcu stała się prawdą. A i tak ostatecznie musiała wystawić Flaszkę, żeby się stąd jak najszybciej wydostać.

Odepchnęła dziewczyny i zwróciła się w moją stronę. Stałyśmy naprzeciwko siebie jak kiedyś w jej lśniącym marmurami i szkłem dwustumetrowym apartamencie na Mazowieckiej, tyle że teraz w przykurzonej i zatechłej ośmiometrowej celi. Dzieliło nas wszystko. Łączyła wzajemna nienawiść, trudna relacja z Henrykiem, wspólne powinowactwo i mnóstwo wzajemnych oskarżeń, z których większość miała mocne uzasadnienie.

– Gdzie Flaszka?! – spytałam.

– Nie twoja, kurde, sprawa! – odpowiedziała piskliwym głosem.

– Jeszcze nie wróciła z izolatki – wtrąciła Mariolka.

Wiele złych emocji w nas narosło i nabrzmiało. Byłyśmy połączone nierozzerwalnymi więzami rodzinnymi. Obwinałyśmy się o odebranie sobie nawzajem najważniejszych dla nas osób. Największych miłości. Nie sposób sobie było wyobrazić, jakimi obelgami mogłyśmy obrzucić się przy ponownym spotkaniu.

– Rozbiłaś mój samochód! – Wystrzeliła z działa najcięższego kalibru.

– Wyrzuciłaś przez okno mój wózeczek! – Przebiłam ją po stokroć.

– To był stary grat, kurde.

– W dodatku zbyt wysoki i niewygodny.

– Mówię o twoim cholernym wózeczk! –

– To nie stary grat! Tylko vintage! Gównno się znasz!

– Za jedno lustro z mojego samochodu mogłabym mieć ze sto takich twoich, kurde, wózeczków!

– Naprawdę? A jakoś nie masz żadnego!

– Kurde, bo cię zaraz znowu zabiję! – zagroziła.

– Przecież jesteśmy rodziną! – zawołałam.

– Zgadza się, kurde. Na tym właśnie polega rodzina – odpowiedziała. – Ty chcesz zabić mnie, a ja chcę zabić ciebie.

– To twoja rodzina? – spytała Mariolka.

– Bez więzów krwi – odpowiedziałam.

– Słuchaj, stara wariatko – rzekła ze spokojem w głosie Kulka. – Chyba już się zorientowałaś, że historia twojego życia będzie się powoli kończyć? No bo jeżeli nie, to ja ci to, kurde, mówię teraz. Nic nie trwa

wiecznie. Chyba to rozumiesz? Może i szkoda, bo zauważyłam, że nawet trochę jesteśmy podobne.

Niedobrze mi się zrobiło na te słowa.

Przeszła się po celi z rękami opartymi na biodrach. Wykrzywiła usta jak zatroskany ojciec narodu i mlasnęła kilka razy, żeby nadać swoim słowom odpowiednią rangę.

– Trochę tu rozmawialiśmy, kurde, o tobie z koleżankami – mówiła dalej – i obawiam się, że sprawy mają się dla ciebie, kurde, nie najlepiej. Kilka osób ma do ciebie żal. I to, kurde, spory. Nie wiem, czy ktoś ci powiedział, ale jesteś irytująca i, kurde, wredna.

– Doprawdy? – zdziwiłam się. – Nie spotkałam się do tej pory z taką opinią.

– No to teraz już, kurde, wiesz. Dziewczyny czują się przez ciebie bardzo, kurde, skrzywdzone.

Wskazała na Wytatuowaną i Wygoloną siedzące grzecznie na taborecie. Przytaknęły.

– Bo była i kradzież, obraza, podpalenie, izolotka... – kontynuowała Kulka. – No, nazbierało się tego, ale nie będziemy teraz o tym, kurde, gadać. I chciały ci zrobić takie, kurde, rzeczy, że nawet mi się ciebie trochę żal zrobiło, więc się za tobą, kurde, wstawiłam.

Spojrzałam na nią.

– No popatrz sobie, popatrz tym baranim wzrokiem. Ostatni raz. Bo wynegocjowałam, że dziewczyny wydłubią ci oko.

– Strażnicy mnie usłyszą – zauważyłam.

– Dostali moje stare PlayStation.

– Jest jeszcze Oddziałowa.

– Kurde, nie żartuj sobie. Upierdoliłaś ją w rękę. Jak jakiś pieprzony boa grzechotnik! Gronkowiec jej się wdał. Wiesz, kurde, jak to boli?!

Złapałam się za szyję, świat zawirował...

– Te! Stój, kurde! – krzyknęła Kulka. – Ty mi tu żadnych piruetów nie odpierdalaj, tylko się ciesz! Dziewczyny chciały ci, kurde, wydłubać oba. Dzięki mnie zachowasz jedno. Jako bonus, kurde, możesz wybrać które. W podziękowaniu za to prawo wyboru zaoferowałam, że oddasz jeden palec. Chyba się nie gniewasz? Dobrze zrobiłam, nie? No na co ci tyle? Na palcach przecież, kurde, już nie liczysz.

Popatrzyła na mnie. Naprawdę źle się czułam.

– Ty sobie nawet, kurde, nie wyobrażasz, od czego zaczynałyśmy – piszczała dalej Kulka. – One chciały, wykorzystując znajomości, zgłosić twoją, kurde, kandydaturę do KRS-u! Rozumiesz?! A dzięki mnie tylko oko stracisz! No i palec, kurde.

– A za co one siedzą? – spytałam, będąc już chyba na granicy obłądu.

– Prowadziły szkolenia i doradztwo, kurde, z komunikacji i wizerunku. Uczyły, co i jak mówić. Wpływały na wygląd. Przeprowadzały, kurde, metamorfozy.

– Za to się idzie do więzienia? – spytałam.

– Obsługiwały polityków. No wiesz, co by to było, to jednak, kurde, eksperymenty na ludziach.

– To musiały trafić na łagodnego sędziego.

– No, sama wiesz, jak oni teraz, kurde, wyglądają. Jak włączam telewizor i patrzę na stojących obok siebie na konferencji prasowej, to, kurde, jak *Muppet Show* Jima Hensona. Nawet nie muszą, kurde, śpiewać. Dobra, łapiemy ją – stwierdziła. – Nie ma co gadać. Trzeba, kurde, robić.

Zaraz potem jej małe pulchne dłonie zacisnęły się na mojej szyi. Miałyśmy to już z Kulką przerobione. Z zaciętą miną wczepiła się w tchawicę, a mój niedotleniony mózg powoli się wygaszał. Spojrzałam na Mariolkę.

– Nie pomożesz mi? – wycharczałam do niej.

– No nie wiem, Zośka. No nie wiem.

– Pamiętasz moje imię.

Zanim zrobiło mi się ciemno przed oczami, usłyszałam głos Mariolki.

– Dołożą ci to do wyroku – powiedziała do Kulki.

– Weźmiesz to na siebie – odpowiedziała tamta.

– Nie ma mowy.

– Zapłacę.

– Chcę sto tysięcy.

– Chyba, kurde, orzeszków ziemnych?! – oburzyła się Kulka. – Dam tysiąc złotych. Brutto. Na umowę o dzieło. Bez ubezpieczenia, kurde.

– Nie zgadzaj się, Mariolka – wyszeptałam resztką sił. – Ona chce cię wyrolować. To zdecydowanie za mało. Podatek ci wszystko zeżre!

Dogadałyby się zaraz, gdyby nie to, że kłapa się otworzyła i Oddziałowa wprowadziła Flaszkę. Na jej widok Kulka straciła zainteresowanie moją osobą.

– Dobrze, że, kurde, jesteś – zwróciła się piszczącym głosem do Flaszki.  
– Mamy coś do załatwienia.

– Po moim trupie – wysapałam, z trudem łapiąc oddech.

– Po kolei. Przecież się, kurde, nie rozdwoję!

Kulka uśmiechnęła się do Flaszki i rozpostarła ramiona. Zanim zdezorientowana dziewczyna zdołała załapać, o co chodzi, Kulka dopadła ją i objęła. Flaszka spojrzała pytająco na Mariolkę, a ta skrzywiła się lekko, jakby chciała jej powiedzieć, że tak tu już chyba teraz będzie wyglądało.

– Chodź, przejdziemy się – powiedziała do Flaszki. – Ktoś chce, kurde, z tobą rozmawiać.

– Kim ty w ogóle jesteś? – odpowiedziała. – Znamy się?

– O ho, ho... – Uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Ja wiem o tobie wszystko i niech to ci, kurde, wystarczy.

Pociągnęła Flaszkę za rękę. Ja, leżąc na ziemi, ostatkiem sił złapałam ją za nogę.

– Nie no, kurde, co to ma być? – oburzyła się Kulka. – Zrób coś, kurde, z nią! – zwróciła się do Mariolki.

– Łap! – zawołała Mariolka do Wielkiej Jolki.

Dolna koliba zaskrzypiała, gdy Wielka Jolka się podniosła. Spojrzałyśmy na nią wszystkie. Poruszała się, ale jej ruchom towarzyszyła taka nieuchronność, że Kulka nie zdołała przesunąć się nawet o milimetr, gdy ta chwyciła ją w dłonie jak zabawkę. Karykaturalną i wredną co prawda.

– Co to, kurde, ma znaczyć?! – wrzasnęła Kulka.

Nikt tego nie wiedział. Tylko w zamkniętym umyśle Wielkiej Jolki pozostała nieodgadniona tajemnica, czy pomyliła się, czy świadomie złapała Kulkę zamiast mnie, czy może, co chyba najbardziej prawdopodobne, pomyliła ją z piłką.

Wciąż leżąc na podłodze, podniosłam głowę i zwróciłam się do stojącej w drzwiach Oddziałowej:

– Pani Oddziałowa, muszę do lekarza.

– A co pani dolega, pani Wilkońska? – spytała.

– Jakoś tak nie najlepiej się czuję.

– Wygląda pani zdrowo.

– To ja w takim razie umieram – stwierdziłam. – Proszę bardzo. Starsza osoba zwija się z bólu na więziennej podłodze. Wezwana Oddziałowa

przy świadkach odmawia pomocy medycznej. Żegnam. Widzę tunel... na końcu światła...

Oddziałowa westchnęła ciężko. Popatrzyła w niezbyt bystre oczy gawiedzi i zgodziła się.

– Niech się pani zbiera z tej podłogi, pani Wilkońska – wyrzuciła z siebie.

– Flaszka też idzie – westchnęłam, podnosząc się powoli.

– Nie ma mowy. Co to znowu za numery?

– Żadne numery. Niech pani pozwoli nam iść razem, a daję słowo, że to ostatni raz. Więcej już o nic panią nie poproszę. Flaszka też. To dobra oferta. Ostatni raz.

Spojrzała na nas zniesmaczona.

– Do lekarza? – spytała.

– Tak – odpowiedziałam.

– Ostatni raz?

– Niech mnie pani zamknie do końca życia w izolatce, jeżeli kłamię.

– Idziemy.

Poszłyśmy.

Spojrzałam na Flaszkę.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniłam ją, chociaż nie miałam co do tego pewności.

Idąc korytarzem, myślałam, co to będzie po tym, jak odprowadzę Flaszkę tam, gdzie musiałam ją odprowadzić. Co będzie ze mną i co będzie z nią. Zawsze uważałam, że najgorsza rzecz to życie w hańbie.

Na dyżurce Oddziałowa przekazała nas Klocowi. Omiótł każdą wykrywaczem metalu, otworzył kratę i zaprowadził do budynku administracji.

Kilkanaście kroków dziurawym chodnikiem było naszą namiastką wolności. Dzień był pochmurny, wietrzny, ale ciepły. Gdybyśmy były totalnymi ignorantkami lekceważącymi wszystko, co złego działo się na świecie: degradację środowiska, wojny, gwałty, wyzysk i wszystko inne, to powiedziałybyśmy, że był to całkiem przyjemny dzień. A co my właściwie robiłyśmy w sprawie degradacji środowiska, wojen, gwałtów, wyzysku i wszystkiego innego? Nic. Dokładnie nic.

– Całkiem przyjemny dzień – stwierdziłam.

– Można chyba tak powiedzieć – zgodziła się Flaszka.

Kloc zostawił nas w gabinecie. Lekarz spojrzał zaskoczony, ale szybko się zorientował, o co chodzi.

– Cieszę się, że pani złączyła – powiedział do mnie. – Dobrze pani robi. Oni pani nie odpuszczą. Zaprowadzę was.

Chwyciłam metalową tacę. Wydawała się lżejsza niż tamta, ale to przez to, że byłam o wiele silniejsza od pielęgniarki.

Brzdęk! Trzepnęłam go tak, że się taca owinęła wokół jego głowy. Nie wiem, jakim cudem ustał po tym uderzeniu. Zdjął tacę z twarzy i odłożył z powrotem na stół.

– Jak to możliwe?! – spytałam z pretensją.

– Tamtą schowałem – wytłumaczył. – Zbyt często to się zdarzało. Ostatnio upadłem bardzo niebezpiecznie. Muszę na siebie uważać.

– Oczywiście. To zrozumiałe.

– Wezwę ochronę i na tym zakończymy.

– Nie, nie, jeszcze chwila. Proszę dać mi ostatnią szansę.

Zacisnęłam pięść i zaczęłam wykonywać obszerne i coraz szybsze obroty całym ramieniem.

– Co pani, u licha, robi? – spytał zaskoczony. – Chce mnie pani w ten sposób uderzyć?

– To tylko temat zastępczy – odpowiedziałam.

Gdy patrzył z pobłażliwym uśmiechem na tę moją rozkręcającą się coraz szybciej pięść, zrobiłam krok do przodu i...

Bach! Wymierzyłam kolano prosto w jego brzuch. Dokładnie tak, a nawet lepiej, niż robiła to Mariolka, bo cel miałam znacznie większy.

Zgiął się, poczerwieniał i zrezygnował z pobłażliwego uśmiechu na rzecz zupełnie nieudanego, pełnego napięcia grymasu, który kojarzył się wprost fatalnie. Kazałam Flaszce odwrócić się, bo ten okropny człowiek gotów był całkiem nas zniesmaczyć.

– Musisz ze mną pójść – wytłumaczyłam.

– Gdzie? – spytała.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia.

– Nie chcę iść.

– Zaufaj mi.

Spojrzałyśmy na siebie. Dla niej nie było innego ratunku. Innej drogi. Za dużo się wydarzyło. Chciałabym jej to wszystko wyjaśnić, ale nie rozumiałaby.

– Mam ci zaufać? – spytała.



– Tak – odpowiedziałam, chociaż nie byłam tego wcale pewna.  
– Dlaczego to robisz?  
– Muszę. Wierz mi, że jeżeli istniałoby inne wyjście, tobym je wykorzystała.

Ruszyłyśmy. Schody, kuchnia, pralnia. Położyłam rękę na klamce.

– Zobaczymy się jeszcze? – spytała.

Spojrzałam na nią.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Uściskać cię?

– Nie trzeba.

Otworzyłam, pchnęłam ją do środka i natychmiast zamknęłam drzwi, żeby się nie rozmyślić. Spodziewałam się, że wkrótce będę tego żałować, ale nie żałowałam. Gdy wróciłam pod gabinet lekarski, myślałam tylko o jednym – że już nigdy Flaszki nie zobaczę i że się z nią należycie nie pożegnałam. Mogłam jej jeszcze tyle dać, tyle powiedzieć – że powinna zadbać o włosy, wyleczyć zęby, pomyśleć o przyszłości.

Tymczasem dobiegł mnie hałas, pokrzykiwania i trzaskanie drzwiami. Prokurator i adwokat biegali korytarzem i zaglądali do każdego pokoju. Owładnął nimi szal, jakby byli na wyprzedaży chińskich smartfonów. Lekarz opierał się o ścianę. Jeszcze trochę zgięty trzymał się za brzuch. Dobrze mu tak. Nie dosyć, że donosiciel, to jeszcze mięczak!

– Wilkońska! – ryknął prokurator na mój widok. – Gdzie jest ta dziewczyna?!

– Jaka dziewczyna? – spytałam.

– Wilkońska, czy tobie rozum odjęło?! Kurwa!

– Wprost przeciwnie.

– Przecież ty właśnie podpisałaś na siebie wyrok śmierci! Ty już nic nie musisz robić, bo już nie żyjesz!

– Gdzie ona jest?! – warknął adwokat, chwytając mnie za ubranie i patrząc szeroko otwartymi oczami. – Mów, kobieto! Gdzie ona jest?!

Prokurator szybkim krokiem podszedł do lekarza.

– Mówiłeś, że wyszły od ciebie we dwie, tak?! – Zaatakował go. – To gdzie, kurwa mać, jest w takim razie ta druga?!

– Odczep się ode mnie, człowieku – odpowiedział. – Mam tego dosyć. Wypisuję się. Na mnie nie liczcie.

– Co wy wyprawiacie? – zwróciła się do nich Oddziałowa.

– Odpieprz się! – wrzasnął na nią prokurator. – Nie twoja sprawa. Dzieci masz? To się nie mieszaj, bo robotę stracisz.

– I do Biedronki pójdziesz. Czternaście godzin na dobę bez umowy zapierdalać. Chcesz tego?

Biegali obaj od pokoju do pokoju.

Oddziałowa patrzyła na nich spokojnie.

– Wracajmy na oddział, pani Wilkońska – powiedziała, chwytając mnie za ramię.

– Dokąd?! – warknął prokurator. – Jeszcze nie skończyliśmy.

Ruszył w naszą stronę, ale Oddziałowa, kładąc zabandażowaną rękę na gumowej pałce przytroczonej do pasa, dała mu do zrozumienia, gdzie kończy się jego jurysdykcja.

– Nie wyjdiesz stąd, Wilkońska! – Groził mi palcem. – Umrzesz w więzieniu.

– Też mi groźba. Phi! – odpowiedziałam. – Umrę lepiej niż panowie. Wśród przyjaciół, z czystym sumieniem i szacunkiem do samej siebie. A kto wie, jak się potoczą wasze losy.

– Widziałeś ją?! – Adwokat zwrócił się oburzony do prokuratora. – Jeszcze się cieszy!

– Ja biorę życie takim, jakie jest. I jestem szczęśliwa – kontynuowałam. – Spójrzcie na siebie. Jesteście żałośni, biedni i nieszczęśliwi. Niezależnie od tego, jak się będziecie nadymać, na koniec życia i tak będziecie żałośni, przerażeni i błagający o przebaczenie!

Adwokat spojrzał zaskoczony na prokuratora.

– No powiedz jej coś! – krzyknął. – Niech tak nie pyskuje! Przecież to ona jest przegrana!

– Co niby mam jej powiedzieć? Ja sam, jak patrzę na ciebie, to się brzydzę!

– Na mnie!? Ty pieprzony urzędniku! Tłusta mendo! Żałosny padalcu! – Adwokat z pasją wymieniał inwektywy.

– Tylko nie urzędniku! – zapienił się prokurator. – Wszystko miałeś mieć pod kontrolą! Napoleon się, kurwa, znalazł!

Rzuciliby się sobie do gardeł, ale w korytarzu pojawił się ksiądz. Przystanął jakby przestraszony. Spojrzeli na niego i ukłonili się.

– Szczęść Boże – przywitał się prokurator.

– Niech będzie pochwalony – dodał adwokat.

– A kto? – odpowiedział kąśliwie, zgodnie ze zwyczajem, ksiądz.

– Szef oczywiście – dodał adwokat, uśmiechając się jak sprzedawca kredytów.

Cofnęli się, żeby zrobić księdzu przejście korytarzem. Ten wydawał się onieśmielony. Gdy w końcu ruszył ku potrójnej bramie, szedł tak niezgrabnie jak jeszcze nigdy. Olbrzymi, kanciasty wręcz brzuch kołysał się na boki i z każdym krokiem miało się wrażenie, że zaraz się urwie. Ksiądz sapał i złorzeczył pod nosem co chwila.

– Nie widział ksiądz jednej dziwki? – spytał adwokat.

Zatrzymał się. Był już niedaleko bramy. Nie zatrzymaliby go. Obrócił się powoli, przetarł płynący po czole pot i odpowiedział:

– Widziałem.

– Chuda, zniszczona, w więziennych łańcach...?

– Widziałem dwie. Obie w garniturach.

Prokurator i adwokat spojrzeli na niego. Wytrzymał ich wzrok, mimo że powietrze w korytarzu zjonizowało się jak przed uderzeniem pioruna.

To wszystko obserwowałam już ze sporej odległości, bo Oddziałowa prowadziła mnie w kierunku naszego bloku. Zdaje się, że przekazał im jeszcze na koniec pozdrowienia od Szefa i wyszedł.

Jedyny człowiek, który spajał rozpadający się właśnie świat, to Oddziałowa. Była opanowana, ale też tylko do czasu. Zanim otrzymała złą wiadomość, zdążyłam jeszcze zamienić z nią kilka słów.

– Jestem pani wdzięczna za wszystko – zwróciłam się do niej. – Nie chowa pani do mnie urazy.

– Taką mam pracę – odpowiedziała.

Krótko i zwięźle.

Taki był ten świat. Wielkie interesy i wielkie skurwysyństwa przetaczały się nad głowami zwykłych ludzi, zmieniając wszelkie zasady, wartości i znany wcześniej porządek rzeczy. A ci ludzie, niektórzy z nich, po prostu dalej wykonywali swoją pracę. Tylko dzięki nim to się wszystko jeszcze nie zawaliło.

Gdy doszliśmy do dyżurki, Oddziałowa otrzymała od strażnika kartkę. Przeczytała. Wiadomość spadła na nią jak grom z i tak cholernie zachmurzonego już przecież nieba.

Spojrzała i wycelowała we mnie palec:

– Wilkońska! Wilkońska, ty...

Nie była w stanie biedaczka nic więcej powiedzieć, więc musiałam czekać, słuchając w kółko powtarzanego:

– Wilkońska, ty...! Wilkońska, ty...!

– Śmiało, śmiało, wdech... wydech. – Zademonstrowałam, przyciągając ręce do klatki piersiowej. – Głęboko wdech... wydech... Bo się pani Oddziałowa w końcu udusi!

– Wilkońska, ty wychodzisz!

Świat się na chwilę zatrzymał. Wyraźnie poczułam szarpnięcie i o mało się nie przewróciłam przez to jego raptowne hamowanie. Zatoczyłam się i wyładowałam na taborecie.

– Pójdziemy po rzeczy – powiedziała Oddziałowa. – Niech się pani zbiera.

– No ale jak to? Na bruk? – spytałam zaskoczona. – Bez okresu wypowiedzenia? Nie wiem, czy jestem gotowa. Czy społeczeństwo mnie przyjmie? Nie jestem jeszcze zresocjalizowana!

Weszłyśmy do celi. Ja z opuszczoną głową. Nie miałam co zabrać oprócz więziennego ekwipunku. Koc skarbowy, platerę...

Wszystkim odjęło mowę, gdy Oddziałowa powiedziała o piśmie, które dostała.

– No proszę – wtrąciła się Mariolka. – Taka niby cicha woda, a jednak wiedziałaś, komu dupy dać!

Dalej wszystko potoczyło się jeszcze prędzej niż podczas mojego przyjazdu. Oddziałowa wyciągnęła mnie z celi, nie dając odpowiedniego czasu na rozmowę.

Widząc, że Kulka rozkładała swoje rzeczy na dolnej koi, zwróciłam się do niej:

– Tylko pamiętaj o jednym. Jak tylko usłyszysz nad sobą w nocy skrzypienie sprężyn, to natychmiast obudź wszystkich lub dzwoń po Oddziałową.

– Bzdurne, kurde, zasady! – odpowiedziała. – Znajdę cię i znowu zabiję!

Nie zdążyłam się z nikim pożegnać, ale miałam cichą nadzieję, że może kiedyś jeszcze tu wrócę i się wszystkie spotkamy.

Niemal nie zauważyłam, kiedy przeszłyśmy korytarze, minęłyśmy kraty, podwórko, budynek administracji. Wszystko to było dla mnie zbyt szybko. Dawno nie czułam się tak odtrącona. Wyrzucili mnie. I z bezczelnie szczerym uśmiechem powiedzieli, że liczą na to, iż tu nie wrócę!

Za bramą stała masa ludzi, ale oni mnie w ogóle nie interesowali. Byli jak z innego świata. Odwróciłam się i jeszcze raz spojrzałam na zakład.

Sporo czasu spędziłam tam razem z osadzonymi. Może nie do końca razem, bardziej obok siebie, ale jednak. To coś znaczyło. Nawet jeżeli sobie tego nie okazywałyśmy. Coś mi zabrano. Tak się robić nie powinno. Krótki uścisk dłoni i człowiek znika z twojego życia. A pamiętam, jak siedziałyśmy obok siebie i się śmiałyśmy, miałyśmy wspólne plany, że to będzie trwać już na zawsze. Najszczęśliwsze wspomnienia. Czwórka rozbitków i czas pełen optymizmu, poczucie solidarności i tworzenia czegoś razem. Odczuwałam boleśnie świadomość, że ja to wszystko zepsułam. To mogło trwać. Uśmiechy i szczęście na twarzach. Nigdy nie nazwałam ich koleżankami.

To był dobry czas. Bardzo dobry.

Spojrzałam w niebo. Było takie jak kiedyś, jak zawsze. Wiatr smagał mi twarz, słońce dawało energię. Mogłam iść przed siebie. Świat należał do mnie, a ja należałam do świata. Nie miałam nic, a jednocześnie miałam wszystko.

Tyle musiało się stać, żebym to dostrzegła?

Pieprzona wolność! Co z nią teraz zrobić?

Wolność definiowała człowieka, ale ja odzyskałam też coś, co definiowało mnie – wózeczek!

Ktoś z pewnością przy nim majstrował. Urwane kiedyś kółko trzymało się jak nowe. Dziwni, niedzisiejsi ludzie. Szkoda, że kolejny raz nie udało się mojemu biodra naprawić!

Pierwszy dopadł mnie mój syn, choć nigdy nie był zbyt szybki. Teraz jednak wyprzedził watahę biegnących w moim kierunku nieznajomych. Złapał mnie wpół i mimo że zdołałam jakoś przeżyć, to on postanowił mnie teraz udusić.

– Mamuś, mu tu walczyliśmy o ciebie każdego dnia! – mówił tak przejęty, że mało się nie rozbeczał. – Sprawa zrobiła się polityczna. Zaraz ci przedstawię człowieka, który bardzo pomógł. Zgłosił sprawę do Strasburga.

– Cała jesteś? Nic ci nie jest? – spytał Henryk, który zameldował się przy mnie jako drugi.

Pojawiał się raz na dwadzieścia lat, ostatnio trochę częściej, i nigdy nie miał nic mądrego do powiedzenia.

– Jak ty na to wpadłaś? Z tymi majtkami? – kontynuował. – Niesamowicie mocna metafora. Ludźmi to wstrząsnęło. Że można stracić więcej niż wolność. *Krzyk*. Genialne.

– Tak, to fakt – zauważyłam. – Długo nad tym myślałam, aż wymyśliłam. Uznałam, że będzie to najskuteczniejszy sposób, żeby się uwolnić.

– Mam Flaszkę – powiedział konspiracyjnie ksiądz, który dokuśtykał do nas, gdy już byliśmy otoczeni kordonem ludzi.

– Nie teraz, ty pijaku! – Mój syn próbował go przepędzić.

– Mógłbyś, chłopcze, pomóc mi rozpiąć sutannę? – spytał ksiądz z łagodnym uśmiechem. – Nie śmiem kolejny raz prosić o to twojej matki. Musimy uwolnić stamtąd jednego małego potwora.

Pojawili się nawet czarnoskóra kobieta w granatowej garsonce i wysoki jasnowłosy brodac z unijnej delegacji. Bardzo ucieszyłam się na ich widok. Natychmiast podeszłam.

– Mogę mieć więcej tego towaru – powiedziałam konspiracyjnie.

Odsłoniłam fragment biodra, żeby zaprezentować bok majtek.

– Ręczna robota. Alpaka, najwyższa jakość, dla koneserów!

Ogromne to na nich zrobiło wrażenie.

Mój syn natomiast przyprowadził do mnie szczupłego faceta w ciemnym, nieco znoszonym garniturze. Nie był podobny do nikogo. Łysawy, z nieco krzywym zgryzem, ale o dobrym spojrzeniu. Zwykły przechodzień.

– Dzień dobry pani – przywitał się. – Jestem wiceprezesem Polskiej Partii Emerytów. Śledziłem razem ze zgromadzonymi tutaj każdy dzień pani aresztu. Mam też swój niewielki wkład w uwolnienie pani, ale nie o to tutaj chodzi. Niech pani zbiera siły, bo mamy wobec pani wielkie plany. To nie koniec! To dopiero początek!

W książce wykorzystano opowiadania kobiet osadzonych w Areszcie Śledczym Warszawa–Grochów:

*Karniak* autorstwa Pełnoletniej,  
*Nie będzie lekko* autorstwa Belli,  
*Kolejna noc minęła* autorstwa Kini,  
*Stacja kolejowa Warszawa–Grochów* autorstwa Pani Em.

Opowiadania powstały w trakcie warsztatów prowadzonych przez autora w ramach działań Fundacji Dom Kultury, przy wsparciu dyrekcji i kadry zakładu.

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska  
Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik  
Redakcja: Kamila Reclaw  
Korekta: Magdalena Matuszewska, Ida Świerkocka

Projekt okładki: Tomasz Majewski  
Ilustracja więzienna zamieszczona w książce: Rozalia Galińska  
Jedną z inspiracji projektu okładki był rysunek Rozalii Galińskiej.

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-8057-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, lowercase, sans-serif font. The letter "v" is blue, and the remaining letters "irtualo" are black.